

• **OSTATNIA**
sprawa Holmesa

s. 34.



ZGWAŁCENI PRZEZ BRUKOWIEC
– dyrektor, uczennica, czytelnicy

s. 30.

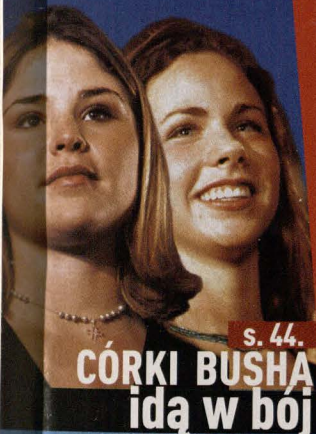
PRZE KROJ

SKARB Kuronia

s. 22.

Nr 26 / 3079 • 27 czerwca 2004 • cena 4 zł

/w tym 7% VAT/



s. 44.

CÓRKI BUSHĄ
idą w bój



s. 48.

ŻELAZNA
Martina Navratilova



s. 58.

Jak myślą zwierzęta

Dekalog Jacka Kuronia
i fragment niedrukowanej książki



Indeks 371424

Weź całą,
zapłać za pół



Opel. Twórcze myślenie –
lepsze samochody.



Chcesz ją? Weź ją za pół ceny. Wpłacasz 18 675 PLN* i wyjeżdżasz z salonu Opla nową Corsą. Drugą połowę ceny wpłacisz po roku bez odsetek. Jeśli chcesz pójść na całość, zapłać pełną kwotę i skorzystaj z upustu. Zaoszczędzisz 2 000 PLN. Nie chcesz czekać? Nie czekaj.

* Cena dotyczy wersji podstawowej.

na Czwartek **RACZKOWSKI**



Wymyślił i narysował MAREK RACZKOWSKI

w tym tygodniu **NIE PISZEMY:**

...o sprawozdaniu z rocznej działalności Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji przedstawionym przez przewodniczącą Danutę Waniek, w którym nie było ani jednego zdania o aferze z nowelizacją ustawy medialnej i sprawie Rywina. Bo rozumiemy, że to świadomy plagiat dokonany przez panią Waniek z zazdrości. W niniejszej rubryce także nie wspominamy o najważniejszych sprawach, a ludzie się z tego śmieją.

...o Romanie Giertychu, liderze LPR, który został przez tygodniki opinii okrzyknięty politykiem przyszłości. Bo wstyd by nam było przytaczać jego słowa o weteranach prawicy, którzy opuścili LPR, a teraz rozważają jednak wejście na listy wyborcze tej partii: „Ten plankton

jest w stanie uzyskać poparcie rządu jednego procentu. Rozumiem, dlaczego chcą do nas wrócić”.

...o wykrytym przez „Rzeczpospolitą” ewidentnym uwikłaniu byłego szefa NFZ Aleksandra Naumana w aferę, która w połowie lat 90. naraziła państwo na stratę około stu milionów złotych. Bo śledztwo nie nasze, ale byłoby wielką hipokryzją z naszej strony napisać, że jesteśmy niemile zaskoczeni.

...o Lechu Wałęsie, który gotów jest wystartować na prezydenta, jeśli pojawią się głosy nawołujące do wystąpienia Polski z UE. „Wtedy będę kandydował i przeciwstawię się wszystkim przeciwnikom, dostarczając argumentów, co należy zrobić w Polsce i UE, by nie podejmować

takich niedobrych decyzji. I prawdopodobnie uda mi się zatrzymać Polskę, ale przegrać wybory”. A jeśli „nie będzie tego tematu, to na 99 procent nie będę kandydował”. Bo przesadzilibyśmy, pisząc, że zaczęło już nam brakować tej niebanalnej logiki.

...o nieudanej próbie bicia rekordu Guinnessa w najdłuższym koncercie fortepianowym podjętej przez szczecińskiego pianistę. Nie zdołał bębnić w klawisze XIX-wiecznego bechsteina dłużej niż jego niemiecka poprzedniczka w tej dziwacznej konkurencji. Bo sądząc z zapału, z jakim Polacy oddają się biciu kolejnych „naj...”, powinniśmy zgłosić do biura Księgi rekordów Guinnessa w Londynie nową kategorię – kraj najgłupszych rekordów. Tylko nasz patriotyzm nam na to nie pozwala.

CYTAT tygodnia

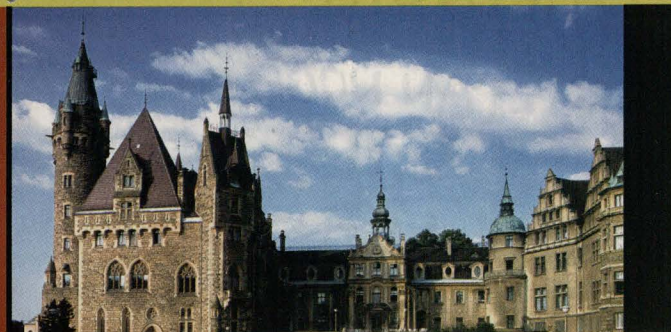
Jestem wyjątkowo źle zorientowany od strony formalnej, kim ja aktualnie jestem

JANUSZ LEWANDOWSKI,
jako poseł (PO) wybrany
do europarlamentu, o swoim statusie
przed wygaśnięciem mandatu
sejmowego



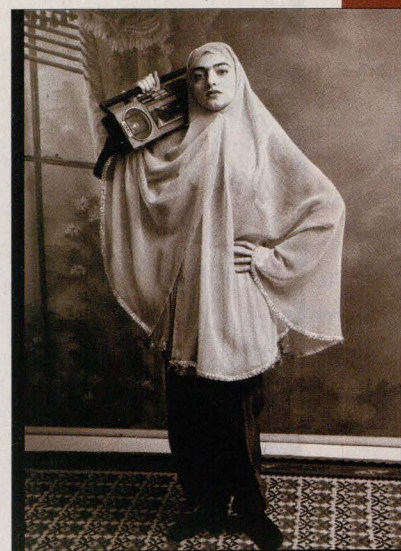
PRZEMYSŁAW POKRYCKI/REPORTER

Poznaj Polskę filmową



Fot. MAREK MARUSZEK/AG

W następnym numerze specjalny dodatek! „Mapa przygód - Odkrywczy Przewodnik Turystyczny po Polsce”, a w nim wakacyjny konkurs „Przekroju”



Fot. SHADI GHADIRIAN

68

Feminizm w imię Allaha

6 POWIĘKSZENIE
Zosia Kosmosia

12 PRZEKRÓJ TYGODNIA
– wiadomości krajowe i zagraniczne

18 PYTAMY
Jana Kułakowskiego, czy nie trzeba było jednak umrzeć za Niceę

19 ODESZLI

20 KOMENTARZE

21 RACZEJ RACZKOWSKI

22 SKARB KURONIA

DOKUMENTY

30 KRAJOBRAZ PO GWAŁCIE
Nie wiadomo, co się naprawdę stało w Pyskowicach, ale niektóre brukowe media wydały już wyrok

34 OSTATNIA SPRAWA HOLMESA
Czy genialny Sherlock rozwiązałby zagadkę śmierci swego biografa?

38 ZASTÓJ W RÓŻOWYM INTERESIE
Polskie porno przekrętem stoi

OPINIA

42 ZWYKŁE DRAŃSTWO
Niech sędziwi zbrodniarze żyją z piętnem hańby. Ale do więzień wsadzać ich nie trzeba

LUDZIE!!!

44 TAJNA BROŃ TATUSIÓW
Czy córki Busha pomogą mu wygrać wybory?

48 ŻELAZNA MARTINA
NIE RDZEWIEJE
Navratilova znów ma chrapkę na wimbledońskie laury

52 BOKSER BELKI
Jerzy Ciszewski: dzoker rządu Belki?

54 ŚWIECĄ LUB SPADAJĄ

NAUKA

56 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

58 KIEDY ROZUM PSI
Uwaga! Zwierzęta wcale nie są głupie

62 MOTOEWOLUCJA
...czyli samochód z komputera

64 INSPEKTOR GADŻET

SPORT

66 CHAMSTWO NA BOISKU
...pomagają ukrócić kamery

PATRZĄC I CZYTAJĄC

68 KUSICIELKI ALLAHA
Irańskie feministki: piękne, wyzwolone, wierne islamowi

74 LISTY

75 TYDZIEŃ – KULTURALNIE POLECAMY

76 WYDARZENIE – Koncert Seana Paula

78 FILM – „Cube 2”

80 MUZYKA – Powrót Beastie Boys

82 KSIĄŻKI
– Autobiografia Nabokova

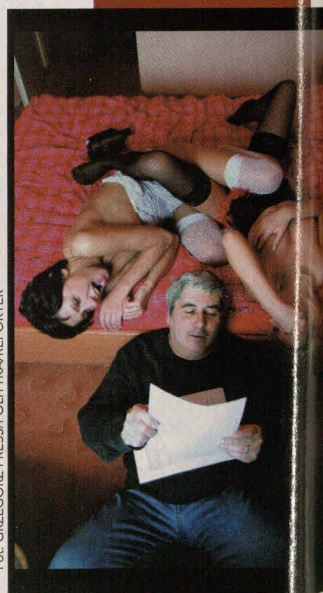
84 GRY – Pandora Tomorrow

86 Telewizja – Futbol na ekranie

ROZMAITOŚCI

88 KULINARNE PIÓRO POLSKI; WINNY BIĘCZYK; KRZYŻÓWKA, JOLKA

90 ZALEWAJKA KAZIMIERZA KUTZA



Fot. GRZEGORZ PRESS/POLITYKA/REPORTER

38

Porno biznes po polsku

Inspektor Gadżet

64



Okładka:

JACEK KURON
Fot. BARTOSZ BOBKOWSKI/AGFot. MEDIUM
Fot. CORBIS SYGMA/FREE
Fot. INTERFOT/FORUM
Fot. JAMES BALOG/AURORA/PROGRESS

Tego nie ma
w innym banku!

Przyrost naturalnie ponadprzeciętny! Indywidualne Plany Lokacyjne

Z myślą o Twoich potrzebach stworzyliśmy nowy produkt – Indywidualne Plany Lokacyjne. Wystarczy 2000 zł i korzystasz z wyjątkowego połączenia lokaty i funduszu inwestycyjnego, czyli bezpieczeństwa z możliwością wysokiego zysku. Nasi Doradcy dopasują do Twoich indywidualnych potrzeb jeden z Planów Lokacyjnych. Ciesz się swobodą oszczędzania – wpłacaj i wypłacaj bez opłat, zmieniaj Plany, kiedy chcesz.

Bank indywidualnych rozwiązań

Bank BPH

Infolinia: 0 801 321 321
(koszt jak za połączenie lokalne)

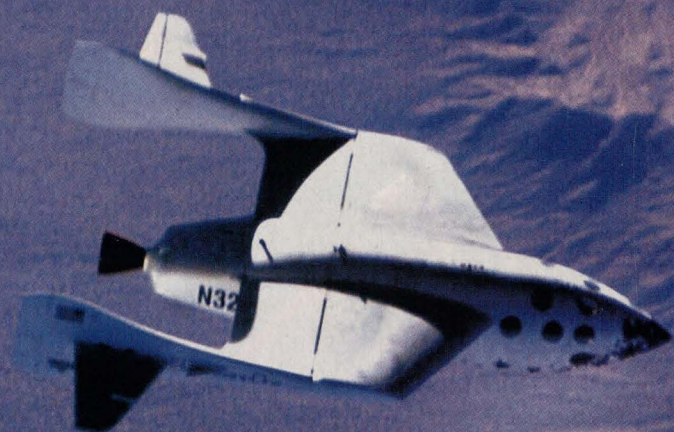
Zasady regulujące Plany Lokacyjne określone są w regulaminie Planów Lokacyjnych dostępnym w Banku. Wymagane prawem informacje o funduszach inwestycyjnych, dostępnych w ramach Planów Lokacyjnych, w tym opis czynników ryzyka, zawierają prospekty informacyjne tych funduszy, dostępne w Banku. Po 12 miesiącach oszczędzania wypłaty zwolnione są z opłat.

powiększenie

POJAZD LEDWO WYCHYLIŁ SIĘ POZA ZIEMSKĄ ATMOSFERĘ. W OTWARTEJ PRZESTRZENI KOSMICZNEJ STATEK SPACESHIPONE I JEGO PILOT SPĘDZILI TYLKO TRZY MINUTY

JAKUB MIELNIK

ZOSIA KOSMOSIA



Konstruktor wizjoner,
pilot i miliarder
otwarli nowy etap
podboju kosmosu.
Skonstruowany
za niewielkie i do tego
prywatne pieniądze
pojazd kosmiczny
złamał monopol
państwa na
pozaziemskie podróże

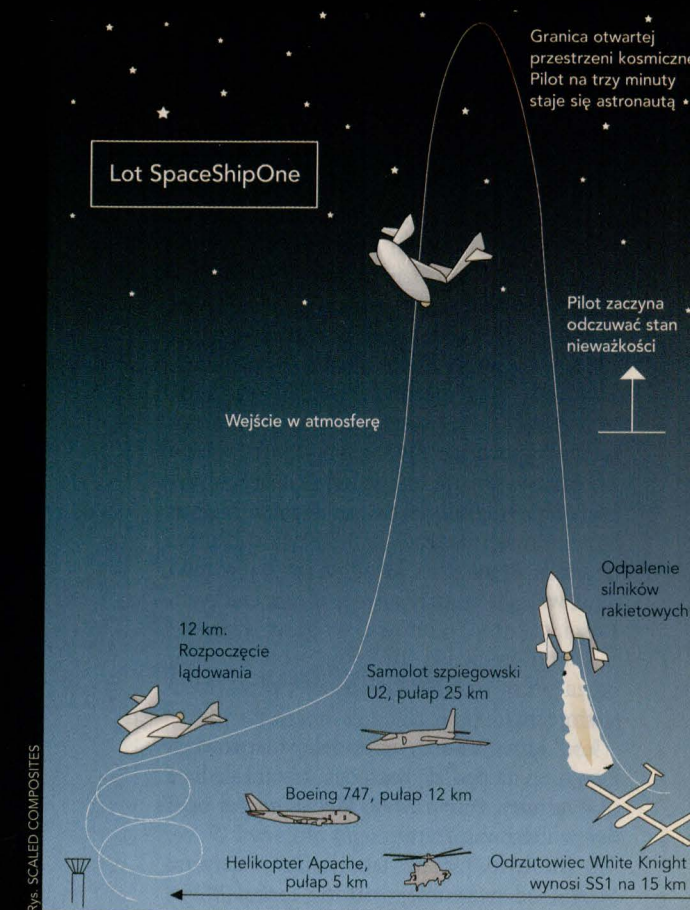
Od prawej: Konstruktor
SpaceShipOne Burt Rutan
z pilotem Michaeliem Melvillem
i współzałożycielem Microsoftu
Paulem Allenem, który
sfinansował cały projekt



Fot. AFP/EAST NEWS

Fot. ROGER RESSMEYER/CORBIS/IFREE

Fot. REED SAXON/AP



W kosmos może polecieć każdy, bez konieczności marnotrawienia miliardów dolarów z publicznych pieniędzy. To największa rewolucja w podboju przestrzeni kosmicznej od lotu Jurija Gagarina

OKLAHOMA JUŻ CHCE BUDOWAĆ WŁASNY DWORZEC KOSMICZNY, A ODWAŻNIEJSI INWESTORZY PLANUJĄ KOSMOTURYSTYKĘ. ZA 25 LAT MA ONA PRZYNOSIĆ MILIARD DOLARÓW ROCZNIE

U góry: Kabina pilota pierwszego prywatnego statku kosmicznego

Po prawej: Na pierwszym planie SpaceShipOne, w głębi odrzutowiec White Knight skonstruowany specjalnie na potrzeby misji



Mike Melvill z żoną tuż przed startem. Po lewej: dziennikarze wokół SS1

Chyba trochę zwolnię, mam zamiar przesiąść się na rower – rzucił Mike Melvill do tłumu dziennikarzy, którzy otoczyli go po wylądowaniu. Pół godziny wcześniej, siedząc za sterami statku SpaceShipOne, Mike odpalił silnik rakietowy pojazdu. Paliwo, którego głównym składnikiem był płynny gaz rozwesalający, rozpędziło SS1 do trzykrotnej prędkości dźwięku – wystarczającej, by na chwilę wyrwać się z ziemskiego przyciągania. Przez 80 sekund wciśnięty w fotel pilot ważył trzy razy więcej niż w rzeczywistości. Pędząc pionowo w górę, osiągnął w końcu wysokość stu kilometrów uznawaną za umowną granicę otwartej przestrzeni kosmicznej.

Lot, który złamał monopol państwowych instytucji na podbój kosmosu, trwał zaledwie trzy minuty. Potem Mike Melvill zaczął opadać w kierunku Ziemi.

– To było piękne lądowanie – usłyszał Melvill od naziemnej kontroli lotów. Misja, która przejdzie do historii podboju kosmosu, była prowadzona z ciężarówki zaparkowanej koło pasa startowego cywilnego lotniska testowego na pustyni Mojave.

SKLEPIK NA PUSTYNI

Położone na obrzeżach wojskowej bazy lotniczej Edwards i cmentarzyska samolotów US Air Force lotnisko przyciąga entuzjastów lotnictwa i konstruktorów wizjonerów. To tu w 1982 roku swój sklep i warsztat założył inżynier Burt Rutan. Sławę zyskał kilka lat później, gdy skonstruował samolot, który bez lądowania i tankowania paliwa w dziewięć dni obleciał dookoła kulę ziemską. Później zarabiał, konstruując bezzałogowe samoloty dla wojska i łatwe w obsłudze cywilne awionetki, które można było złożyć w przydomowym warsztacie.

Pracując nad SpaceShipOne, Rutan miał do dyspozycji symulator lotu, program szkolenia pilotów, firmę budującą silniki rakietowe i stanowisko do ich testowania. Z rodzinami i przyjaciółmi cała ekipa liczyła nie więcej niż 80 osób – pasjonatów pracujących za pieniądze, które wyłożył współzałożyciel Microsoftu Paul Allen.

– Głód podróży w kosmos jest niesamowity – mówił przed startem SpaceShipOne Burt Rutan. Pieniądże wyłożone przez miliardera Allena dały szansę na sięgnięcie po prestiżową nagrodę Anasari X ufundowaną dla prywatnej firmy, która jako pierwsza wyśle

Sukces misji za 20 milionów dolarów może być początkiem końca NASA, bo jeden lot wahadłowca kosztuje 20 razy więcej. Biały Dom zapowiada prywatyzację zadań agencji

człowieka w kosmos. Nagroda wzorowana jest na tej ustanowionej w początkach ubiegłego wieku dla śmiałka, który samotnie pokona Atlantyk samolotem. Charles Lindbergh zgarnął w 1927 roku 25 tysięcy dolarów, zapoczątkowując erę międzykontynentalnych połączeń lotniczych. Fundatorzy nagrody liczą, że podobny mechanizm zadziała i tym razem, i wiele wskazuje, iż mają rację. Do wyścigu w kosmos stanęło już ponad 20 firm z całego świata. Pieniądze – 10 milionów dolarów – nie są tu głównym magnesem, skoro sam Paul Allen wyłożył na projekt SpaceShipOne ponaddwukrotnie wyższą sumę.

GWÓDŹ DO TRUMNY NASA

Do momentu gdy statek zbudowany przez Burt Rutana ruszył w swój dziewiczy lot, podbój kosmosu był domeną rządowych agencji. W ciągu 40 lat, jakie upłynęły od rozpoczęcia eksploracji kosmosu, na świecie wydano na ten cel astronomiczną sumę ponad trylion dolarów. Mimo to dla większości śmiertelników podróże pozaziemskie pozostały mrzonką dostępną nielicznemu gronu wybrańców.

Dysponując niewielkim budżetem i zdolnymi inżynierami, Burt Rutan udowodnił, że w kosmos może polecieć każdy. Jego sukces może się stać gwoździem do trumny rządowej agencji kosmicznej NASA, od dawna krytykowanej za marnotrawienie publicznych pieniędzy. 20 milionów dolarów, które na projekt Rutana wyłożył Paul Allen,



Mike Melvill po lądowaniu na pustyni Mojave. Pilot ma 62 lata, jest o rok starszy od swojego najbliższego przyjaciela i konstruktora SS1 Burt Rutana

to nic w porównaniu z 15 miliardami rocznego budżetu NASA. Krytycy twierdzą, że suma ta znika na kontaktach z Lockheed Martin i Boeing, które do spółki z biurokratami z NASA pilnie strzegą dostępu na orbitę. W czasie przygotowywanych przez NASA misji do ostatniej chwili coś się poprawia. Loty są często opóźniane z powodu zaniedbań, które prowadzą do katastrof. Eksplozja wahadłowca Discovery praktycznie uziemiła flotę kosmiczną Stanów Zjednoczonych.

ŻÓŁWIE NA KOSMODROMIE

Firma Rutana wchodzi gładko w próżnię wywołaną bezwładem państwowego molocha. Zwłaszcza że administracja George'a W. Busha domaga się prywatyzacji działań NASA. W kwietniu tego roku Rutan jako pierwszy prywatny przedsiębiorca w historii dostał licencję na załogowe loty w kosmos. Lotnisko testowe w Mojave, kawał bezkresnej pustyni, znane było dotąd głównie jako cmentarzysko starych samolotów. Po przyznaniu Rutanowi licencji zarząd lotniska wystąpił o zgodę na utworzenie pierwszego cywilnego kosmodromu na świecie. Trzeba było ogrodzić teren i zadbać o bezpieczeństwo żyjących w okolicy żółwi pustynnych, które są na liście gatunków zagrożonych wyginięciem. – Jak miałem 300 startów i lądowań dziennie, nikt nie interesował się zwierzętami. Teraz, zanim wyląduje jeden pojazd kosmiczny, muszą sprawdzić, czy na pasie nie ma jakiegoś żółwia – mówi dyrektor kosmodromu w Mojave Stuart Witt.

Poniedziałkowy lot przyciągnął do sennego Mojave dziennikarzy z 500 redakcji z całego świata, którzy zwiertzyli, że kilkoro zapaleńców wspomaganych kaprysem milionera dokonuje największej rewolucji w podboju przestrzeni od czasu lotu Gagarina.

Paul Allen może być pewien, że jego kaprys kiedyś się opłaci. Do 2021 roku turystycznie w kosmos ma latać 15 tysięcy ludzi rocznie, a zyski będą wynosić około miliarda dolarów. Na razie to tylko prognozy, ale Burt Rutan nie ma wątpliwości, że szybko staną się faktem. – Zmierzamy na orbitę szybciej, niż może się wydawać, następne 25 lat to będzie dzika jazda – mówi 61-letni inżynier.

JAKUB MIELNIK

GRAJ W CZARZASTEGO!

**WALCZ O MEDIA!
UDERZ W GIEŁDĘ!**



„Czarzasty 2004” to nowa wersja strategicznej gry typu GTW (Grupa Trzymająca Władzę). W nowej edycji pozbawiono Wąsatego Włodzimierza (w którego postać wciela się gracz) wpływu na telewizję publiczną, rozwijając funkcje przejmowania lub niszczenia mediów prywatnych.

Przykładowo: używając skrótu klawiszy „Ctrl+RMF”, automatycznie rozsyłamy do sieciowych graczy informację, że szykująca się do wejścia na giełdę radiowa spółka jest niewiarygodna finansowo. To nieprawda, ale skutecznie hamuje inwestycyjny zapał!

Gracze rezygnują z inwestycji, wirtualna postać Włodzimierza rozdyma się jak balon. Każde rozdęcie to kolejne zdobyte punkty zbliżające cię do przejęcia innych mediów. I nie obawiaj się – Włodzimierz nie pęka!

Na posezonowej wyprzedaży dostępne są starsze wersje cyklu „GTW”. Uwaga! „Kwiatkowski” i „Jakubowska” są już wyczerpani.

Włodzimierz Czarzasty, sekretarz Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, omaga się od RMF FM wyjaśnić do sprawozdania finansowego firmy za zeszły rok. Asystent Czarzastego poinformował media o tych wątpliwościach, sugerując, że związane są z planowanym wejściem na giełdę spółki Broker RMF. W istocie sprawozdanie nie ma nic wspólnego z ofertą Brokera RMF, ale pokretnie działania Czarzastego mogły obniżyć cenę spółki.

przekrój tygodnia kraj



W Szczecinie matki wtargnęły do magistratu podczas konferencji

SZTURM MATEK

LEWICOWY RZĄD SKRZYWDZIŁ NAJUBOŻSZYCH: NIE ZADBAŁ O TERMINOWĄ WYPŁATĘ DODATKU DLA SAMOTNYCH MATEK

Matki nie dostały należnych im pieniędzy za maj. Rząd obiecał więc, że otrzymają je do 15 czerwca, za ocenę wniosków i wypłaty po raz pierwszy odpowiadały samorządy. Jednak większość kobiet odeszła od kas ośrodków pomocy społecznej bez pieniędzy.

Część oburzonych matek stwierdziła, że nie wróci do domu z pustym portfelem. W Lublinie przez kilka godzin okupowały Miejski Ośrodek Pomocy Rodzinie. Budynek otoczyła policja, dopiero dyrektorowi MOPR udało się przebłagać kobiety obietnicą, że dostaną pieniądze w ciągu kilku najbliższych dni. W Szczecinie samotne matki wdarły się do magistratu, zajęły salę konferencyjną, gdzie akurat

DOROTA SAINUG

trwała konferencja prasowa prezydenta Mariana Jurczyka. Urzędnicy przynosili okupującym jedzenie i picie.

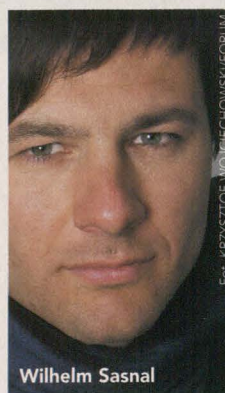
Cezary Miżejewski, wiceminister powstałego po cichu Ministerstwa Polityki Społecznej, nie czuje się winny bałaganu. Uważa, że (pozostawione same sobie) samorządy miały czas i środki, żeby odpowiednio się przygotować. – Mogły skorzystać ze środków budżetowych przeznaczonych na prace interwencyjne i zatrudnić dodatkowe osoby do przyjmowania wniosków od kobiet samotnie wychowujących dzieci – mówi. – Miały czas, by poszukać ludzi z odpowiednimi kwalifikacjami. Tymczasem z większych miast skorzystała z tej możliwości jedynie Warszawa. Pozostałym zabrakło wyobraźni. I kiedy zostały zarzucone wnioskami, nie poradziły sobie – przekonuje wiceminister.

Zasilek wynosi 170 złotych na jedno dziecko. Przyznawany jest, gdy miesięczny dochód na osobę nie przekracza 504 złotych. Zdaniem resortu polityki społecznej pieniądze dostało dotąd ponad 80 procent matek. Ministerstwo obiecuje, że pozostałe otrzymają je do końca czerwca. I to z odsetkami za opóźnienie.

SASNALOMANIA!

Targi w Bazylei to największe doroczne święto sztuki. Ponad tysiąc artystów reprezentowanych przez 270 galerii. Obok tego program prezentacji wybranych artystów – Art Statements. Jego gwiazdami byli Marcin Maciejowski i Aleksandra Mir. Tę 37-letnią Polkę mieszkającą w Nowym Jorku uhonorowano prestiżową nagrodą Baloise w wysokości 25 tysięcy franków szwajcarskich. Inna Polka Marta Deskur uczestniczyła w specjalnym pokazie Art Unlimited w towarzystwie wielkich gwiazd: Mariny Abramovic, Rodneya Grahama, Richarda Serra, Erwina Wurma.

Choć gromadziły się wokół nich tłumy zwiedzających, prawdziwi kolekcjonerzy szukali czegoś innego. Szukali Wilhelma Sasna. Stoisko warszawskiej Fundacji Galerii Foksal przeżywa-



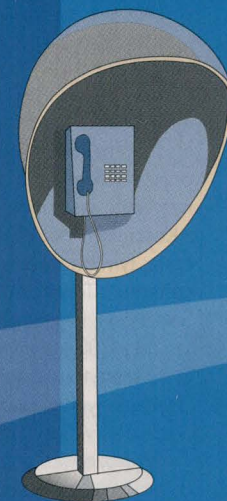
Wilhelm Sasnal

Fot. Krzysztof Wójcicki/Forum

ło prawdziwy szturm. Oblegano też cztery pozostałe galerie reprezentujące Sasna – z Nowego Jorku, Londynu, Kolonii i Zurychu. Niestety, dziś jego obrazy mogą kupować tylko muzea, prestiżowe fundacje i kolekcjonerzy o najlepszej reputacji. W przeciwnym razie ogólnoswiatowy szal na Sasna mógłby doprowadzić do spekulacji jego obrazami i sasnalomania skończyłaby się czymś w rodzaju krachu giełdowego.

Sytuacja jest naprawdę poważna – wielu kolekcjonerów, nie mogąc kupić Sasna, decydowało się na jakiegokolwiek „młodego artystę z Polski”, aby tylko nadążyć za modą. Temu szaleństwu stara się zaradzić mądra polityka Fundacji Galerii Foksal, która próbuje niebezpieczną modę zamienić w trwałe zainteresowanie polską sztuką. (MAV)

KOMÓRKA TAK TANIA, JAK TELEFON STACJONARNY.



29 gr/min

ROZMOWA MIĘDZYMIASTOWA



TERAZ W OFERCIE „WIĘCEJ I TANIEJ”
WYSTARCZY, ŻE WYBIERZESZ NUMER KIERUNKOWY
MIASTA, DO KTÓREGO NAJCZĘŚCIEJ DZWONISZ,
A TWOJE ROZMOWY BĘDĄ KOSZTOWAĆ
TYLKO 29 GROSZY ZA MINUTĘ (36 GR Z VAT).
DODATKOWO, MASZ CO MIESIĄC
80 DARMOWYCH MINUT LUB 320 SMS-ÓW
ZA 35 ZŁOTYCH ABONAMENTU (42,70 ZŁ Z VAT).
A WSZYSTKO TO PRZEZ CAŁY OKRES UMOWY.
NIE CZEKAJ, PRZEKONAJ SIĘ SAM!



MOŻESZ WIĘCEJ.



Wskutek ustawowego zamieszania część marszandów – na wszelki wypadek – nie bierze w komis nowych dzieł sztuki

Fot. MARZENA HMELEWICZ/AG

ARTYSTYCZNY BAŁAGAN Z VAT

NIKT NIE ROZUMIE SPRZECZNYCH ZAPISÓW USTAWY, KTÓRA DOSTOSOWUJE DO WYMOGÓW UNIJNYCH POLSKIE PRZEPISY O OPODATKOWANIU SZTUKI

Według obowiązującej od początku maja ustawy mamy doliczać do sprzedawanych dzieł 22 procent VAT. Ale do czego doliczać: do całej ceny czy do naszej marży? – zastanawia się Agnieszka Szyderska z galerii Antiqua w Warszawie. – Czy VAT dotyczy tylko dzieł, które trafiły do nas po 1 maja? – pyta Zuzanna Migo-Rożek z krakowskiej Rara Avis.

– Producenci są w kropce. Ustawa jest enigmatyczna – mówi Jacek Lipski, producent, członek Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Są w kropce, bo dotąd produkcje filmowe i telewizyjne (z wyjątkiem filmów reklamowych) nie były objęte VAT. Czy teraz są? Tego nie da się odczytać z ustawy.

Ustawa sugeruje za to, że VAT na wynagrodzenie artystów i umowy licencyjne twórców oraz tłumaczy wynosi siedem procent. Ale w innym miejscu ustawy – że zero.

– Spodziewamy się jak co roku kilkuset tysięcy złotych dotacji z budżetu państwa. Czy

mamy od niej zapłacić podatek? – rozmyśla Maciej Bargiłowski, wicedyrektor Teatru Współczesnego w Warszawie. Przepisy mówią bowiem, że VAT (nie wiadomo jakim) objęto też dotacje celowe. Dlatego problem ma Związek Kompozytorów Polskich, organizator Warszawskiej Jesieni. Nieznanej wysokości podatek od dotacji może okazać się dużo wyższy od wpływów z biletów. Być może nie opłaci się sprzedawać biletów, bo taniej będzie wpuszczać widzów za darmo.

– Przeniesiono na polski grunt wyrwane z kontekstu, źle tłumaczone przepisy unijne – ocenia ustawę Jerzy Kornowicz, prezes Związku Kompozytorów Polskich.

Nawet Ministerstwo Finansów wydaje się bezradne, bo urzędnicy też mają problem z interpretowaniem ustawy. Dlatego trwają już jakoby prace nad nowelizacją ustawy.

Trwają albo i nie. Tego też nie wiadomo na pewno.

JOANNA ŻEBROWSKA

NIEWYGODNY BOHATER

KILKA TYSIĘCY WARSZAWIAKÓW POŻEGNAŁO NA WARSZAWSKICH POWĄŻKACH PUŁKOWNIKA KUKLIŃSKIEGO. ZABRAKŁO PRZEDSTAWICIELI RZĄDU I PREZYDENTA

Społeczeństwo polskie jest podzielone w ocenie działalności pułkownika Kuklińskiego, dlatego rząd w tym sporze nie uczestniczy – tłumaczył nieobecność na pogrzebie przedstawiciela rządu Dariusz Jadowski, rzecznik kancelarii premiera. Dodał, że to, co było w gestii państwa, zostało zrobione: pułkownikowi przywrócono obywatelstwo, stopień, anulowano karę śmierci i wyprawiono pogrzeb z honorami wojskowymi, a wdowie po pułkowniku zapewniono pomoc finansową. – Był samotnikiem polskich zmagających się z komunizmem – żegnał Kuklińskiego biskup polowy Leszek Ślawoj Głódź. Christopher Hill, ambasador USA, powiedział, że dla Amerykanów pułkownik jest bohaterem i są oni wdzięczni za jego po-



Żona pułkownika Joanna podczas pogrzebu męża

Fot. ARKADIUSZ ŚCICHOCKI/AG

święcenie. Józef Szaniawski, pełnomocnik rodziny Kuklińskich, uważa, że byli przywódcy PRL zarzucający pułkownikowi zdradę zachowują się tak, jakby chcieli dochować wierności nieistniejącemu Układowi Warszawskiemu i nieistniejącej Polsce Ludowej.

(JOGA)

JOANNA GORZELIŃSKA

KREDYTY NIEWAŻNE?

LOS LUBIŃSKICH PARAFIAN WMANEWROWANYCH PRZEZ SALEZJAŃSKICH KSIĘŻY W WIELOMILIONOWE KREDYTY ZALEŻY OD DECYZJI PROKURATORA

Wstrzymania egzekucji i postępowań karnych wobec oszukanych lubinian domaga się Stowarzyszenie Pokrzywdzonych przez System Bankowy. Chodzi o ponad sto pożyczek o łącznej wartości 12 milionów złotych zaciągniętych przez wiernych z Lubina za namową salezjańskich księży i dla nich (o sprawie pisaliśmy w „Przekroju” nr 19/2004).

Nękanym przez komorników wiernych Kościół pozostawił na pastwę losu. Tych, którzy odważyli się pójść na skargę do dziennikarzy, nazywali „szatanami walczącymi z Kościołem”. Większość więc milczała, tym bardziej że dwa miesiące temu z Towarzystwa Świętego Salezego z Rzymu przyszła pierwsza rata (200 tysięcy euro) na spłaty 13 kredytów. Zaledwie 14 pokrzywdzonych odważyło się interweniować w Stowarzyszeniu Pokrzywdzonych przez System Bankowy. – Ludzie uwierzyli, że jak będą się modlić i milczeć, to salezianie spłacą długi i nagrodzą ich za pokorę – mówi Roman Sklepowicz ze stowarzyszenia. Sklepowicz doszukał się w umowach błędów prawnych i skierował wniosek do prokuratora krajowego Karola Napierskiego. – Umowy były podpisywane w większości przez jednego ze współmałżonków, który na polecenie pracownika Kredyt Banku składał podpis za żonę albo męża – mówi Sklepowicz. A prawo bankowe nakazuje, by bank potwierdził własnoręczność podpisów obojga małżonków pod rygorem nieważności umowy. – Jestem przekonany, że uda się unieważnić wszystkie umowy podpisane przez wiernych – kończy Sklepowicz. Czeką teraz na odzew prokuratora Napierskiego, który miałby zatrzymać egzekucje komornicze do czasu zakończenia śledztwa.



SZTUKA TWORZENIA SAMOCHODÓW

RENAULT MEGANE

www.renault.com.pl


Nie ma bezpiecznych dróg.
Są tylko bezpieczne samochody.

Najwyższa ocena – pięć gwiazdek w testach bezpieczeństwa Euro NCAP

Anna Dymna, Wojciech Mann, Wojciech Młynarski i Małgorzata Tułowiecka są laureatami IV EDYCJI KONKURSU

MISTRZ MOWY POLSKIEJ. Nagrody publiczności otrzymali Lucjan Kydryński i Jan Englert

EGZAMINY ZA SEKS I PIENIĄDZE

Włoska matura w liceum klasycznym. Zamiast się denerwować, można kupić eksternistyczny lewy egzamin

SERIA SKANDALI POKAZAŁA, ŻE WE WŁOSACH DYPLOMY I EGZAMINY MOŻNA KUPIĆ NA RYNKU JAK TOWAR

Policja aresztowała 23 osoby. Śledztwem objęto 400 podejrzanych. Sędzia w Cameriono ogląda wideo, które można by uznać za pornografię, gdyby nie to, że „gwiazdami ekranu” są w nim profesor i młoda uczennica. Jedną ze szkół w Rzymie zajmowała się właściwie jedynie organizacją takich eksternistycznych matur. Miała na liście 40 zwykłych uczniów, a egzaminy organizowała dla okrągłego tysiąca. Cała firma Dyplom bez Problemu osiągała roczne obroty wysokości pięciu milionów euro. Jej działalność umożliwiła nowa ustawa przyjęta za czasów rządów koalicji centrolewicowej, która zezwoliła szkołom prywatnym na organizację egzaminów zastrzeżonych wcześniej dla placówek państwowych. Podobnie dzieje się w włoskich uniwersytetach. Jeden z profesorów wydziału prawa na uniwersytecie Sapienza zaliczał egzaminy za kwoty od tysiąca do trzech i pół tysiąca euro. Policja zajęła się skandalem na wniosek ministra edukacji Letizia Morattiego. Najwyższa pora.

O sprzedawanie wyższych ocen za usługi seksualne zostało oskarżonych dwóch profesorów uniwersyteckich. Jeden z nich popełnił samobójstwo, wyskakując z balkonu swojego domu. Drugi tłumaczył się, że studentki zwabił jego urok osobisty. Co prawda 7 czerwca został uniewinniony, ale będzie musiał zapłacić uniwersytetowi grzywnę w wysokości 120 tysięcy euro za naruszenie jego dobrej reputacji.

Szkola w Crema jest tylko jedną z 34 włoskich szkół średnich objętych śledztwem w sprawie handlu egzaminami. Według prokuratorów matura

oferowana przez organizację o nazwie Dyplom bez Problemu kosztowała od dwóch do ośmiu tysięcy euro. Zdający dostawali przed egzaminami odpowiedzi na pytania pisemne i ustne. Jedną ze szkół w Rzymie zajmowała się właściwie jedynie organizacją takich eksternistycznych matur. Miała na liście 40 zwykłych uczniów, a egzaminy organizowała dla okrągłego tysiąca.

Cała firma Dyplom bez Problemu osiągała roczne obroty wysokości pięciu milionów euro. Jej działalność umożliwiła nowa ustawa przyjęta za czasów rządów koalicji centrolewicowej, która zezwoliła szkołom prywatnym na organizację egzaminów zastrzeżonych wcześniej dla placówek państwowych. Podobnie dzieje się w włoskich uniwersytetach. Jeden z profesorów wydziału prawa na uniwersytecie Sapienza zaliczał egzaminy za kwoty od tysiąca do trzech i pół tysiąca euro. Policja zajęła się skandalem na wniosek ministra edukacji Letizia Morattiego. Najwyższa pora.

(„THE ECONOMIST”)

BEZ LISTKA FIGOWEGO

Sondaż obala ostatni argument, jaki miał prezydent Bush na usprawiedliwienie interwencji w Iraku

Tylko dwa procent Irakijczyków uważa Amerykanów za wyzwoliciele, a 92 procent chce, by wojska koalicji natychmiast się wycofały. Sondaż przeprowadzono na zlecenie władz okupacyjnych, które utrzymywały, że mają poparcie większości Ira-

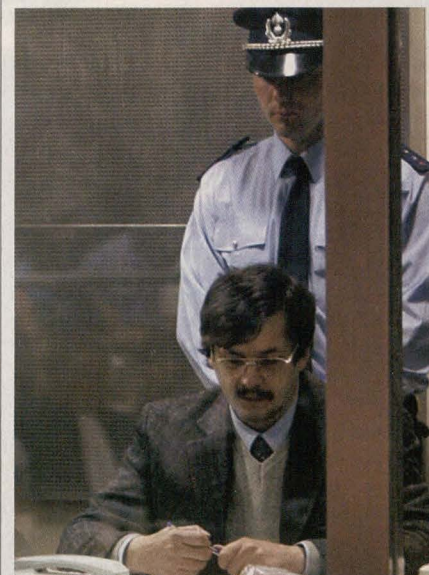
kijczyków, a z Amerykanami walczą tylko nieliczne grupy zagranicznych terrorystów.

Konieczność wyzwolenia Irakijczyków spod tyranii była jedną z trzech głównych przyczyn inwazji na Irak. Dwie pozostałe – istnienie tam broni masowego rażenia i powiązania Saddama z Al-Kaidą – okazały się propagandowym wymysłem Pentagonu. Po kilkunastu miesiącach obecności koalicji w Iraku okazuje się, że ludność tego kraju nie jest Amerykanom wdzięczna nawet za obalenie Saddama Husajna. (QBA)

PEDOFIL BYŁ SAM?

BELGIJSKI PROCES STULECIA, W KTÓRYM SKAZANY ZOSTAŁ PEDOFIL MARC DUTROUX, NIE PRZYNIÓSŁ ODPOWIEDZI NA PYTANIE, CZY STAŁY ZA NIM WPŁYWOWE OSOBISTOŚCI

Kara dożywocia za uprowadzenie i zgwałcenie sześciu dziewczynk oraz zamordowanie czterech z nich nie była zaskoczeniem. Kiedy zamykaliśmy ten numer, wyrok ławy przysięgłych zatwierdzić miał jeszcze sąd. Od 1996 roku, gdy w lochu wykopanym pod domem Dutroux policja znalazła dwie wyczerpane dziewczynki, a w ogrodzie zakopane ciała czterech innych, jego wina była oczywista. Ciągłe niejasna jest rola, jaką w zbrodniach Dutroux odgrywał jego współnik Michel Nihoul. W śledztwie prowadzonym po zatrzymaniu pedofila ujawniono między innymi powiązania Nihoula z mordercami byłego belgijskiego wicepremiera. André Cools został zastrzelony, gdy próbował



Marc Dutroux w sądzie. Winowajca poniesie karę

ujawnić aferę łapówkarską, która zakończyła się później dymisją szefa NATO Willega Claasa. Prokurator, który ujawnił te powiązania, został odsunięty od śledztwa. Jeden z jego następców, planujący zbadanie tego samego tropu, popełnił samobójstwo, podobnie jak jeden ze świadków. Manipulacje wokół śledztwa przeciw Dutroux wywołały przed laty demonstracje setek tysięcy ludzi na ulicach Brukseli. Ogłaszając go winnym, sąd w Arles potwierdził jednocześnie brak dowodów na istnienie wpływowego gangu pedofilów.

JAKUB MIELNIK

NIE MA RZECZY NIEMOŻLIWYCH!



SMS-y w sieci po **1 5** gr z VAT!



Zestaw z telefonem tylko

1 7 5 zł z VAT!

5 5 zł na gadanie i SMS-y!

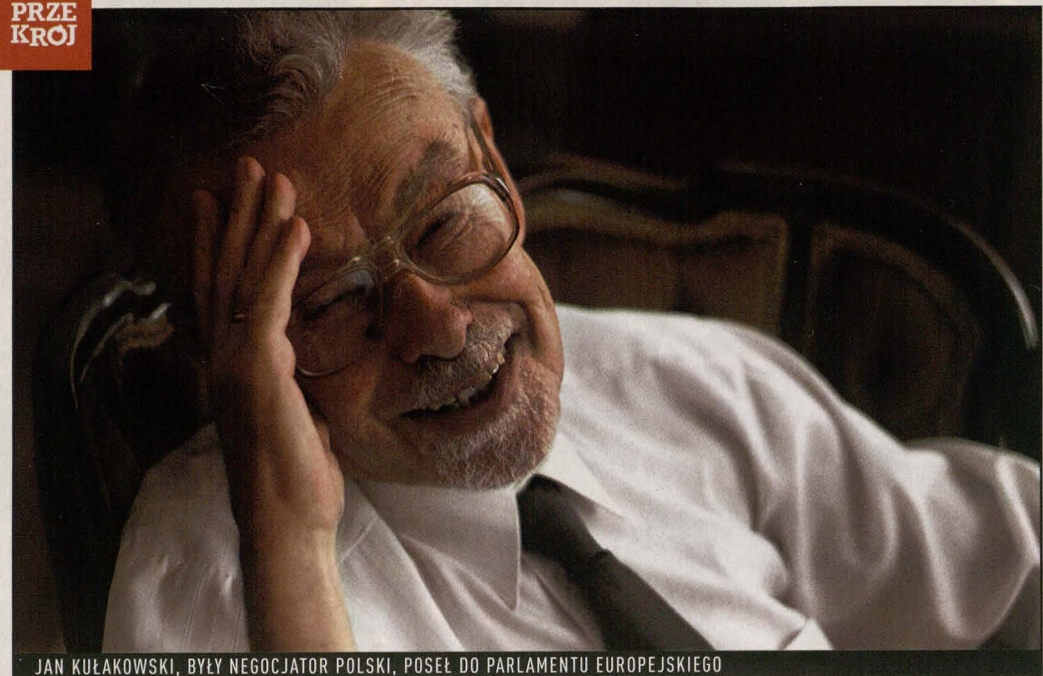
Szczegóły: www.simplusteam.pl

Informacja i Sprzedaż: 0 801 400 601

SIMPLUS TEAM

Film Andrzeja Jakimowskiego „ZMRUŻ OCZY” OTRZYMAŁ GRAND PRIX na festiwalu filmowym

w rosyjskim Soczi. Rok temu nagrodę odebrał tam Henryk Gołębiowski za rolę w „Edim”



Fot. Andrzej Wawok/Reporter, Piotr Malecki/Newsweek/Forum

JAN KUŁAKOWSKI, BYŁY NEGOCJATOR POLSKI, POSEŁ DO PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO

ANI PIEKŁO, ANI RAJ: KOMPROMIS

KATARZYNA KOLENDA-ZALESKA:
Czuje się pan zdradzony?

JAN KUŁAKOWSKI: Przez kogo?!
Przez polski rząd, który w Brukseli podpisał się pod traktatem konstytucyjnym, tą współczesną Targowicą?

– Pani żartuje, prawda?
Ja może trochę, choć Roman Gier-tych na pewno nie.

– No to powiem pani, że o żadnej Targowicy nie ma mowy. Uważam, że rząd podjął decyzję rozsądną i bardzo odważną. Premier Belka z pewnością wiedział, jakie piekło się tu rozpęta.

I rozpętało się.
– A to ani piekło, ani raj. Zwykle porozumienie zawarte przez 25 państw i oparte na kompromisie.

No właśnie. Kompromis nigdy nikogo nie zadowala.

– Ale też nikogo nie pognebia. Na tym polega jego siła.

Tylko że jednym udaje się wynegocjować więcej, a innym mniej. I zdaniem LPR-u, PiS-u i Platformy Obywatelskiej nam udało się wynegocjować mniej.

– Udało się wynegocjować dokładnie tyle, ile się dało. Muszę dokładnie przestudiować zasadę mechanizmu, który pozwoli Polsce na blokowanie decyzji, ale sposób podejmowania przez Radę UE decyzji, owa podwójna większość, jest moim zdaniem zadowalający. Jeśli chodzi o interesy Polski, to zmniejsza się dystans między traktatem nicejskim a traktatem konstytucyjnym. Postanowienia wchodzą w życie dopiero w 2009 roku. Do tego

czasu obowiązywać będzie nas Nicea, a co się wydarzy przez ten czas, jeszcze nie wiemy. Jestem jednak przekonany, że traktat polepszy funkcjonowanie Unii Europejskiej. Europa oznacza wszystkich, a nie tylko jednego. Nikt nie może być lepszy od innych. To sprzeczne z ideą integracji.

Mówi pan o Unii, a tu chodzi o Polskę.

– O ile wiem, Polska jest członkiem Unii Europejskiej od 1 maja.

I nie jest już krajem w pełni suwerennym?

– Polska dobrowolnie, poprzez referendum, zgodziła się wejść do UE, a tym samym zgodziła się grać według jej reguł. W niektórych dziedzinach, określonych traktatowo, następuje pewnego rodzaju uwspólnotowanie suwerenności. Rzeczywiście. Rezygnujemy z elementów suwerenności. Ale przecież dotyczy to nie tylko nas, ale wszystkich państw tworzących wspólnotę. Może i utraciliśmy rąbek suwerenności, ale uzyskaliśmy udział w suwerenności innych krajów.

A gdzie już utraciliśmy rąbek suwerenności?

– Niektórych decyzji gospodarczych nie podejmujemy samodzielnie, kierując się wyłącznie naszym interesem. Ale też zastanówmy się, co dzięki temu zyskaliśmy? Szansę na lepsze życie i szybszy rozwój. Jestem zdania, że także w sprawach bezpieczeństwa i w polityce zagranicznej potrzebne jest ściślejsze współdziałanie. Wiado-

mo, że będzie europejski szef dyplomacji. Nie sądzę jednak, aby zagroziło to nam w podejmowaniu niezależnych decyzji. My opowiedzieliśmy się za poparciem Stanów Zjednoczonych w wojnie z Irakiem. Francja i Niemcy były przeciw. W tej sprawie nie było żadnej decyzji UE.

Kiedy słucham pana i Jarosława Kaczyńskiego, mam wrażenie, że rozmawiamy o dwóch innych szczytach UE. Pan chwali Marka Belkę, lider PiS-u mówi o kapitulacji polskiego rządu.

– Przestańmy używać tego okropnego wojskowego języka. Kapitulacja, powiada pani. No i co jeszcze? Okopy Świętej Trójcy, reduta Ordo-na? Mamy umierać na szafkach? Będziemy bohaterami tylko dla nas samych. Od 50 lat Unia Europejska rozwija się, idąc od kompromisu do kompromisu. Gdyby każdy chciał postawić na swoim, wspólnota dawno by się rozpadła.

Nie tylko w Polsce krytykuje się traktat konstytucyjny.

– Wszędzie europejska konstytucja jest wykorzystywana przez opozycję do prowadzenia wewnętrznej polityki. Jestem przekonany, że albo kompletnie nie rozumieją, czym jest jednoczenie Europy, albo jest to po prostu gra obliczona na najbliższe wybory i przejęcie władzy.

Naprawdę nie mogliśmy nic więcej uzyskać?

– Proszę pani, byłem negocjatorem przez trzy i pół roku. Zawsze pytałem siebie, czy można było uzyskać więcej, i często myślałem, że można było. Jestem jednak przekonany, że w Brukseli nasi negocjatorzy stanęli przed alternatywą – albo podpisują traktat, albo nie. Negocjacje się skończyły, przyszedł czas na decyzję.

A gdyby Marek Belka posłuchał opozycji i stanowczo zagroził zablokowaniem traktatu, to być może udało by się nam osiągnąć więcej.

– Na pewno więcej... Odpowiada pani rola trędowatego Europy?

Skąd pan wie? Może trzeba było zagrać va banque?

– Nic by z tego nie wyszło. Europa jest zdefiniowana i Europie naprawdę potrzebne są ustalone ramy działania. Polska tylko by straciła. Co prawda jesteśmy krajem, dzięki któremu, dzięki rewolucji Solidarności, zjednoczenie w ogóle stało się możliwe, ale jednak jesteśmy krajem średniej wielkości.

Ale tak naprawdę, to co by się stało, gdybyśmy zerwali ten szczyt?

– Unia poszłaby swoją drogą, do przodu, nie oglądając się na nas. Zostalibyśmy sami, odizolowani i na indeksie. To naprawdę byłoby fatalne.

A nie stało się fatalnie, że rząd podpisał traktat, w którym nie ma odniesienia do wartości chrześcijańskich?

– Tu się zgadzam. To niedobra decyzja. Ale nasz rząd świetnie się spisał, za co nawet Jan Paweł II mu dziękował.

Czy to jednak nie był wystarczający argument do odrzucenia traktatu?

– Nie bądźmy święci od Papieża. Watykan z zadowoleniem przyjął sam traktat, choć oczywiście ubolewa z powodu chrześcijaństwa. Ja też ubolewam. Chrześcijaństwo odegrało znaczącą rolę w historii i kulturze Europy.

Czy więc rząd nie powinien był odrzucić traktatu, który o tym nie mówi?

– Nie przesadzajmy. Szkoda, że nie ma odwołania do wartości chrześcijańskich, ale też żadna tragedia się nie stała. Nikt nam nie odbiera prawa do promowania wartości chrześcijańskich. Wiele krajów Europy jest przekonanych, że teksty polityczne powinny być pozbawione treści religijnych. W tej sprawie pięknie walczyliśmy do końca, ale naprawdę zostaliśmy sami.

Choć politycy uzgodnili treść traktatu, to o jego ostatecznym przyjęciu zdecydują obywatele Europy. Referenda odbędą się w wielu krajach, także w Polsce. Opozycja już wzywa do odrzucenia konstytucji.

– Poczekajmy spokojnie, mamy dwa lata na podjęcie decyzji. Zobaczmy, co zrobią inne państwa. Być może już niedługo trzeba będzie na nowo zacząć pisać konstytucję.

Po co czekać? Gdyby dziś odbyło się w Polsce referendum, traktat znalazłby się w koszu. Nastroje społeczne zmieniają się radykalnie w ciągu najbliższych miesięcy.

– Pewnie się nie zmienia, ale jeśli wcześniej traktat zostanie odrzucony gdzieś indziej, Polska będzie w innej sytuacji. Gdyby dziś nasz rząd zablokował traktat, byłibyśmy winni tylko my. A tak wina rozłoży się na innych. Ten traktat należy zaakceptować i zobaczyć, jak funkcjonuje. Jeśli coś znacznie szwankować, to zawsze można poprawić. Przecież nie związaliśmy sobie rąk na wieki wieków.

ROZMAWIAŁA KATARZYNA KOLENDA-ZALESKA, TVN24

ODESZLI



LECH KALINOWSKI

Lech Kalinowski, 84, światowej sławy historyk sztuki, mediewista, metodolog. Przed wojną był we Lwowie uczniem profesor Karoliny Lanckorońskiej, po wojnie jej serdecznym przyjacielem. Jako nieoficjalny przedstawiciel Fundacji Lanckorońskich w Polsce pośredniczył w jej akcji stypendialnej. Od 1945 roku był związany z Uniwersytetem Jagiellońskim. W 1962 roku został profesorem. Wykładał na uniwersytetach w Princeton i w Baltimore. Zajmował się głównie sztuką średniowiecza i renesansu. Zdaniem kolegi po fachu Mieczysława Porębskiego profesor Kalinowski rozumiał powołanie uczoności jako „nieustający ani na moment przekaz inspiracji, które płyną od mistrzów ku uczniom”.



JAMES FERON

James Feron, 75, dziennikarz „The New York Timesa”. Zaczął pracować w gazecie jako goniec w 1952 roku. Jednocześnie studiował dziennikarstwo. Po ukończeniu szkoły szybko awansował na szefa reporterów. W ciągu ponad 40-letniej kariery nadawał relacje z Jerolimym, Moskwą i Warszawą. Był sprawozdawcą w czasie wojny o Falklandy oraz operacji militarnej Stanów Zjednoczonych w Grenadzie. W 1960 roku jako młody reporter był świadkiem słynnego wyczynu Nikity Chruszczowa, który podczas obrad ONZ zdyktował but z prawej nogi, by pogrozić nim delegacji Filipin. Dziennikarze pisali, że następnie przywódca ZSRR walnął butem w stół. Feron potwierdzał, że Chruszczow pogroził, ale zaprzeczył, jakoby uderzył w stół.

Fot. AP, INSTYTUT HISTORII SZTUKI UJ

Oprocentowanie w skali roku

6.8%

4-letnie Obligacje Skarbowe

Ty też możesz je mieć:

- oferowane w placówkach PKO BP lub przez telefon czy Internet
- wystarczy już 100 zł i jeden podpis
- zmienne oprocentowanie oparte na inflacji
- stała marża odsetkowa gwarantuje realny zysk
- odsetki wypłacane co roku
- możliwość wcześniejszego wycofania pieniędzy



MINISTERSTWO FINANSÓW
OBLIGACJE SKARBOWE

www.obligacjeskarbowe.pl
infolinia: 0 801 310 210 (opłata jak za połączenie lokalne)

Jak prosto oszczędzać



a właściwie
to...



Ubezpiecz się od Leppera

Warto mieć rząd. Czyli ministrów. A konkretnie jednego – ministra rolnictwa. Wreszcie przydał nam się Wojciech Olejniczak, bo przytomnie zauważył, że „Samoobrona powinna oddać pieniądze tym rolnikom, którzy uwierzyli, że po naszym wejściu do Unii niczego nie sprzedadzą, i w efekcie tej wiary ograniczyli produkcję i ponieśli straty”. Szczególnie hodowcy krów i świń, bo trwa hossa na tym rynku, ceny gwałtownie rosną, a nasze mięso hurtowo trafia za granicę. Teraz sprzedalibyśmy tam każdą ilość, ale pesymizm rolników podsycany przez Leppera spowodował, że tej „każdej ilości” nie mamy. Zresztą, na marginesie, sytuacja dojrzała do tego, że towarzystwa ubezpieczeniowe powinny zacząć ubezpieczać

rolników nie tylko od gradobicia, lecz także od słuchania rad Leppera. A politycy, zamiast wyzywać Leppera od barbarzyńców, powinni pomóc zorganizować się poszkodowanym jego propagandą antyunijną rolnikom i wraz z nimi demonstrować pod hasłem: „Lepper, oddaj nasze miliony!”. Tym bardziej że sam przywódca Samoobrony, hodowca świń, nie ograniczył swojej produkcji i zarabia także na „wrażach” unijnych dopłat. I jeśli ktoś chce zatrzymać pochód Samoobrony do władzy, to powinien taki ruch poszkodowanych przez Leppera organizować czym prędzej, bo po jego rządach wszyscy będziemy poszkodowani i wtedy na pewno nas nie spłaci. Jest bogaty, ale nie aż tak.

PIOTR NAJSZTUB

MACIEJOWSKI

TALLIN MEYER KEINE



© MARCIN MACIEJOWSKI/MEYER-KAINER GALLERY

Dość hysterii

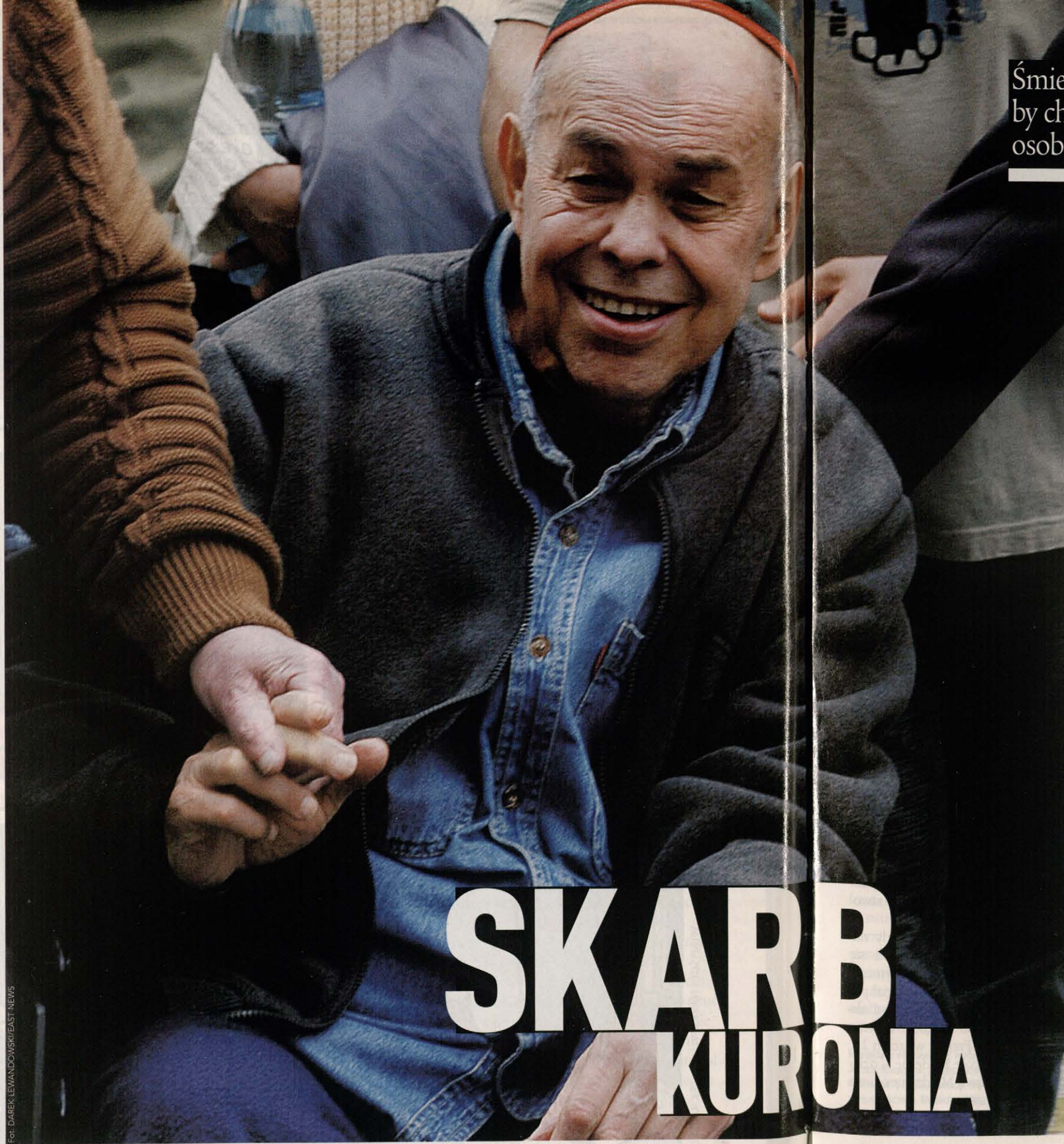
Oglądałem konferencję Marka Belki po pierwszym dniu szczytu w Brukseli. O dziwo, zamiast zwyczajowego brukselskiego bełkotu polskiego rządu usłyszałem polityka, który składnie i rzeczowo relacjonuje swoje stanowisko, a zapytany o własne zdanie mówi wprost, co myśli. Pierwszy raz od dawna zobaczyłem w Brukseli kogoś, kto nie inscenizuje obrony Częstochowy, nie rzuca politycznych zaklęć, nie próbuje wypowiadać samospełniających się przepowiedni i nie nadrabia kompleksów narodową demagogią. Uwierzyłem, że Belka stara się po prostu jak najlepiej wykonać swoje zadanie. I dlatego wierzę mu, kiedy mówi, że negocjując zmiany unijnej konstytucji, zrobił wszystko, co było w jego mocy. Boję się rządów obecnej opozycji, bo jak jeden mąż zapowiada ona brukselską wojnę podjazdową. Nigdy nie wyrośniemy na liczącego się gracza, jeśli nasza polityka będzie polegać na robieniu sobie wrogów, wydzieraniu postulatów z gardła, stawianiu warunków z sufitu i nieustających roszczeniach. Gdzie jest konstruktywizm? Do czego zamierzamy wykorzystać prawo głosu, o które tak walczyliśmy? Co proponujemy reszcie krajów w czasie polskiej prezydencji? Czy może chcemy jak Berlusconi bez ceregieli załatwiać prywatne interesy? Niebawem może się okazać, że Unia rzeczywiście nas uciska, ale nie podwójną większością czy brakiem Boga w konstytucji, lecz władzą, której nie będziemy w stanie w pełni wykorzystać. Dlatego wołałbym, żeby na następnym szczycie reprezentował nas ktoś pokroju Marka Belki, a nie jeden z histeryków-pseudopatriotów, którzy chcieliby go zastąpić.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

raczej RACZKOWSKI



WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



Śmierć Jacka Kuronia wstrząsnęła nami wszystkimi. On sam pewnie by chciał, żebyśmy w naszych głowach i sercach oprócz pamięci o Jego osobie zachowali przede wszystkim to, czego nas uczył

SKARB KURONIA

Jacek chciał spocząć naprzeciw okien swojego mieszkania na warszawskim Żoliborzu. Mówił, że chce, by stał tam kamień – tak by zakochani mogli umawiać się „pod Jackiem” w parku Żeromskiego.

Nie chodziło o pomnik. Po prostu chciał pozostać wśród żywych. A może wśród młodych, którym okazywał niezwykle szacunek. Bo Jacek był uosobieniem młodości. Pewnie dlatego był genialnym wychowawcą, że młodzi jak w zwierciadle widzieli w nim własny idealizm, czuli z jego strony akceptację dla swoich bezkompromisowych postaw i podziw dla młodzieńczego zapału do zmieniania świata. Ktoś powiedział mi niedawno, że „młodość to choroba, z której się, proszę pana, wyrasta”. Jeśli uznać, że młodość jest rzeczywiście chorobą, to Jacek był na nią nieuleczalnie chory.

To dzięki niej stał się pomostem pomiędzy pokoleniami i żywym znakiem, że kto chce zmieniać świat, musi namiętnie wierzyć w rzeczy niemożliwe. Patrząc na Jacka jako młody człowiek, widziałem, jak wielka historia splata się w nim z tym, co dla nas, młodych, najcenniejsze – z niezłomną wiarą w idee, wartości i człowieka. Jacek dodawał nam otuchy, bo odkrywaliśmy, że nasze „szklane domy” są też jego „szklanymi domami”. Jednocześnie pokazywał, że idealizm zobowiązuje do czynów.

Dziś czuję wstyd, że niekiedy uważałem jego poglądy za utopijne. Ten sam wstyd niedowiarków przebija też przez niektóre wspomnienia jego rówieśników i „towarzyszy broni”. Przebija, bo jego niegdysiejsze utopie – jak choćby wolna Polska – często okazywały się później proroczymi wizjami przyszłości. Był największym marzycielem, ale i wizjonerem. Jego śmierć jest stratą, bo Polsce najbardziej brakuje dziś ludzi idei. W świecie, który na każdym kroku zadaje kłam ideom i wizjom, idealizm stał się niemodnym przeżytkiem.

Nie było mnie na świecie, gdy Jacek po raz pierwszy siedział w więzieniu, niczego z nim nie organizowałem, nie prowadziłem z nim nawet żarliwych dysput. Los, a raczej miłość sprawiła, że przez kilka

ostatnich lat żyłem obok niego jako nowy członek rodziny. Pamiętam zaledwie przejmującą rozmowę o Ewangelii, w której Jacek z podziwem i wzruszeniem mówił o Chrystusie jako pierwszym i największym humaniście. Pewnie powinienem się wstydić, ale osobiście doceniłem go w pełni dopiero teraz. Dziś żałuję nieodbytych rozmów i niezdobytch nauk, pocieszając się jednocześnie, że obcowanie z człowiekiem uczy co najmniej tyle samo co jego słowa.

Jacek, jakiego znałem przez ostatnich pięć lat, nie był politykiem. Był młodym, niepokornym idealistą. Młodszy duchem od nas wszystkich, a jednocześnie szalenie doświadczony życiem. On się nie starał. Wręcz przeciwnie – pokonywał upływ czasu, bo do końca życia się uczył. Jako pierwszy zdał sobie sprawę, że po walce o prawo do wolności i demokracji trzeba stoczyć dużo cięższy bój o to, by ludzie mieli możliwość i warunki, by z tych idei korzystać. Że musimy wymyślić własną wolność i demokrację, że trzeba położyć pod nią fundamenty, przygotować grunt. Dlatego u kresu życia powrócił do swoich źródeł, do pracy wychowawczej. Powrócił, choć ze swoimi zasługami mógł bez wyrzutów sumienia spocząć na laurach. Ten powrót odbył się z dala od mediów, które chciały i chcą widzieć w nim przede wszystkim bohatera opozycji i polityka. A on u kresu życia był już kimś innym.

Ostatnie lata Jacek przeżył dzięki oddaniu i miłości swojej żony Danusi. I to właśnie z nią zapoczątkował ostatnie, w pewnym sensie najbardziej przyszłościowe dzieło – rewolucję w edukacji, której początkiem jest działający od dwóch lat Uniwersytet Powszechny w Teremiskach. Danusi zostawił jeden z najpiękniejszych prezentów, jakie kiedykolwiek widziałem – misję na resztę życia, w której będzie jej nieustannie towarzyszył. Nam wszystkim została jego ostatnia książka, której fragment dalej publikujemy. Książka o utopii, która – jak znam Jacka – stanie się rzeczywistością. Tak jak kamień dla zakochanych w parku Żeromskiego.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

PRIUS **START** NOW



Ty czerpiesz z jazdy przyjemność, on energię



DLA MOICH WNUKÓW

Doświadczenia polityczne III Rzeczypospolitej prowadzą do wniosku, że demokracji uprawiać nie umiemy. W ostatnich latach demokracji nie umieją uprawiać również obywatele USA, Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec i innych krajów starej demokracji. Nie chodzi tu o złe decyzje, tylko o stałą skłonność do wchodzenia w sytuacje bez wyjścia.

W historii wielokrotnie zdarzały się momenty застоju – zazwyczaj tuż przed przełomem – kiedy „stare” już mijało, a „nowe” jeszcze się nie pojawiło. W takim stanie pustki ludzie zawsze szukają sobie miejsca, punktu oparcia, skali odniesienia. Bardzo często odwołują się wtedy do przeszłości, skrajnie ją idealizując. Ale dziś żyjemy w nowej epoce gospodarczo-społecznej i ponawiane wciąż próby „powtórek”, odwołujące się czy to do kapitalizmu, czy biurokratycznego socjalizmu, prowadzą tylko do sytuacji patowych. Musimy szukać nowych rozwiązań. (...)

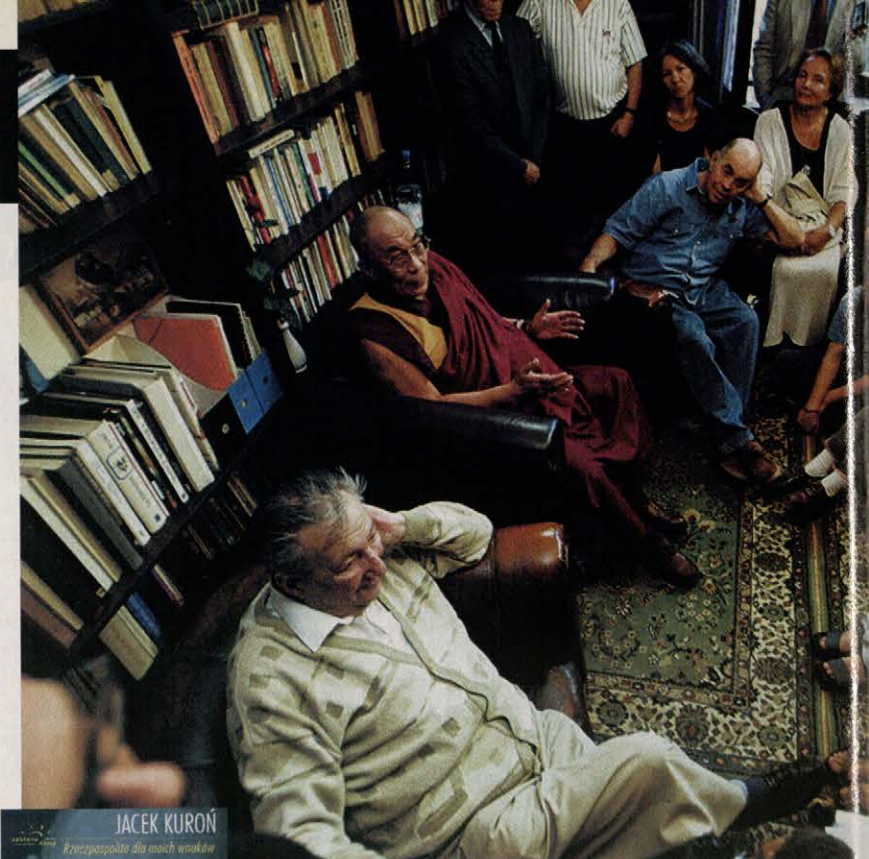
Przewrót informatyczny po raz pierwszy w dziejach ludzkich wywołuje od razu społeczne skutki o zasięgu globalnym. Ponieważ dokonał się wyłącznie w sferze technologicznej, zniszczeniu ulega kultura rozwiniętego, uspołecznionego kapitalizmu. W roku 1998 majątek trzech najbogatszych ludzi świata był większy niż suma PKB brutto 48 najbiedniejszych krajów rozwijających się. Drobną, stale malejącą grupką o nieograniczonym dostępie do kultury przeciwstawia się olbrzymiej większości ludzi niemal całkowicie pozbawionych tego dostępu. (...)

KOCHAĆ I TWORZYĆ

Na skutek przemijania dotychczasowej ery tracimy zdolność posługiwania się kulturą jako narzędziem realizacji naszych dążeń. Kultura żyje i funkcjonuje wówczas, gdy udziela odpowiedzi ogółowi członków społeczeństwa na jedno zasadnicze pytanie: „Jak żyć?”. Żyć po ludzku znaczy kochać i tworzyć. Razem z drugim człowiekiem tworzyć wspólny świat. Odpowiedź ta obejmuje całe życie człowieka łącznie, w sposób jednolity. Każda kultura pełni tę funkcję w sposób zróżnicowany wobec członków społeczeństwa.

Zanik idei towarzyszący zanikowi kultury praktycznie blokuje ruchy społeczne, co prowadzi do zablokowania demokracji. Upowszechnienie przekonania, że pieniądze są jedyną wartością, w zasadniczy sposób deformuje demokrację. Skala i zakres tego zjawiska są olbrzymie. (...)

Podstawowe dążenia człowieka – kochać i tworzyć – wymagają możliwie najszerszego dostępu do kultury. Dlatego trzeba go umożliwić wszystkim ludziom. W tym celu musimy w globalnej debacie publicznej – na uniwersytetach, w mediach, w ruchach społecznych, korzystając z nowych technologii informatycznych – wypracować program powszechnej edukacji. Ten kolejny krok dziejowy musimy zrobić świadomie. Musimy podjąć działanie, które każdemu mieszkańcowi naszej planety umożliwi pełny dostęp do twórczej edukacji.



Celem globalnej rewolucji edukacyjnej jest zapewnienie powszechnego dostępu do całej ludzkiej kultury. (...)

REWOLUCJA W EDUKACJI

Wyobrażam to sobie tak: przygotowania do globalnej rewolucji edukacyjnej zacząć trzeba od skrzyknięcia na całym świecie ludzi, dla których oświata jest sprawą najważniejszą czy jedną z najważniejszych. Ludzie ci zorganizują się w grupy wokół wspólnych pomysłów i inicjatyw. Powstający w ten sposób ruch powinien przygotować program nowych szkół i wykształcić wychowawców, działając takimi samymi metodami, według jakich zorganizowane zostaną nowe szkoły. (...)

Podstawowym zadaniem inicjatorów będzie tworzenie owych placówek – mam na myśli nie tylko szkoły, ale różnego typu instytucje, od przedszkoli po uniwersytety, które powstaną równolegle do istniejącej już sieci oświatowej. Młodzieży należy zagwarantować swobodny wybór dotychczasowej szkoły lub nowego rodzaju placówki stworzonej przez ruch edukacyjny. (...)

Nowe szkoły muszą odrzucić tradycyjne metody nauczania. Przywykliśmy do tego, że szkoła dzieli się na tych, którzy nauczają, i tych, którzy się uczą. Tymczasem już w końcu XIX wieku wśród pedagogów niemal powszechne było przekonanie, że szkoła powinna być aktywna. Liczni entuzjaści wypracowali metody uczenia zadaniowego. Najbliższy mi Célestin Freinet w latach 20. zeszłego stulecia zainicjował ruch Ecole Moderne – działający do dziś w 40 krajach pod nazwą Międzynarodowa Federacja Ruchów Szkoły Nowoczesnej.



Maj 2000 r. Spotkanie z Dalajlamą i Markiem Edelmanem w mieszkaniu Jacka Kuronia. Powyżej: 20 czerwca 2004 r. Studenci Uniwersytetu Powszechnego w Teremiskach sądzą krzak róży dla Jacka Kuronia

Freinet odwołał się do swobodnej ekspresji i twórczego działania dziecka. Zrezygnował więc w szkole podstawowej z podręczników, klas i lekcji. W zamian zaproponował techniki polegające na tym, że dzieci wybierają dla siebie zadania ze specjalnie przygotowanych zbiorów, po czym rozwiązują je na podstawie własnych lektur i rozmów z łachowcami. Dzięki temu młodzi ludzie nie tylko zdobywają wiedzę, lecz także uczą się sposobu jej zdobywania, co w dobie rewolucji technologicznej jest umiejętnością nie do przecenienia. (...)

Jeszcze przez 10–15 lat większość ludzi żyć będzie w warunkach „zdziczałego” kapitalizmu. Ale rewolucja edukacyjna zmieni oblicze świata. Jestem przekonany, że to jej uczestnicy stworzą ład społeczny epoki informatycznej. Stworzą oni kulturę zgodną ze swoimi pragnieniami, marzeniami, dążeniami. Wolno przypuszczać, że będzie ona stanowiła pełną kontynuację wszystkiego, co najlepsze w dorobku ludzkości. Wierzę, że zagwarantują oni suwerenność każdej osoby ludzkiej i warunki jej podmiotowości – pełny dostęp do całej kultury ludzkiej.

WYBRANE FRAGMENTY POCHODZĄ Z OSTATNIEJ KSIĄŻKI JACKA KURONIA „RZECZPOSPOLITA DLA MOICH WNUKÓW”, KTÓRA UKAŻE SIĘ NIEBAWEM NAKŁADEM WYDAWNICTWA ROSNER I WSPÓLNICY

Rewolucja edukacyjna Jacka Kuronia już się zaczęła. W drewnianej szkole w Puszczy Białowieskiej od dwóch lat działa Uniwersytet Powszechny imienia Jana Józefa Lipskiego założony przez Jacka i Danutę Kuroniów. Ten pilotażowy projekt edukacyjny to pierwsza w Polsce szkoła życia w świecie globalnym stworzona z myślą o tych, którym w nowej rzeczywistości jest najtrudniej – młodzieży pochodzącej ze wsi i małych miast o bardzo dużym bezrobociu, mającej utrudniony dostęp do edukacji i kultury. Jak podkreślają organizatorzy, nie jest to kolejny projekt doraźnej, socjalnej samopomocy. Uniwersytet w Teremiskach to szkoła idei – nie tylko ośrodek przekazywania wiedzy, ale przede wszystkim nauki życia. Studenci uczą się wiary w siebie i swoje marzenia, świadomego budowania własnej tożsamości i światopoglądu, budowania relacji międzyludzkich, a także planowania przyszłości zawodowej i szukania swojego miejsca we współczesnym, gwałtownie zmieniającym się świecie. Służy temu wspólne domowe życie, spotkania z ludźmi, uczestnictwo w kulturze, a także zajęcia z myśli społecznej, animacji działań lokalnych, wielokulturowości, historii, przedsiębiorczości, angielskiego, przyrody i współczesnych mediów. Rezultaty są imponujące: spośród 20 absolwentów pierwszego roku Teremisek dziewięć osób studiuje w wyższych szkołach, jedna uzupełnia maturę, a pozostali przygotowują się do egzaminów na uczelnie. Jedną prowadzi działalność gospodarczą, a pięć ma podpisane umowy o pracę. – Sceptycy mówią nam: „To nie ma sensu. Pracujecie z 20 studentami rocznie” – mówi wychowawca Katarzyna Winiarska. – My odpowiadamy: „Świata nie zmieniają nieokreślone masy, tylko konkretne grupy pojedynczych ludzi działające w środowiskach lokalnych. Pierwszy komunikat Komitetu Obrony Robotników podpisał 16 osób”. Pod koniec życia Kuroń powrócił do swego pierwszego powołania. Bo zanim został opozycjonistą, działaczem politycznym, a w końcu politykiem, był wychowawcą. I jako wychowawca przeżył też ostatnie lata swego życia. Absolwenci Teremisek zamykają ciąg pokoleń rozpoczęty przez „walterowców”. Kuroń zostawia ich z bardzo konkretną misją. Misją zmieniania świata na lepsze.

KURON DLA „PRZEKROJU”

Jesteśmy w koalicji z Ameryką. Czy jesteśmy współodpowiedzialni za zbrodnie?

– Chciałbym, żeby moje wartości wyznawali wszyscy ludzie na świecie. Złe się zaczyna działać dopiero wtedy, kiedy próbujemy to zrobić przemocą, zwłaszcza przemocą państwa. Zadam pytanie: „Czy rząd mojego kraju ma prawo do życia i śmierci swoich obywateli?”. Odpowiadam: „Nie!”. A czy rząd mojego kraju, a jakoś uczestniczyliśmy w jego wysuwaniu, może zabijać obywateli innego państwa? Nie, bo to jest właśnie zbrodnia. Jeśli o życiu i śmierci decyduje obcy w imię obcych, to to się nazywa po mojemu zbrodnia.

Jednak ten straszny Bush wnosi tam pańskie wartości!
– Nic nie wnosi, bo wywołuje opór! I opór przeciwko najeźdźcy zamienia się w opór przeciwko wartościom.

Może Ameryka, kultura euroatlantycka, powinna podbić cały świat arabski i w ten sposób zapewnić spokój?

– Wygląda na to, że ona chce tak zrobić. „Bo on jest cały w nieprawościach!” – krzyczy. A nasz świat? Czy jest czyści i spokojny? Może trzeba zbombardować Warszawę, bo u nas też źle się dzieje?! Człowieku, jak zaczynamy taką wojnę jak ta w Iraku, ze światem arabskim, to budzimy upiory! Taka wojna może nie mieć końca! Nie da się miliardów ludzi „nawrócić” na naszą cywilizację. Więc jedynym wyjściem z takiej sytuacji jest eksterminacja. Z tym że nie da rady eksterminować tylko „tamtych”, to działa w obie strony, „nasi” też oberwą. Gdyby tak miało być, to czeka nas zagłada ludzkości. Osobiście mam niewyczerpane pokłady dobrej wiary, ponieważ wierzę, że ludy wygrają. Wielkim kosztem, ale się uda. Ale przedtem... Nie ma takich wojen, w których jedna strona byłaby dobra i sprawiedliwa, a po drugiej sami mordercy i łobuzy. Wojna czyni z ludzi potwory niezależnie od korzeni cywilizacji.

Amerykanie robią wrażenie przygotowanych do rozwiązywania problemów „powojennych”.

– Na razie robią miny oznaczające, że mają rozwiązanie dla Iraku. No, to popatrzmy na kraj, którego oni co prawda nie zdobyli militarnie, ale w jakimś sensie „wywojowali”. Kraj, który sam chciał się zamerykanizować i... poniósł totalną klęskę. Ten kraj to Polska.

Byłem człowiekiem odpowiedzialnym za nowy ład w tym kraju i muszę powiedzieć: „Przepraszam Państwa, spieprzyłem to”. Bo jeżeli mamy dobrze ponad połowę ludzi żyjących na poziomie minimum socjalnego, a 15 procent na poziomie minimum egzystencji, to nasuwa się pytanie: „Do czego ma być ta zaimportowana przez nas gospodarka?”. Bo wiadomo już, że nie do tego, żeby zaspokajać różne społeczne dążenia lub potrzeby, jak to lubią mówić niektórzy psychologowie. Gospodarka u nas do tego nie służy. Z mego punktu widzenia taka gospodarka jest po prostu nieużyteczna, bo społeczeństwo jest dla tej gospodarki, a nie ona dla społeczeństwa. I to jest klęska przecież nie tylko polska.

Dwa silniki zużywają mniej paliwa niż jeden



Ograniczenia są na drogach, nie w ludzkim umyśle



Nie zdobywajcie władzy, zdobywajcie edukację. Organizujcie ruch edukacji mas

A my jesteśmy krajem w gruncie rzeczy zachodnioeuropejskim i proamerykańskim. I okazało się, że tamta recepta nas nie leczy. I nie wyleczy też tym bardziej innych, nastawionych antyamerykańsko. Leki z recepty nie działają, bo to apteka przeżywa kryzys. Globalizacja zepsuła dotychczasowe układy w sposób zasadniczy.

I my jesteśmy częścią tego problemu?

– Jeszcze jak! My i cała Europa, bo cały czas jesteśmy w takim rozkroku: czy ta wspólna Europa ma być państwem jednolitym, czy też osobnymi państwami, a jeśli ma być jednolity pieniądz, to musi być bank centralny, a jak bank – to budżet, a jak budżet – to jedno państwo. To jest kwadratura koła, bo wszyscy tego chcą i nikt tego nie chce. I szarpiemy się. A chcemy nauczać innych. Rzeczywiście, z pewnego punktu widzenia USA są krajem, który najwcześniej może mieć coś do zaproponowania, bo ma dorobek państwa wielonarodowego, wielokulturowego, jest niebywale rozwinięty technologicznie. Najwcześniej, co nie znaczy już teraz!

Więc jak być, pańskim zdaniem, przyzwolonym w czasach tej wojny? I może następnych?

– Trzeba budować ruch „Stop wojnie!”. Już powstał, z radością patrzę na jego spontaniczność – w ogóle nie ma nic wspólnego ze „starą polityką”. Uważam od dawna, że potrzebna jest głęboka wymiana pokoleniowa. U nas obowiązują „ciągi” kadrowe – awansuje każdy podobny do kolegi „z góry”. Trzeba, żeby wyrosło całkiem nowe pokolenie polityków, którzy nie byłiby administratorami swoich karier, nie byłiby tym tak zajęci, że do niczego innego nie mają głowy.

Jeżeli ta wojna wyrosła na globalizmie, to znaczy, że to musi być ruch pokoju i sprawiedliwości społecznej na świecie, musi odnosić się do skali globu. Że taki ruch trzeba budować jak stowarzyszenie i powinni w nim działać moi wnukowie, czyli dzisiejsi 20-latkowie. Radziłbym też im, żeby zadeklarowali, że będą działać jako grupa nacisku, jako grupa myślenia programowego, ale niech nie biorą udziału w wyborach i niech nie popierają nikogo w najbliższych latach. Niech zbudują ideową formułę polityki otwartą na świat, na sąsiadów ze Wschodu, Zachodu, na Europę, otwartą na Palestynę, Izrael, Irak, Stany Zjednoczone itd.

Ten świat polityki, który pan współtworzył, kompromituje się i rozpada.

– Oczywiście przykro mi, ale z mojego przeproszania nic nie wynika. Istotne jest, dlaczego tak się dzieje. Bo załamała się podstawa ładu zwanego kapitalizmem. Stary Marks padłby ze

śmiechu, bo wyszło na jego – rozwój sił wytwórczych rozsadził stosunki produkcji, mówiąc językiem marksowskim. To znaczy rozwój technologii rozsadził układy formalnoprawne i społeczne na nich zbudowane.

I tym usprawiedliwia pan to, co mamy w tej chwili w Polsce, a nie jakością polityków?

– To jest światowe usprawiedliwienie – kryzys globalny. My dodajemy do tego rzecz szczególnie dramatyczną dla Polski i w ogóle dla większości byłych krajów bloku sowieckiego – wielką zdradę przywódców. Proszę zobaczyć, co się zdarzyło! Nastroj znaczącej części społeczeństwa jest taki: „Wynieśliśmy tę władzę na plecach, a oni nam wykręcili taki numer!”. Wykręcili numer, wprowadzając kompletnie utopijną, rynkową, monetarystyczną politykę! I zrobili to przemocą, odgórnie! Wyniósł nas do władzy potężny ruch, w którym myślimy o różne rzeczy nawzajem się pytali, a nie zapytaliśmy, jaką drogą pójdziemy w nowej Polsce. Po prostu żeśmy to zadekretowali – robimy plan Balcerowicza! Ludzie ledwo żyli, zakłady padały. Oszukaliśmy ich.

Po takim oszustwie musiało się narodzić to całe towarzystwo oszołomów i karierowiczów.

Przekazaliśmy władzę płynnie, z własnej woli, administratorom swoich karier. A trzeba już rozstrzygać problemy europejskie! Jak my możemy rozstrzygać problemy europejskie, kiedy nikt nas tego nie uczy, na żadnym szczeblu nauki, a poza tym nie podjęliśmy prób naprawy naszej demokracji? Żeby z tego wyjść, potrzebne jest zupełnie nowe rozdanie polityczne.

Ale najpierw stare trzeba chyba zabić, bo samo nie odejdzie?

– Może pan mieć rację. Tylko skutki utrupienia tego...

Będzie chaos.

– Totalny, i jeszcze możemy przy okazji przegrać Europę. Tu pokazują się moje dwie dusze. Jestem bardzo radykalny

w myśleniu i boję się mówić, co myślę, bo jako rewolucjonista mam świadomość, że rachunek strat i zysków takiego skoku jest zawsze ujemny...

Taka świadomość u rewolucjonisty...

– Tak, kończy rewolucjonistę. I dlatego ja jestem emeryt. Choć kombinuję, jak to zrobić, żeby ten skok był bezbolesny, i mam pewien pomysł. Powiadam: „Nie zdobywajcie władzy, zdobywajcie edukację. Organizujcie ruch edukacji mas”.

I pozwalajcie w tym czasie rządzić komukolwiek?

– Komukolwiek, byle nie rządził w edukacji. A to da się wywalczyć, wymóc na tych władzach! To będzie skok nieprawdopodobny, a zarazem z minimalnym ryzykiem.

Chce mi pan przez to powiedzieć, że nie interesuje go bieżąca polityka?

– Nie mam czasu i sił na michałki. Nie otwieram telewizora.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB
WARSZAWA, 11 KWIETNIA 2003 R.



Toyota Prius Przyszłość zaczyna się dziś



Toyota Hybrid Synergy Drive® to początek nowej ery. Inteligentne połączenie napędu spalinowego i elektrycznego sprawia, że Prius spala średnio zaledwie 4,3 litra benzyny bezołowiowej na 100 km. Oszczędny i niezwykle dynamiczny silnik spalinowy potrafi zapewnić

potrzebną moc, zasilając jednocześnie generator w celu ładowania akumulatorów. Silnik elektryczny uzupełnia działanie silnika spalinowego, przy małych prędkościach stanowiąc jedyne źródło zasilania. Nowe reguły zostały ustanowione.



TODAY TOMORROW TOYOTA



Zmień samochód, nie swoją planetę



DEKALOG KURONIA

Jeśli nie panujemy nad życiem, ono panuje nad nami.

Jedyną drogą do kierowania własnym życiem jest aktywne przekształcanie otaczającego nas świata przedmiotów, relacji łączących nas z partnerami i wreszcie stosunków społecznych. Swe życie zmieniać możemy pośród innych, dla innych i wspólnie z innymi.

Jest coś takiego między ludźmi, że kiedy zaczyna się miłość, to przylatuje anioł, którego nikt nie widzi na świecie oprócz tych, którzy się kochają. Ja czułem tego anioła, ale nie miałem odwagi powiedzieć, że to tak.

Z ustrojem demokratycznym mamy do czynienia tylko wówczas, jeśli ludzie idą głosować, aby załatwić jakąś ważną dla nich sprawę.

Zawsze się zastanawiam, czy można znaleźć porozumienie. Przecież nie da się żyć w świecie, w którym ludzie się nie porozumiewają. Czasem jest to niemożliwe, ale co szkodzi spróbować?

Bez przerwy robię rachunek sumienia. W mojej religii żaden grzech nie zostaje odpuszczony, każdy rozpamiętuję na nowo i rozmyślam, jak go naprawić.

Istotą człowieczeństwa jest bunt. Jest w człowieku taki bakcył niezgody na zło. Im mocniejszy, tym mocniejszy jest człowiek. Nie zgodzę się na konformizm nigdzie i w żadnych warunkach.

Spójrzmy, jak bardzo naładowane jest agresją nasze życie – choćby tylko polityczne, w parlamencie i na ulicach. Myślę, że ludzkości grozi erupcja nienawiści rasowej, religijnej i etnicznej, wielokrotnie silniejszej niż wybuch bomby atomowej.

Chodzi o to, żeby organizować aktywność ludzką, pomagać ludziom organizować się do działania, wspierać ich, kiedy są już gotowi do działania i wtedy, gdy są w stanie dawać sobie radę własnymi siłami.

Musimy pilnować, aby epitafia nie godziły w uczucia żywych. Tymczasem postępujemy dokładnie odwrotnie, wykorzystując groby w politycznych grach.

W Sztumie [więzienie] nie zauważyłem żadnej różnicy między okresem, kiedy współwięźniowie

nie wiedzieli, że jestem Żydem, a tym, kiedy wiedzieli. Na ogół dość dobrze żywałem się z przestępczym środowiskiem – na tyle, na ile w ogóle można się z nimi żyć.

Boże mój, nie raz i nie dwa śmialiśmy się z Gajką z wszystkiego, co dla nas święte. Taki już mieliśmy antyżakaplerzykowy styl.

Lepiej zrobić coś nie najlepiej niż nic.

Kiedyś miałem serię telefonów i ktoś informował mnie, za ile dni umrę. Codziennie termin o jeden dzień się zbliżał, a kiedy zostało już tych dni trzy czy cztery, ja, choć zawsze uprzejmie dziękowałem za informację, tym razem zdziwiłem się: – Jak to trzy? Przed chwilą dzwonił już pański kolega i mówił, że cztery. – Oj, przepraszam pana, kolega się pomylił – posłyszałem w odpowiedzi i na tym się skończyło.

Cale życie poszukiwałem sacrum, czegoś, co przekracza moje życie i nadaje mu sens. Bez Boga sacrum jest kruche, okaleczone i bardzo trudno o miłość otwartą na świat.

O tym, gdy jako minister pracy zdobył 50 milionów złotych na emerytury rolnicze
Powiedziano mi, że ZUS ma te brakujące 50 milionów, ale na Fundusz Ubezpieczeń

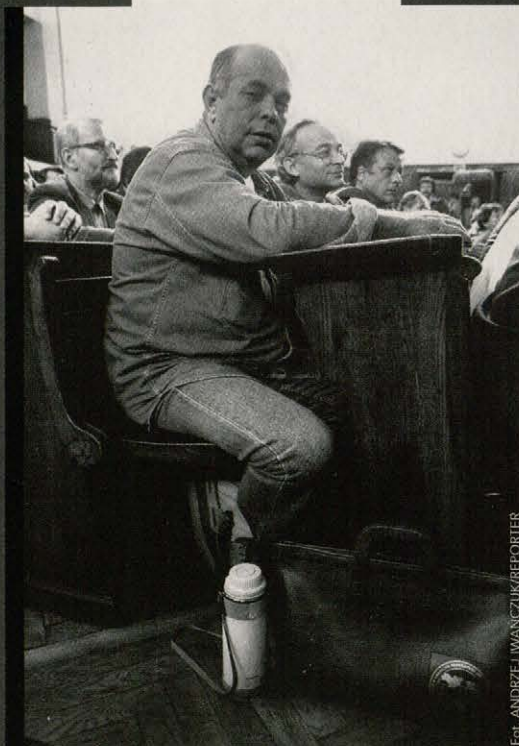
Społecznych, i można by dokonać pożyczki, ale nie wolno. Jest to sprzeczne z prawem. Zapytałem wtedy:

– Ile się za to siedzi?

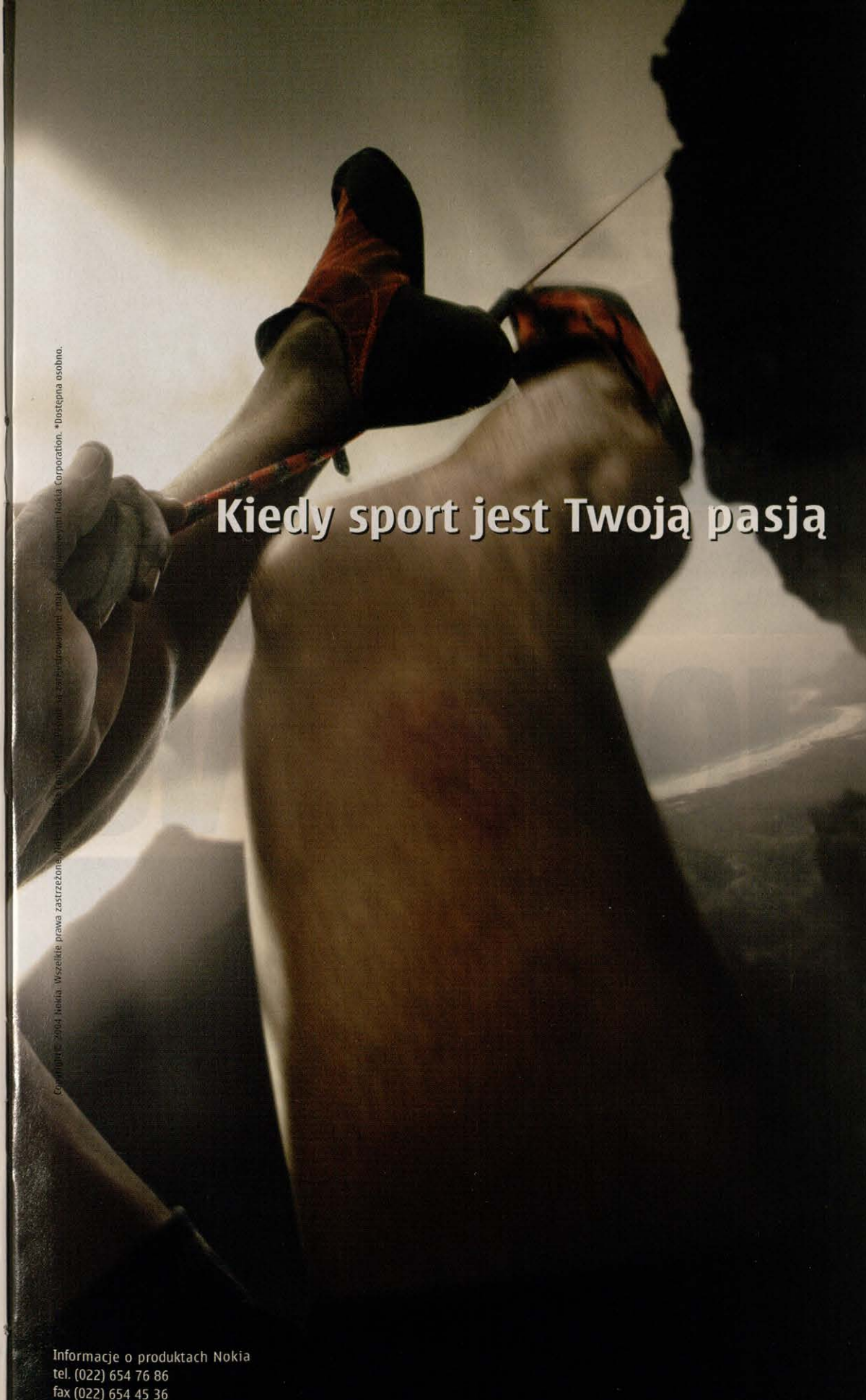
Oni się roześmiali – podpisałem pożyczkę. W niespełna tydzień potem zwróciliśmy ją, bo do budżetu wpłynęły jakieś pieniądze. Tak się ta afera skończyła.

Uczyniłem w życiu wiele zła, a kierowałem się przede wszystkim mocną wiarą i to ona jest moją główną winą. Nie trzeba było zamykać oczu i zawierzać wspólnocie, a zrobiłem to i na tym właśnie polega mój grzech pierworodny.

Cytaty pochodzą z książek i artykułów Jacka Kuronia



Fot. ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER



Kiedy sport jest Twoją pasją

NOKIA
5140



Tyle potrzeba, by cieszyć się życiem... I tylko jeden telefon, by móc się tym dzielić.

Zwiększona ochrona przed zabrudzeniem. Odporność na wstrząsy. Wbudowany aparat cyfrowy z możliwością wykonywania zdjęć seryjnych. Cyfrowy kompas. Obudowa GPS Xpress-on™.*

Club
NOKIA

Wstąp i korzystaj z atrakcji! Na stronie www.nokia.com.pl/clubnokia

NOKIA
CONNECTING PEOPLE

Informacje o produktach Nokia
tel. (022) 654 76 86
fax (022) 654 45 36
info@nokia.com.pl

www.nokia.com.pl



KRAJOBRAZ PO GWALCIE



Dziennik „Fakt” wydał wyrok na dyrektora szkoły w Pyskowicach

Dyrektor szkoły zgwałcił uczennicę. Przynajmniej w kilkaset tysięcy egzemplarzy brukowca „Fakt”. Bo fakty wskazują raczej, że był to wyłącznie gwałt prasowy

MARCIN FABJAŃSKI

Tytuł czołówki „Faktu” z 16 czerwca wali po oczach: „Zgwałcona”. Niżej gazeta cytuje ofiarę gwałtu, 19-latkę Agnieszkę: „Nie tak wyobrażałam sobie swój pierwszy raz”. W artykule, na pierwszej i ósmej stronie, akcja toczy się szybko: z 4 na 5 czerwca dyrektor pije z maturzystami w knajpie całą noc. Pozwala sobie na flirtowanie z uczennicą, która nie hamuje jego zapędów, bo „przecież to tylko zabawa”. Potem dyrektor namawia ofiarę, żeby się zgodziła na odprowadzenie do domu, atakuje ją na trawniku blisko jej domu, obnaża się, ale w końcu ulega błaganiu dziewczyny o litość. Odstępuje tylko na chwilę, idzie za Agnieszka do jej bloku, w końcu gwałci ją w przedpokoju jej mieszkania. Dyrektor S. zdaniem „Faktu” wiedział, że ojca dziewczyny nie ma w domu, bo jest on woźnym szkolnym i pilnował bicia rekordu Guinnessa w najdłuższej lekcji. „Fakt” pisze, że nikt nie wierzy w opowieść dyrektora, że do zbliżenia doszło za obopólną

wychodzi z domu? Może dlatego, że prawie nikt w mieście jej nie wierzy.

KOMUNIKAT OSTATECZNY

Policjanci z Gliwic, którzy prowadzą śledztwo – bo to za poważny przypadek dla pyskowskich glin – w poniedziałek 14 czerwca (po trzech dniach roboczych od zgłoszenia gwałtu przez Agnieszkę) ustami rzeczniczki prasowej nadkomisarz Magdaleny Zielińskiej wydali oświadczenie dla prasy. Polska Agencja Prasowa wysłała je w świat. Było w nim o tym, że 5 czerwca po zakrapianej imprezie z okazji rozdania świadectw maturalnych dyrektor S. zaproponował Agnieszce, że odprowadzi ją do domu zamiast kolegi, który też wyrażał na to ochotę. Potem stało się najgorsze.

„Z relacji dziewczyny wynika, że potraktowała to nawet jak wyróżnienie. Mężczyzna zaatakował ją dwukrotnie – najpierw na trawniku przed domem. Zaczął zrywać z niej ubranie, sam się obnażył, dziewczyna zaczęła krzyczeć, prosić, żeby dał jej spokój, i rzeczywiście tak się stało. Potem jednak, co może być zaskakujące, zgodziła się, żeby odprowadził ją do mieszkania, gdzie tego dnia nikogo nie było. Dyrektor zaatakował znowu, tym razem skutecznie”.

– Jest pani pewna, że dyrektor jest winny? – pytam nadkomisarz Zielińską.

– Zeznanie pokrzywdzonej jest uwiarygodnione opinią biegłych specjalistów. Opinie lekarskie potwierdziły przedstawiony przez dziewczynę przebieg zdarzenia, według którego została zaatakowana najpierw na świeżym powietrzu, a następnie we własnym mieszkaniu.

Nadkomisarz Zielińska opinii biegłego o gwałcie nie widziała, ale z nim rozmawiała. A swoim ludziom ufa.

JEJ PIERWSZY RAZ

Dyrektor S. nie pił z maturzystami przez całą noc – naprawdę wyszli z restauracji Pod Ratuszem przed godziną 23, rachunek – jak wynika z kasy fiskalnej – płacili o 22.47. Kelnerki lokalu, które obsługiwały imprezę 4 czerwca, widziały co innego, niż zaprezentował „Fakt”. Stolik rezerwowały w południe dwie uczennice z IVA, teraz już absolwentki. Mówiły, że przyjdą koledzy z byłej klasy oraz ich były wychowawca, matematyk, a zarazem dyrektor, pan S. Przyszli całą grupą około 19.30.

Jolanta Górecka obsługiwała stolik maturzystów: – 16 osób, pili niedużo. Dziewczyny małe piwa z sokiem, chłopcy duże, grupa zamówiła też osiem drinków: 50 gramów wódki plus sok. Każdy płacił za siebie. Na koniec dyrektor zamówił dwie butelki szampana. Wyszło po kieliszku na osobę. Zachowywali się bardzo spokojnie. Szefowie nie pozwoliliby na

zgodą. Tabloid opiera cały tekst na zeznaniach dziewczyny i woła o pomstę do nieba: „To się nie mieści w głowie”. Podobnie pewnie pomyślało kilkaset tysięcy czytelników gazety.

I rzeczywiście „to się nie mieści w głowie”, bo fakty wyglądają inaczej.

Pyskowice – najbardziej na północny wschód wysunięty cypel aglomeracji śląskiej. 20 tysięcy mieszkańców, do niedawna zero wydarzeń. Pani S. i jej trzy małe córki od tygodnia nie wychodzą z domu. Płaczą. Boją się. Męża pani S., dyrektora miejscowego zespołu szkół średnich, nie ma w domu. Siedzi w areszcie w Gliwicach podejrzany o gwałt na swojej byłej uczennicy Agnieszce F.

Kilkanaście ulic dalej Agnieszka F. też nie wychodzi z domu (jej matka przez domofon ogania się od dziennikarzy). Zaraz po rzekomym gwałcie wychodziła. Była nawet w szkole, gdzie przyjaźnie gawędziła z panem dyrektorem, który miał ją parę dni wcześniej zgwałcić. Przestała z nim rozmawiać dopiero po tym, kiedy oficjalnie oskarżyła go u szkolnej pedagoga i na policji (8 czerwca po południu, trzy dni po gwałcie). Dlaczego teraz nie

jakieś pijackie krzyki. W sali obok siedział burmistrz z delegacją z Niemiec. Kiedy wychodzili, trzech chłopców chwiała się lekko na nogach, inni szli zupełnie prosto.

Kelnerka zauważyła jednak coś szczególnego. – Była tam dziewczyna. Kiedy zrobiło się luźniej, bo parę osób wyszło na zewnątrz, przesiadła się na miejsce obok dyrektora. Widziałam, jak głaszcze go po nodze, szepce coś do ucha. Dyrektor był zażenowany. Rozmawiał z całą grupą, udawał, że nie się nie dzieje, ale widać było, że czuje się źle.

Druga kelnerka z tamtej zmiany Dagmara Strzelczyk: – Po powrocie do domu powiedziałam mężowi, że młode dziewczyny podpalają facetów, a potem się dziwią, że są gwałcone.

Uczniowie wyszli pierwsi, dyrektor płacił jeszcze za szampana. Koleżanki wołały Agnieszkę, żeby z nimi poszła. Ale ona uparła się, że odprowadzi ją dyrektor. Zaczekała, aż nauczyciel skończy płacić przy kasie. Wtedy z ręki wypadła jej torebka. Dyrektor ją podniósł.

DYSKRETNE ŚLEDZTWO

Jadąc do Pyskowic, myślałem, że usłyszę od świadków coś w rodzaju: „Co będę gadać, powiedziałem już wszystko policji”. Nie usłyszałem tego ani razu. Gliwicka policja prowadzi śledztwo dyskretnie – nikt jej w Pyskowicach nie widział. Funkcjonariusze nie dotarli do ubiegłego czwartku do restauracji Pod Ratuszem, gdzie kilkunastu świadków widziało dyrektora i uczennicę. Nikt ich nie spotkał w Zespole Szkół imienia Marii Konopnickiej, gdzie pracuje dyrektor i uczyła się Agnieszka. Przesłuchali kilku uczestników imprezy, ale pominęli Jacka Bystrzanowskiego z bylej IVA, który widział, jak dyrektor odprowadza Agnieszkę pod jej blok.

Jacek prowadzi mnie na miejsce, z którego ich obserwował. To jakieś 70 metrów od wejścia do klatki schodowej, w której mieszka Agnieszka.

– Szli spokojnie, powoli. Widziałem, jak otwierają się drzwi do klatki. Dyrektor wyszedł z nich po jakichś 20 minutach. To ciche osiedle, gdyby była jakaś szarpanina na trawniku, jakieś krzyki, na pewno bym to usłyszał – opowiada Jacek.

Chłopak ma swoją teorię na temat rzekomego gwałtu: – To była zemsta. Dyrektor nie lubił Agnieszki, bo spóźniała się na lekcje po 15 minut. Raz ją nawet wyrzucił z klasy.

W gwałt nie uwierzy za nic. – Następnego dnia po imprezie widziałem Agnieszkę na ulicy uśmiechniętą od ucha do ucha.

Jednak w komendzie miejskiej w Gliwicach uważają, że nie ma potrzeby wysyłania ludzi do restauracji czy szkoły.

– Ani restauracja, ani szkoła nie były miejscem przestępstwa. Dochodzenie zaczynamy od zebrania najważniejszych dowodów – tłumaczy nadkomisarz Magdalena Zielińska. – Byliśmy na miejscu zdarzenia, przesłuchaliśmy szereg świadków, którzy wniesli istotne fakty dla sprawy. Teraz będziemy kontynuować czynności w tej sprawie, między innymi przesłuchiwać kolejnych świadków.

Raportu pedagoga z rozmowy z Agnieszką nie chcą mi pokazać w Zespole Szkół imienia Marii Konopnickiej. Jest włączony do śledztwa. Ale mój informator ze szkoły przeczytał go dokładnie. Agnieszka F. powiedziała pani pedagog co innego niż policji. Że dyrektor próbował ją zgwałcić dwa razy, wybroniła się i do niczego nie doszło.

INTERWENCJA KRYZYSOWA

Agnieszka Rupacz, pełniąca obowiązki dyrektora Zespołu Szkół w Pyskowicach, ogłosiła stan interwencji kryzysowej. O aferze dowiedziała się w piątek 11 czerwca, dzień po Bożym Ciele (szkoła miała przerwę). Policja

wezwała ją na komisariat, żeby przekazać klucze do szkoły. Miał je dyrektor S., którego aresztowano na terenie placówki, gdy nadzorował wymianę okien (dyrektor słynie z tego, że wyremontował szkołę w dwa lata). Zaczął się najbardziej ponury weekend w jej życiu.

W poniedziałek 12 czerwca szkoła stanęła na głowie. Policja nie ostrzegła nauczycieli, że wyda komunikat mediom. Ani że w tym komunikacie wyda wyrok na ich szefa.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że rzecznik policji tak kategorycznie przesądził kwestię winy – mówi pani dyrektor.

Dziennikarze stadami zasadzali się od rana na uczniów przed wejściem. Jak mantra wracało jedno pytanie: Co sądzisz o tym, że dyrektor S. zgwałcił twoją koleżankę ze szkoły?

Nauczyciele patrzyli zza firanek. – Przed budynkiem kilkudziesięciu dziennikarzy, pełne ekipy z kamerami i mikrofonami. A my nie mamy doświadczenia z prasą – mówi Aldona Siebel, polonistka.

Anglista i wuefista Jerzy Piprowski wyrusza na obserwację terenu. Dziennikarze trochę odstepują. Pani dyrektor wraca ze starostwa i na godzinę 14 zwołuje radę. Nauczyciele postanawiają – będą rozmawiać o aferze z uczniami,

ale nie wdając się w ocenę. Piszą opinię rady pedagogicznej o nienagannej jak dotąd pracy dyrektora S., a uczniom wydają komunikat. Oto fragment: „Przypominamy, że fakt aresztowania nie oznacza potwierdzenia zarzutów, spróbujmy zatem powstrzymać się od ferowania wyroków. Szum medialny nie służy dobru społeczności szkolnej. Prosimy więc o unikanie kontaktów z mediami”.

ZAPROSZENIE DO TAŃCA

Przez resztę tygodnia nauczyciele próbują rozmawiać z uczniami. Anglista mówi, żeby byli ostrożni w wydawaniu sądów. Uczniowie nie kwapią się do dyskusji, on ich nie zachęca.

– Gdybym dał przyzwolenie na pełną dyskusję, najpierw doszłyby do głosu niskie instynkty, komentarze typu: dyro przeleciał uczennicę – opowiada.

Polonistka rozmawia z uczniami o rzetelności prasy. Porównuje, jak sprawę opisał „Fakt”, a jak „Gazeta Wyborcza”. Ale uczniów interesuje co innego – chcą poprawiać stopnie na koniec roku. Połowa czerwca to okres gorączki, odpytywanie, wystawianie ocen.

Wszyscy uczniowie, z którymi rozmawiam, mówią to samo: Agnieszka zmyśla. Są wściekli, że afera popsuka im opinię. A mieli dobrą – to oni pobili rekord Guinnessa w najdłuższej lekcji, trwała 66 godzin. 10 czerwca (sześć dni po rzekomym gwałcie, cztery przed komunikatem policji) PAP pisała: „Były lzy, euforia, radość, że się udało i że to już koniec”.

Opowiada uczennica z zespołu bijącego rekord: – Agnieszka, choć była już absolwentką szkoły, przyszła popatrzeć. Pytała: „Co słyhać, panie dyrektorze?”

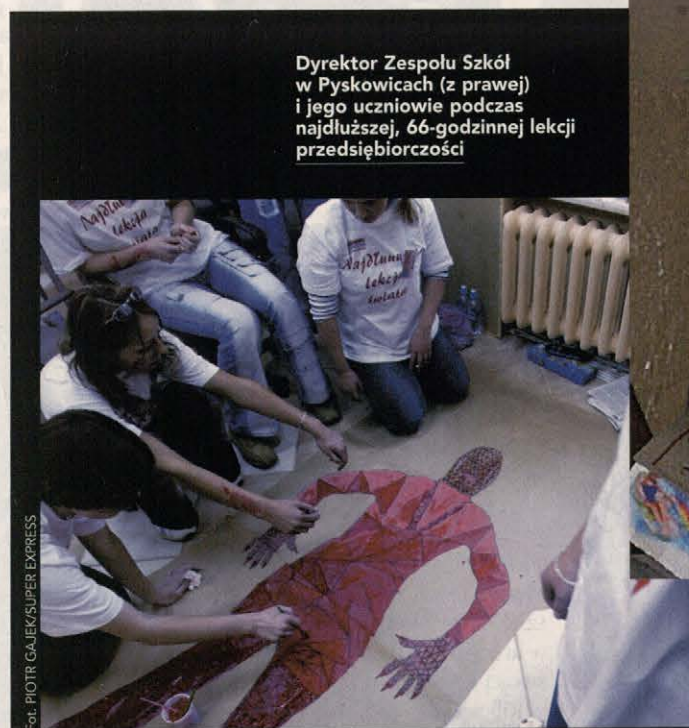
Inna uczennica: – Agnieszka była zakochana w naszym angiście. Na studniówce chciała go uwieść, ale on ją odrzucił.

Anglista Jerzy Piprowski pamięta studniówkę: – Kilka razy prosiła mnie do tańca. Odma-wiałem. Zadawała pytania, które wykraczają poza zwykły kontakt nauczyciela z uczennicą: jak poznaliśmy się z żoną albo o czym marzyłem, gdy miałem 18 lat. Zawsze była poza grupą. Miała wielką wyobraźnię i jeszcze większą chęć przeżycia przygody: żeby coś się działo, żeby było romantycznie. A także dużą potrzebę, żeby zwracano na nią uwagę. I, szczerze mówiąc, ciąg do starszych facetów.

Anglista nie wierzy w gwałt, próbę gwałtu ani nawet w seks za zgodą między dyrektorem i uczennicą: – Wierzę najwyżej w to, że były pijani. Jedyna próba, do jakiej doszło, to próba zachowania pionu.

Mimo prób nie zdołałem uzyskać odpowiedzi od szefów „Faktu”, czy oskarżenie jednej osoby wystarcza, żeby pisać o gwałcie jako wydarzeniu, które na pewno miało miejsce. Mam wrażenie, że doszło do gwałtu zbiorowego na czytelnikach i niewinnych ludziach.

MARCIN FABJAŃSKI



Dyrektor Zespołu Szkół w Pyskowicach (z prawej) i jego uczniowie podczas najdłuższej, 66-godzinnej lekcji przedsiębiorczości



REPR. IREK DOROŻAŃSKI/EDITOR.NET

Wszyscy uczniowie mówią to samo: Agnieszka zmyśla. Są wściekli, że afera popsuka im opinię, którą zyskali, bijąc rekord Guinnessa



Boisz się zdjąć buty?

Wypróbuj nowe Kiwi Fresh Force.

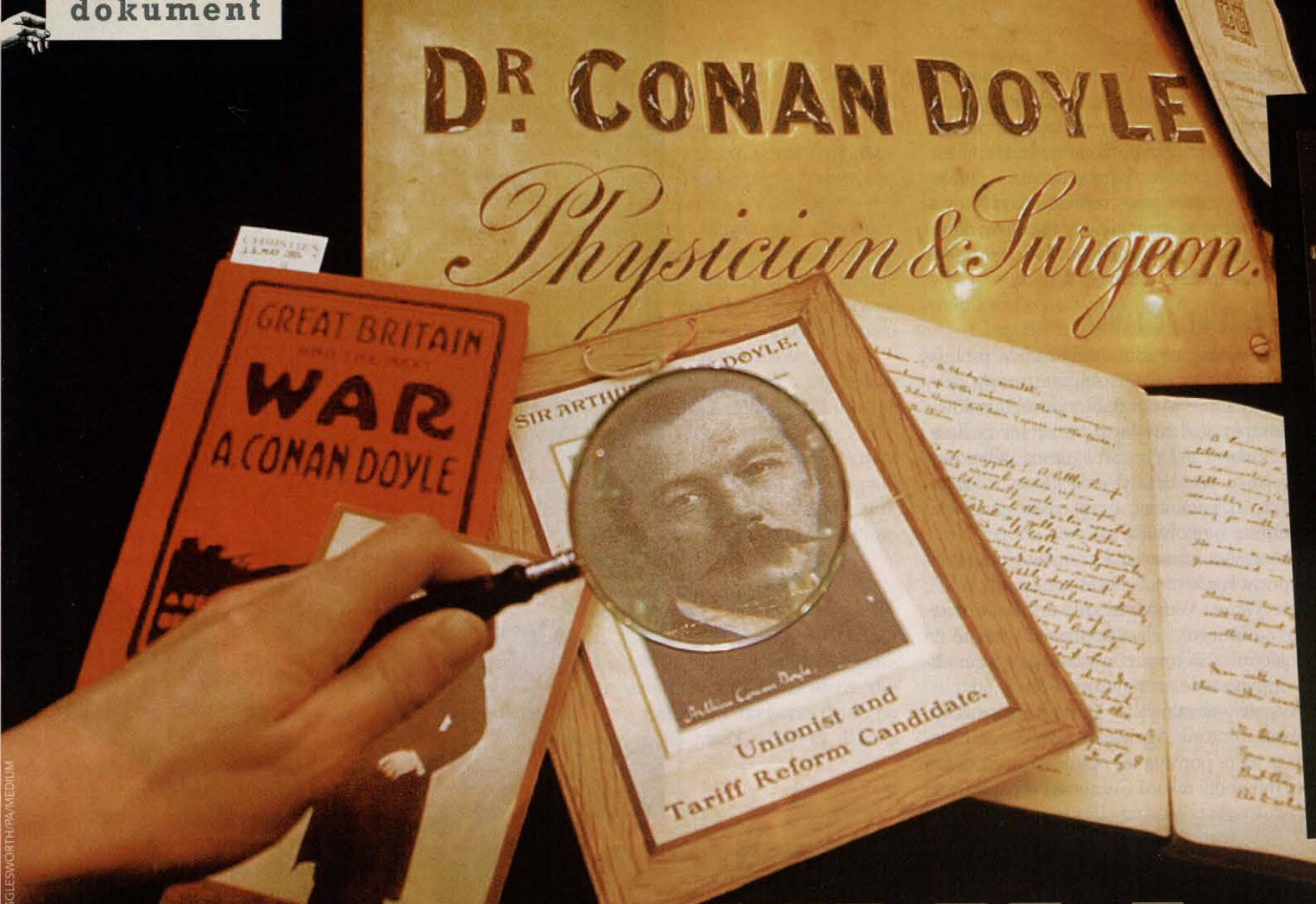
To jedyny odświeżacz obuwia z dwustronnym dozownikiem, który neutralizuje przykry zapach w całym

bucie, od czubka aż po piętę. Wystarczy tylko raz spryskać wnętrze buta unikalnym, skierowanym do dołu dozownikiem, aby zapewnić całkowitą kontrolę nad zapachem na cały dzień. Kiwi Fresh

Force daje Ci pewność, że zawsze i wszędzie możesz zdjąć buty.



Spokojnie zdejmij buty



OSTATNIA SPRAWA

MAREK RYBARCZYK

Sznurowadło z każdym obrotem drewnianej łyżki coraz ciaśniej zaciśnięto na szyi milionera. Długa i bolesna śmierć. Tak samo zabił na kartach powieści Conan Doyle'a agent okrutnego profesora Moriarty'ego. Richard Lancelyn Green, autor niezliczonych książek o Sherlocku Holmesie, zginął jednak naprawdę. Zmarł uduszony w luksusowej rezydencji w londyńskiej dzielnicy Kensington. Zwłoki zna-

lezione 27 marca tego roku. W pokoju nie było śladów walki.

– To pierwszy w mojej długiej karierze przypadek samobójstwa za pomocą garoty. Nierozstrzygnięty werdykt oznacza, że nie jesteśmy pewni, czy Green na pewno sam odebrał sobie życie – przyznaje w rozmowie z „Przekrojem” Keith Rees, londyński koroner odpowiedzialny za sprawę Greena. Czy Lancelyn Green został zamordowany, bo sprzeciwiał się aukcji rodzinnego archiwum Conan Doyle'a?

19 maja pod młotek w londyńskim salonie Christie's poszły setki pamiątek po twórcy Sherlocka Holmesa. Zawartość zakurzonych pudeł sprzedano za półtora miliona dolarów. Były tam kolekcjonerskie rarytasy: listy Doyle'a do Churchilla, Roosevelta i Wilde'a, odręczne zapiski pisarza, karykatury, portfel, a nawet pierwsza, nigdy niepublikowana powieść Doyle'a o niejakim panu Smith i jego walkach z żoną. Tak jak obawiał się Green, podczas aukcji w Christie's Brytyjczyków



Styczeń 2004 roku. Richard Lancelyn Green odbiera w parlamencie brytyjskim honorową nagrodę Towarzystwa Sherlocka Holmesa

Obok: Pamiątki po Conan Doyle'u z aukcji w Christie's

Fot. ANTHONY MARSHALL

Czy biograf Arthura Conan Doyle'a,
twórcy Sherlocka Holmesa, popełnił samobójstwo?
A może ekscentryczny milioner zginął,
bo był niewygodny dla innych kolekcjonerów?

HOLMESA

przelicytowali bogaci kolekcjonerzy z USA. Fascynat i biograf Doyle'a, który walczył o oddanie pamiątek do British Library, nie mógł protestować. Nie żył od ośmiu tygodni.

GLUCHY TELEFON LANCELYNA

Pani Priscilla West jechała z Oksfordu do Londynu w wyjątkowym pośpiechu. Jej brat Richard Lancelyn Green, były wiceprezes Towarzystwa Sherlocka Holmesa, był dziwakiem, ale zwykle odbierał telefony. Tym razem jed-

nak nie dawał znaku życia. Milczenie było podwójnie niepokojące. Od kilku dni Green skarżył się siostrze, że jest podsłuchiwany, twierdził, że jest ofiarą prowokacji tajemniczego wroga z Pentagonu. Mówił, że nie może spać, bo ludzie w otaczającym go świecie przypominają mu bohaterów z powieści Kafki.

Green bał się, że straci dostęp do dokumentów po Doyle'u. Ostateczna biografia pisarza miała być dziełem jego życia. Green wstąpił do Towarzystwa Sherlocka Holmesa

jako 12-latek. Kiedy skończył Oksford, zaczął jeździć po świecie z wykładami dla „sherlockologów”. Pielgrzymował do wódospadów Reichenbach, gdzie zginął ponoć wielki detektyw, a w piwnicy swojej rezydencji w londyńskim Kensington urządził prawdziwe muzeum. Obok pierwszych wydań przygód Holmesa w „Strand Magazine” z lat 1891–1893 znalazły się listy czytelników do detektywa adresowane na 221B Baker Street. Była też strzykawka z siedmioprocentowym roztworem kokainy, który zazywał Sherlock.

SZNUROWKA, ZABAWKI, DŻIN

27 marca Priscilla West zjawiała się pod drzwiami willi brata w Kensington. Kiedy nikt nie otwierał, wezwała w końcu policję. Policjanci wyłamali drzwi. W sypialni zastali makabryczną, a zarazem groteskową scenę. 50-letni mężczyzna leżał na łóżku uduszony sznurowadłem. Obok, na pościeli, rozrzucone były pluszowe zabawki, a koło głowy stała butelka dżinu.

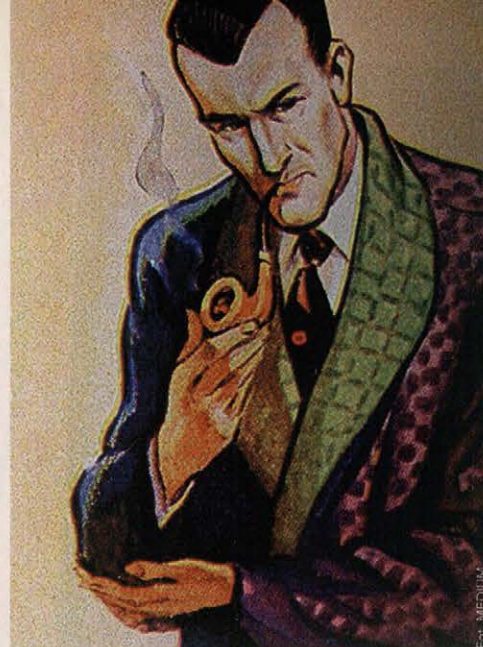
Policja szybko orzekła samobójstwo. Nie wezwano nawet wydziału kryminalnego CID. Wkrótce okazało się, że przyczyna śmierci nie jest tak oczywista. Doktor Paul Knapman, koroner prezentujący sprawę w sądzie, musiał przyznać, że zgon nastąpił w niejasnych okolicznościach. Knapman wydał nierozstrzygnięty werdykt: za najbardziej prawdopodobne uznał samobójstwo, ale nie wykluczył morderstwa. Podejrzenia budził nie tylko brak listu pożegnania, lecz przede wszystkim metoda samobójstwa. Garoty w postaci stalowej obręczy używano swego czasu w komnatach

tortur – śmierć przy jej użyciu jest bardzo bolesna, w związku z czym niemal niespotykana u samobójców. Profesor Colin Berry, który dokonał autopsji zwłok Greena, w swojej 30-letniej karierze widział tylko jeden taki przypadek.

– Richard był bardzo zaniepokojony, ale nie powiedziałabym, że robił wrażenie samobójcy. Mówił logicznie i jak zwykle był dobrze zorganizowany. Zresztą nie uczyniłby nic bez jakiegoś sygnału – powiedziała siostra ofiary w rozmowie z „Observerem”.

– Rozmawiałem z Richardem 12 godzin przed śmiercią i nie sprawiał w ogóle wrażenia, jakby chciał się rozstać z życiem. Nie posunąłby się do tego choćby z uwagi na matkę, której był bardzo oddany – mówił „New York Timesowi” Owen Dudley Edwards, przyjaciel Greena, wykładowca historii uniwersytetu w Edynburgu, a prywatnie wielbiciel piśarstwa Doyle'a.

Edwards i Green próbowali uchronić archiwum Doyle'a przed aukcją i rozproszeniem po świecie. W tej batalii mieli niezwykle cennego sojusznika – córkę i dziedziczkę pisarza Jean Bromet. Ale prawo do części pamiątek po Doyle'u miała także wdowa po jego synu Adrianie Anna Conan Doyle. W testamencie przekazała je dalekim krewnym i to w ich ręce trafiła większość z 25 pudeł cennego rodzinnego archiwum. Także te, które biograf Lancelyn Green widział w domu Jean Bromet, zanim ta zmarła w 1997 roku. Green był zbulwersowany przejęciem całego archiwum przez spadkobierców Anny. Wystosował do domu aukcyjnego Chri-



Garotą zabijał nie tylko agent z opowiadań Holmesa. Była przez wieki tradycyjną metodą egzekucji

Obok: Inscenizacja w więzieniu Bilibid na Filipinach (około 1898 roku)



stie's ostry list protestacyjny. Wsparła go British Library. Kampanię przerwała śmierć.

SAMOTNY, GENIALNY GEJ

Green był intelektualistą. Pisał opracowania literackie, redagował magazyny, jeździł po świecie i był genialnym znawcą świata Conan Doyle'a. Jako gej nie stronił od romansów. Mimo to cierpiał na samotność. Żaden z partnerów Greena nie zamieszkał z nim na stałe. Ostatnią osobą znaną policji, która widziała milionera przy życiu, okazał się jego były kochanek, 30-letni Lawrence Keen, pielęgniarz z domu starców.

Od sześciu lat Green spotykał się z Keenem wyłącznie na stopie przyjacielskiej. W wieczór poprzedzający tragedię przybity biograf zaprosił byłego partnera na kolację w restauracji. Wypili dwie butelki wina. Potem Keen wpadł na kawę do willi przyjaciela w Kensington. – Richard nalegał, by rozmawiać w ogrodzie. Bał się, że pokoje są na podsłuchu. Keen zaklinał się także w sądzie, że

W salonie Christie's poszły pod młotek setki bezcennych pamiątek po Conan Doyle'u. Richard Lancelyn Green próbował nie dopuścić do tej aukcji. Czy odbyłaby się, gdyby żył?

pożegnał Greena w dobrej formie. Twierdził, że nigdy nie praktykowali zabaw seksualnych z podduszaniem. – Nic nie wskazuje na to, by przyczyną zgonu była dewiacja – mówi „Przekrojowi” Keith Rees, szef koronerów w Westminster. A więc co?

ZNAKI ZAPYTANIA

W mieszkaniu Greena ani na zwłokach ofiary nie było śladów przemocy. Ale koroner przyznał, że pętlę mógł równie dobrze zaciśnąć sam Green, jak i tajemniczy napastnik.

Kilka dni przed śmiercią znawca Doyle'a zadzwonił zrozpaczony do redakcji londyńskiego „Timesa” z krótką informacją: – Jeśli mi się coś przydarzy, pamiętajcie, że zgodnie z wolą córki Doyle'a archiwum powinno przejść na własność British Library.

Wraz ze śmiercią Greena zniknął jedyny świadek, który widział niektóre dokumenty przygotowywane do aukcji w Christie's w domu pani Bromet. I wiedział, że trafią pod młotek wbrew jej woli.

Niejasne pozostają niektóre okoliczności śmierci milionera. Skąd na jego łóżku nadpita, niemal pełna butelka dżinu? Zdaniem przyjaciół Green był smakoszem i nigdy nie popiłby wina dżinem. Nie wiadomo, dlaczego policja nie zebrała odcisków palców z sypialni Greena. Nieco zdziwiony tą niefrasobliwością był nawet sam koroner Knapman. Policjanci przekonani, że śmierć Greena jest samobójstwem, zapomnieli nawet sprawdzić, czy drzwi do jego rezydencji były zamknięte na klucz, czy tylko zatrzasknięte.

Frapujący jest także amerykański trop. Osobą zza oceanu, której tak panicznie obawiał się Green, jest Jon Lellenberg – strateg Pentagonu, a prywatnie fanatyczny wielbiciel Holmesa. Stąd wzięła się przypuszczalnie fobia Greena przed Amerykanami i podsłuchem. Lellenberg pomagał przy sporządzaniu katalogu aukcji w Christie's, a w tygodniu, w którym zginął Green, przebywał w Londynie.

CZYTANIE Z CONAN DOYLE'A

22 maja do anglikańskiego kościoła parafialnego w Lower Bebington ściągnęło 150 gości z brytyjskiego Towarzystwa Przyjaciół Sherlocka Holmesa. Nie zabrakło także amerykańskich fanów słynnego detektywa. Nabożeństwo żałobne, podczas którego odczytano fragmenty opowiadań Doyle'a, odbyło się w pobliżu posiadłości Poulton Hall. Rodzina zmarłego kolekcjonera mieszka tam nieprzerwanie niemal od tysiąca lat.

Czy to koniec zadziwiającej historii Lancelyna Greena? W marcu przeciwko wyprzedawcy w salonie Christie's protestowali brytyjscy badacze, bibliotekarze, a nawet członkowie parlamentu. Bezskutecznie. Czy śmierć słynnego kolekcjonera w takim momencie była rzeczywiście przypadkiem? Jeśli Green zabił się sam, dlaczego nie napisał choćby listu z protestem, aby swoją śmiercią zwrócić uwagę na bezprawną aukcję? To pytania bez odpowiedzi.

– Jak dotąd do naszego biura nikt się nie zgłosił – mówi „Przekrojowi” Keith Rees. Jeśli pojawiają się nowe tropy, Scotland Yard obiecuje wznowienie śledztwa. Sherlock Holmes z pewnością w mig rozwiązałby zagadkę, a wieczorem znalazłby czas na grę na skrzypcach. Ale to było w XIX wieku.

MAREK RYBARCZYK



Samsung 32" LCD TV LW32A33W



Inspiracja płynie z wnętrza.

DigitAll Cyfrowa dusza. Nowe telewizory LCD Samsung. Inspirują i zachwycają. Łączą w sobie niepowtarzalny styl i doskonałość technologii. System wspomagania obrazu DNIe™, wysoka rozdzielczość obrazu, olśniewające kolory i krystalicznie czysty dźwięk zapewniają wrażenia, jakich jeszcze nie znałeś. Samsung. Siła płynie z wnętrza. www.samsung.pl

SAMSUNG

Obraz na ekranie jest symulowany. ©2004 Samsung Electronics Co. Ltd.



ZASTÓJ W RÓŻOWYM INTERESIE?

STEFAN MAKULA

Na całym świecie porno-przemysł to żyła złota. Nasz rodzimy koncern pornograficzny przypomina PGR przed upadkiem. A może to tylko kamuflaż?



Ze w Pink Pressie dzieje się złe, reżyser John Hollywood wiedział już dwa lata temu, gdy kręcił „Rejs – ściśle prywatne”. Aktorzy po zdjęciach zgłodnieli, więc Hollywood upomniał się u prezesa spółki o kanapki. – Przecież możecie sobie zupy ugotować, będzie taniej – oznajmił Jarosław Ender.

Wiadomo, że Polska to nie Węgry i na budżet filmowy w wysokości 60 tysięcy euro liczyć nie można. Dlatego rodzime porno gwiazdy nie mogą zarabiać 100 tysięcy euro miesięcznie jak Włoch Rocco Siffredi ani nawet 1400 euro za dzień zdjęciowy jak Węgierka Michelle Wild. Ale nie może być też tak, że seksualna rekordzistka świata z roku 2002 Klaudia Figura zarabia mniej niż ekspedientka w mięsnym i musi pożyczać 50 złotych na dentystę, gdy ząb ją boli.

– A w Pink Pressie oszczędza się na wszystkim – żali się Hollywood. Gwiazdy mieszkają w hotelach robotniczych i do pracy muszą dojeżdżać autobusem. Na planie brakuje wizażystek. Oszczędza się na modelach, więc na zdjęciach widać obwisłe brzuchy, piersi, cellulit i pryszcze. Czasem brakuje nawet krochmalu – podstawowego rekwizytu na planie.

Nie przestrzega się przepisów bhp – aktorzy grają „bez gumy” i nie pokazują aktualnych badań lekarskich. W trakcie kręcenia „Nigdy nie mów mojemu mężowi” Marianna Rokita dowiedziała się nawet od charakteryzatorki, która pudrowała brzuch jednego z aktorów, że ten roznosi wszy łonowe, ale było już za późno.

TERAZ POLSKA

Pornograficzny koncern stworzyli w 1995 roku dwaj działacze ruchu gejowskiego – Jarosław Ender i Sławomir Starosta. 39-letni Starosta był współzałożycielem zespołu Balkan Electrique i redaktorem gejowskiego „Mena”. Nie rozmawia z dziennikarzami.

Z Jarosławem Enderem, prezesem spółki, umówić się trudniej niż z premierem. W ciągu trzech tygodni nie udało mu się wykroić nawet kwadransa, by przyjąć mnie w blaszanym magazynie przy Okęciu, gdzie urzęduje. Jego numer komórkowy to najpilniej strzeżona tajemnica w firmie.

O prezesie wiadomo niewiele. Ma 42 lata, zaczynał od wydawania gazetki o disco polo, a gdy koniunktura się skończyła, przerzucił się na porno. Raz w roku wręcza politykom i artystom z pierwszych stron gazet Tęczowe Laury za tolerancję.

Kapitał Pink Press wynosi zaledwie 50 tysięcy złotych. Zaczynali od gejowskiego „Nowego Mena” i heterycznego „Nowego Wampa”. Teraz mają co najmniej połowę rynku.

Ci, którzy przychodzą tu pierwszy raz, spodziewają się, że zobaczą kopulujące po kątach pary. Nic z tego. – To jest normalna praca – mówi matematyk Krzysztof Garwatowski, który do biura przychodzi na ósmą. – Jesteśmy takim samym wydawnictwem jak magazyn mody – dodaje.

Różnicę można dostrzec podczas sesji zdjęciowej. W zwykłych żurnalach modelki zakładają wtedy sukienki, a w Pink Pressie wręcz przeciwnie – ściągają majtki.

Fot. KUBA DĄBROWSKI

Fot. KAMIL FORCAPHOTOPASS.PL

– Chcieliśmy mieć polską gazetę, a nie tylko przedruki niemieckie – tłumaczy Garwatowski. Pink Press to 30 tytułów prasowych, portal internetowy, sex-telefony 0-700, dom wysyłkowy Erotica, dziewięć Pink Shopów, największe w kraju targi erotyczne Erotikon, produkcja filmów wideo i na DVD.

Okrętem flagowym wydawnictwa jest „Nowy Wamper”, który co miesiąc sprzedaje się nawet w 110 tysiącach egzemplarzy. Nie trzeba oglądać zdjęć, by zorientować się, że nie jest to zwykła gazeta. Wystarczy przeczytać nagłówki: „Poczwórna orgia”, „Szkolne perwersje”, „Analne doświadczenia maturzystek”.

Jak wygląda przeciętny czytelnik Pink Pressu? Ma od 18 do 35 lat, w 90 przypadkach na 100 jest mężczyzną, raczej z miasta niż ze wsi. Nie jest zbrodnicą, raczej samotnikiem. Tak go sobie wyobrażają w Pink Pressie.

Ukochanym dzieckiem Krzysztofa Gawarowskiego jest „Eroticon” z dołączonym filmem i „Sextra+”, pierwsza polska gazeta, która podbija Hiszpanię i Włochy. Strzałem w dziesiątkę był „Polski Wamper” i „Ścisłe prywatne”, gdzie prezentują się wyłącznie Polacy.

– Okazało się, że wolimy rodzime produkty – mówi Garwatowski. – Aktorzy mówią po polsku, na stole polska oranżada, polskie gazety i od razu jest bardziej swojsko.

MARIANNA IDZIE NA REKORD

Marianna Rokita słyszała, że podczas jednej z podróży zagranicznych prezydenta Kwaśniewskiego gratulowano mu rekordu świata, który pobiła. Prezydent był zdziwiony, bo jedyną znaną mu rekordzistką była pływaczka Otylia Jędrzejczak.

– Jestem znana i sławna za granicą, a w Polsce mówi się o mnie co najwyżej półgębkiem – żali się Marianna, o której świat dowiedział się 14 listopada 2003 r. o godzinie trzeciej w nocy. Wtedy to, w dawnym kinie Skarpa w Warszawie, ustanowiła seksualny rekord świata, zapoznając się bliżej z 759 panami. O takim wyniku mogły tylko pomarzyć jej poprzedniczki: Annabel Chong (251 panów), Jasmin St. Claire (300), Huston (620), a nawet Klaudia Figura (646).

Marianna z tych ośmiu godzin spędzonych w kinie Skarpa zapamiętała tylko 70-letniego Leszka z objawami łuszczycy, bo jako jedyny jej się przedstawił, a po wszystkich wręczył pąsową różę. Inni nic nie mówili albo zakładali foliowe torby na głowę, by ich nikt nie rozpoznał.

Już podczas zawodów okazało się, że imprezie brak światowego rozmachu. Zawodniczki nie miały szatni, nie miały się gdzie umyć, a choć jedna z nich została ranna, na sali nie było ani pielęgniarki, ani ginekologa.

Potem Marianna Rokita dowiedziała się najgorszego: wydawnictwo Pink Press nie zapłaciło jej 15 tysięcy złotych za rekord. W listopadzie zaczęła słać monity. W lutym firma obiecała, że uiszczy wszystko w ratach, ale nie uiszcza, więc w kwietniu sprawa trafiła do sądu.



– To jest biznes krwio pijczy

– mówi były pracownik spółki Pink Press.

– Ludzi kupuje się za bezcen, i to na wyłączność

Marianna miała początkowo nosić nazwisko Lepper.

– Zrezygnowałam, bo ten kłopot i tak by nie zrozumiał kpiny, a jego niewykształcony elektorat mogłoby to zachęcić do oddania na niego głosu – mówi.

Każdy, kto się rozbiera w Pink Pressie, musi mieć pseudonim. Zasada jest taka, że dziewczyny mają tylko imiona i dopiero jak stają się gwiazdami, dostają nazwiska – tak jak Kasia Laska czy Magda Polak. Pseudonimy wymyśla Sławomir Starosta, ale Marianna zrobiła to sama, bo oglądała posiedzenia komisji śledczej w telewizorze. – Rokita to takie diabelskie – tłumaczy. – Chciałam też, żeby bufoniestego posła Rokitę ludzie pytali, czy jestem jego krewną.

Gdy pytają o to Mariannę, ona nie zaprzecza, choć przecież nazywa się zupełnie inaczej. Pochoodzi ze Śląska, ale mieszka na warszawskim Mokotowie z dwoma kotami. Była działaczką Unii Wolności i dobrze zapowiadającą się dziennikarką (pod własnym nazwiskiem publikuje do dziś). Ma 22 lata. Więcej mieć nie może, bo górna granica wieku w porno-biznesie to 25 lat. Starszy produkt się źle sprzedaje.

Do Pink Pressu trafiła przypadkiem. Znany mi wysłał jej zdjęcie do wydawnictwa latem 2003 roku. Na rozmowę kwalifikacyjną przeprowadzili fotografa, a jej kazali się rozebrać za 500 złotych. Potem był pierwszy film. Kręcony w wynajętym mieszkaniu z wielkiej płyty pełnym kotów. O czym był film?

– Po prostu seks. Nic wymyślnego – mówi. Przed debiutem miała tremę i lekkie wątpliwości, czy wypada. 600 złotych je rozwiązało. Film nie miał tytułu, ale był dołączany do gazety „Ścisłe prywatne” dostępnej w każdym kiosku. Posypały się oferty. Zagrała ważne role w fil-

mach „Nie mów mojemu mężowi” czy „Igraszki maturzystek”.

Po rekordzie Pink Press zaproponował Rokicie stały kontrakt: 500 złotych postojowego i 800 za każdy nakręcony film oraz wyłączność na wykorzystanie wizerunku.

– Nie dałam się im wykorzystać i swoją sławę przekulałam na sukces finansowy własnej firmy – mówi rekordzistka, która dziś prowadzi programy autorskie w dwóch stacjach telewizyjnych. Ma swoją linię telefoniczną 0-700, gdzie może rozmawiać z 49 adoratorami naraz. Gra w filmach duńskich, niemieckich i francuskich. Kończy swoją pierwszą książkę „Wolny zawód” o kulisach porno-biznesu. Przyznaje, że zarabia nawet na włosach łonowych, które wysyła swoim wielbicielom za zaliczeniem pocztowym.

Marianna Rokita jako jedyna z poszkodowanych przez Pink Press zdecydowała się działać. Wystąpiła do sądu o ogłoszenie upadłości spółki. Chce przejąć logo, archiwizację, zagraniczne licencje spółki.

COŚ AMBITNIEJSZEGO NIŻ TARTAK

Na Zachodzie branża porno przynosi miliony euro zysku, więc nikt nie wie, dlaczego w siedzibie Pink Pressu nie ma złotych klamek, a ludzie muszą żebrać o pieniądze.

Kiedyś fotograf za pięciogodzinną sesję w Pink Pressie dostawał 300 złotych, potem 200, a teraz 100.

Fotografowi Andrzejowi Sz. wydawnictwo jest winne trzy tysiące złotych. Na swoje pieniądze czekają też operatorzy kamer, dźwiękowcy, szefowie produkcji, aktorzy, a nawet erotyczna wicemistrzyni świata Paulina.

– Nie znam nikogo, kto by dostawał pieniądze w terminie – mówi K., który otrzymywał wypłatę z trzymiesięcznym opóźnieniem.

G. odszedł z firmy po pięciu latach pracy, gdy dowiedział się, że ani jedna składka ZUS-owska nie została odprowadzona na jego konto.

Oficjalnie firma nie płaci składek do ZUS od lipca 2002 roku i rozpoczęło się już postępowanie egzekucyjne.

Krzysztof Garwatowski z Pink Pressu twierdzi, że pieniądze nie są najważniejsze. – Aktorzy grają dla przyjemności, by zaspokoić swoje fantazje erotyczne.

Ale to nie do końca prawda.

– Na Zachodzie trud wkładany w tę pracę jest sówicie wynagradzany, a u nas traktuje się aktorki i reżyserów jak hobbystów – skarży się Hollywood, który też jest ofiarą pinkpresso-wego wyzysku.

Zanim Jacek stał się Hollywoodem, był psychologiem, mężem znanej wokalistki i otarł się nawet o telewizję. W Pink Pressie zadebiutował jako scenarzysta superprodukcji „Big Sister” z udziałem amerykańskiej gwiazdy Midori. Za scenariusz dostał 200 złotych. Zrobił jeszcze „Wakacje prezydenta”, „Wieczór panieński”, „Jeden dzień z życia Anny Walewskiej”.

Za scenariusz, scenopis, przygotowanie listy montażowej, reżyserię i pięć dni zdjęciowych dostawał 1200 złotych. Potem było coraz gorzej.

– Rzuciłem to, bo nie mogłem realizować tam swoich koncepcji artystycznych. Chciałem robić coś ambitniejszego niż tartak – mówi Hollywood. – Płacili grosze, mieli półroczne ob-

GWIAZDY PROWINCJI

– To jest biznes krwio pijczy – mówi P., były pracownik spółki. – Ludzi kupuje się za bezcen, i to na wyłączność.

Niewyczerpanym źródłem dla Pink Pressu jest prowincja: małe miasteczka z dużym bezrobociem. Stamtąd zgłaszają się małżeństwa, które przed kamerą zrobią wszystko, by zarobić na czynsz albo zimowe buty dla dzieci. Stamtąd przyjeżdżają dziewczyny marzące o karierze i sławie.

– Zaprasza się taką na sesję zdjęciową – opowiada Hollywood – na której się musi rozebrać. Przynosi się vibrator, przyprowadza chłopaka, potem dwóch i już wiadomo, że ona wszystko zrobi.

Kręci się film. Film wyda się na płycie, zdjęcia pójdą w „Polskim Wamperze”, później w „Ścisłe prywatne”, a dziewczynie płaci się raz – tylko 300 złotych.

– Gdy firma proponuje jej pracę redaktorki, już myśli, że to pierwszy krok do Hollywood – mówi Johny.

Tak swoją karierę zaczynała Kasia Laska spod Chelma i Klaudia Figura z podkrakowskiej wsi. Redaktorki w Pink Pressie, inaczej niż w innych gazetach, ani nie piszą, ani nie redagują. Rozbierają się tylko, a teksty pisze za nie kontraktowy dziennikarz.

Hollywood nie zna żadnej dziewczyny związanej z Pink Pressem, która by odniosła sukces.

Jedynie Magda Polak jest na Zachodzie i bierze 700 euro za każdy dzień zdjęciowy.

– Ale to tylko dlatego, że z Pink Pressem nie chce mieć nic wspólnego – mówi Hollywood.

W Pink Pressie trudno się czegoś dowiedzieć. Jakichkolwiek informacji udziela jedynie Krzysztof Garwatowski, ale i on po pierwszej kurtuazyjnej rozmowie przestał odpowiadać na maile i telefony.

W Polsce nawet różowy interes wygląda jak szara strefa.

STEFAN MAKUŁA

Artykuł opublikowany jest również w Wirtualnej Polsce w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

BIOPTRON
LIGHT THERAPY SYSTEM By Zepter Group

ZATWIERDZONY JAKO URZĄDZENIE MEDYCZNE WEDŁUG NORM UNII EUROPEJSKIEJ (93/42 EEC)

BIOPTRON WPŁYWA BIOSTYMULUJĄCO NA KOMÓRKI:

- harmonizuje procesy metaboliczne
- wzmacnia system immunologiczny
- stymuluje procesy regeneracji organizmu

BIOPTRON W MEDYCYNIE

LECZENIE RAN I REGENERACJA TKANEK
(skuteczność potwierdzona medycznie)

- Rany pourazowe
- Oparzenia
- Rany pooperacyjne
- Owrzodzenia podudzi
- Odleżyny

ŁAGODZENIE BÓLU (skuteczność potwierdzona medycznie)

W reumatologii:

- Eliminuje lub łagodzi ból
- Skraca czas porannego zesztywnienia stawów
- Zwiększa siłę mięśni i aktywność ruchową
- Poprawia jakość snu

W medycynie sportowej:

- Zmniejsza bóle mięśni
- Przyspiesza powrót sprawności fizycznej
- Zmniejsza bóle kręgosłupa i stawów
- Jest doskonałym środkiem pomocniczym w leczeniu: stłuczeń, skręceń, naderwanych ścięgien, zwichnięć, skaleczeń, zasinień.

W fizykoterapii i rehabilitacji:

- Zmniejsza ból i skurcz mięśni
- Poprawia odżywienie tkanek
- Stymuluje zanikanie obrzęków
- Przyspiesza procesy regeneracyjne i leczenie ran

BIOPTRON W KOSMETYCE

- Zmniejsza istniejące zmarszczki i zapobiega pojawianiu się nowych
- Zwiększa efekty zabiegów kosmetycznych
- Skóra staje się zdrowsza, ma świeższy wygląd i jest piękniejsza
- Poprawia napięcie i teksturę skóry
- Czyni skórę bardziej elastyczną
- Leczy zmiany skórne, powstałe na skutek działania stresu
- Odmładza i odświeża skórę
- Pomaga się zrelaksować i poprawia samopoczucie

STOSUJ ŚWIATŁO BIOPTRON CODZIENNIE PRZEZ 4-10 MINUT RANO I WIECZOREM!

Chcesz wiedzieć więcej:

Zadzwoń **0 801 300 300**

(opłata wg taryfy lokalnej)

Wyslij sms **0 693 555 555**

(opłata wg taryfy Twojego operatora)

o treści bioptron/miejscowość/PK

np. bioptron/Radom/PK

Wyslij e-mail **bioptron@zepter.com.pl**

o treści bioptron/miejscowość/nr telefonu/PK

zepter
INTERNATIONAL

www.zepter.pl • www.bioptron.com

**BIOPTRON! ALBO GO MASZ
ALBO GO POTRZEBUJESZ!**

Gdyby w Polsce miało dojść do procesów zbrodniarzy, należałoby założyć, że nie skończą się skazaniem. Ci ludzie nie muszą trafiać do więzienia. Niech żyją z piętnem

Zwykłe draństwo

inicjatywa Centrum Wiesenthala, które uruchomiło infolinię, oferując 10 tysięcy euro za potwierdzoną informację o zbrodniach Polaków na Żydach, jest nieszczęściem. Doniesienia te, dotyczące zdarzeń podłych, zostaną dokonane w podły sposób. Fakt, że ktoś przez lata ukrywał taką wiedzę, a teraz wyjawia ją za pieniądze, jest zwykłym draństwem. Dotąd opłacało się milczeć, by nikt się nie zemścił lub by komuś nie robić kłopotu... – teraz korzystniej będzie mówić, bo może dadzą 10 tysięcy euro!

Nie podzielam, niestety, opinii profesora Władysława Bartoszewskiego, że akcja Centrum nie spotka się z odezwem, ponieważ Polacy nie mają z czym dzwonić. Odezwe będzie – tak dużo jest ponurej wiedzy, tak wielu małych ludzi, którzy jeszcze raz objawią swą małość.

Znane są historie polskich Żydów wracających do swych mieszkań po wojnie, zabijanych przez nowych polskich lokatorów. Szersze ujawnienie taką drogą podobnej wiedzy będzie tym bardziej wstydlive, podobnie jak początek dyskusji o Jedwabnem, do której sygnał też przyszedł z zagranicy – Polska strona z miejsca stanęła w roli obwinionej. Teraz znów będziemy tylko oskarżonymi, mimo że stać byłoby nas na organizowanie wymiaru sprawiedliwości.

Z drugiej strony nie dziwię się środowiskom żydowskim, że uruchamiają infolinię czy akceptują jej powstanie. Zasłużyliśmy sobie na to, ciąży na nas grzech zaniedbania w ściganiu takich zbrodni. Nazwanie ich po imieniu, opisanie, jest przecież obowiązkiem naszego państwa, polskiego społeczeństwa.

AMNEZJA KLASY POLITYCZNEJ

Na procesy karne, skazywanie winnych jest zbyt późno. Tak jak nie da się już rozliczyć komunizmu, tak nie można rozliczyć zbrodni rasistowskich. Sprawcy zwykle nie żyją. A nawet gdyby żyli, po co ciągać ich po sądach? Polscy agresywni nacjonalisci, najbardziej „zasłużeni”, mają dziś po 80–90 lat, są czę-

sto schorowani. Obraz takiego oskarżonego wyzwała raczej litość, w jakimś stopniu kompromituje Temidę.

Proces to oczywiście próba wymierzenia sprawiedliwości. Jeśli ktoś zabił, powinien za to odpowiadać. Ale procesy powinny być odbyte przez pierwszą III Rzeczpospolitą nie działo się w zasadzie nic. Dzisiaj choćby procesy zbrodniarzy stalinowskich to już pozór. Wielu skazano, a jeśli nawet zostają skazani, to w zasadzie dla nikogo nie ma to już istotnego znaczenia.

Może, gdyby miało dojść obecnie do procesów na szerszą skalę, należałoby z góry założyć, że nie skończą się skazaniem. Niech zostanie udowodniona wina, powiedziane, co się wydarzyło. Ale wyrokiem jest ogłoszenie sprawy. Ci ludzie nie muszą trafiać do więzienia. Niech żyją z tym piętnem.

Po tylu latach w procesie nie powinno chodzić o wymierzenie kary, ale – przede wszystkim – o nazwanie zbrodni, o przeniesienie sprawy do świadomości zbiorowej. A skoro istotą rzeczy miałyby być wyjawienie prawdy, podstawową drogą dojścia do niej powinna być ścieżka dokumentacji historycznej.

Najważniejsze jest to, co się w Polsce działo w stosunku do Żydów, nie zaś to, czyje konkretnie ręce zostały zbrukane. Społeczeństwo powinno wiedzieć, jak straszne rzeczy działy się w czasie II wojny i zaraz po niej. Nie odblokowano jednak tej wiedzy. Jest w tym przede wszystkim wina polskiej klasy politycznej, która po 1989 roku – być może niezbyt świadomie – podniosła amnezję do wymiaru racji stanu.

Bardzo jest ważne, by upublicznić taką wiedzę. Ale nie za pieniądze!

Napisaliśmy kiedyś w „Karcie”, że nie będziemy robić czarnych list. Dokumentujemy ofiary sowieckich represji, zbrodni Ukraińców na Polakach i Polaków na Ukraińcach. Nie mamy skłonności do badania personaliów zbrodniarzy, nawet gdy trafiały się na nich dokumenty. Skupiłbym się na sprawcy



Zbigniew Gluza
Założyciel i prezes Ośrodka „Karta” dokumentującego i upowszechniającego (kwartalnik „Karta”) najnowsze dzieje Polski i Europy Wschodniej. Ośrodek prowadzi Indeks Represjonowanych oraz gromadzone społecznie Archiwum Wschodnie, Archiwum Opozycji, wydaje słownik „Opozycja w PRL”.

wtedy, kiedy on sam opisałby swoje zbrodnie. Ale ci ludzie nie czują takiej potrzeby. Apelowaliśmy w „Karcie”, aby ci, którzy byli po stronie totalitaryzmu i mają na sumieniu ciężar, z którym trudno żyć, opisali to na naszych łamach, choćby anonimowo... Nikt się nie zgłosił.

UZDROWIĆ CHORĄ PAMIĘĆ

Chociaż na ocenę sądową jest już za późno, na ocenę moralną – na pewno nie. Ale z każdym rokiem szanse i na nią maleją. Odchodzi generacja świadków. Zostaniemy z wyobrażeniami, posądzaniami, plotkami, których nie da się już zweryfikować.

Ta amnezja opanowuje i społeczeństwo, i władze. Przez 10 lat III Rzeczpospolitej nie wypracowano metod zajmowania się historią; dopiero w 2000 roku powstał Instytut Pamięci Narodowej. Stracono tę dekadę. To jest już nie do odrobienia – dobrze to widać w świadomości młodszych pokoleń. Dlatego trudno mówić jedynie o braku pamięci związanej z morderstwami na Żydach, represje hitlerowskie czy sowieckie wobec Polaków też już zanikają w świadomości zbiorowej.

Teraz Centrum Wiesenthala daje dwuznaczną propozycję. Ludzie odpowiedzą, ale pozostaje pytanie, dlaczego nie odezwali się wcześniej? Może także dlatego, że nikt publicznie nie pytał ich o to. Wielu się boi. Zgłoszono do nas niedawno historię cmentarzyska, prawdopodobnie Żydów pomordowanych w celach rabunkowych przez Polaków na początku wojny. Zgłaszający nie chce tego badać, bo jest znany w społeczności lokalnej. Boi się zemsty. Zajmiemy się tą sprawą. Ale trudno będzie teraz uciec od dwuznaczności: jak udowodnić, że robimy to bezinteresownie?

IPN, który działa w skali ogólnopolskiej, mógłby coś w tej sprawie zrobić. Uzdrowić tę chorą pamięć w sposób, który nie odnosiłby się do niskich instynktów. Bo także te wszystkie zbrodnie opierały się na małości – najczęściej na zwykłej chciwości, choć podszytej rasizmem. Na miejscu IPN ogłosiłbym, że jeśli ktoś nie chce, aby uznano, że zgłasza się dla pieniędzy, niech uda się do Instytutu – Komisji Ścigania, a ta zajmie się tym, bez pośredników w rodzaju Centrum Wiesenthala. Gdyby była taka alternatywa, gdyby można porównać, ile osób zgłosiło się za pieniądze, a ile za darmo, można by ocenić kondycję moralną Polski.

ZBIGNIEW GLUZA

SONY

Uchwycić piękno w najwyższej jakości

Tak, to jest piękne! Jak zachód słońca. Jak kołysane wiatrem łąki i pola pszenicy. Jak uśmiech na twarzy dziecka. Jak wiele, wiele innych obrazów. Dostrzeż je i utwral w prawdziwie **panoramicznym formacie 16:9** kamerą cyfrową Sony **DCR-HC40** z megapikselowym przetwornikiem CCD i niepowtarzalnym **obiektywem Carl Zeiss**. Nie trać chwili... Zaczynj filmować!



HANDYCAM



„Sony” i „Handycam” są zastrzeżonymi znakami handlowymi Sony Corporation, Japonia.

www.sony.com.pl

Dzięki Tobie będzie to Sony

Córki prezydenta USA
wychodzą z cienia.
BARBARA i JENNA BUSH
muszą pomóc ojcu
w walce o przetrwanie
w Białym Domu

W poprzednich wyborach prezydenckich większość Amerykanek głosowała na Demokratów. W listopadzie może być podobnie – tym bardziej że w kampanii Johna Kerry'ego aktywnie uczestniczy jego słynąca z niezależności żona Teresa Heinz-Kerry. W tej chwili Bush w sondażach przegrywa z kandydatem Demokratów. By pozostać w Białym Domu, musi odbić rywalowi między innymi damski elektorat. To dlatego na wywiady telewizyjne prezydent coraz częściej wysyła żonę. W odwodzie ma jeszcze swoją „tajną broń kobiecą”: bliźniaczki.

Seksowna brunetka i blondynka to świeżo upieczone absolwentki uniwersytetów w Yale i Teksasie. Po powrocie z wakacji w Europie 22-letnie bliźniaczki Barbara i Jenna Bush będą pracować w kwaterze głównej Partii Republikańskiej w Arlington. – Być może pojawią się z ojcem na szlaku kampanii – zapowiedziała w telewizyjnym wywiadzie Laura Bush. Już w sierpniowym wydaniu miesięcznika „Vogue” ukaże się wywiad z córkami prezydenta. Na dwa miesiące przed wyborami ozdobią okładki i kilka stron magazynu.

W życiu Bushówien szykuje się prawdziwa rewolucja, bowiem Barbara i Jenna dojrzewały dotąd z dala od świata polityki i mediów. W publicznej roli zadebiutowały dopiero w kwietniu tego roku, odwiedzając wraz z rodzicami rannych amerykańskich żołnierzy w bazie Fort Hood w Teksasie. Cztery lata temu bezskutecznie próbowały przekonać ojca, by zrezygnował dla nich z walki o Białą

TAJNA BROŃ / TATUSIÓW

MAREK RYBARCZYK

Dom. Najwyraźniej przeczuwały, jak prezydentura odbije się na ich życiu. W kampanii Busha wzięły symboliczny udział, a wkrótce po zwycięstwie Republikanów zniknęły na uniwersytetach. Od czterech lat na krok nie odstępują ich Secret Service. Podobno agenci nadali prezydenckim bliźniaczkom przezwiska. Jenna to „Migotka”, a Barbara – „Turkusik”.

BLIŹNIACZKI POD OCHRONĄ

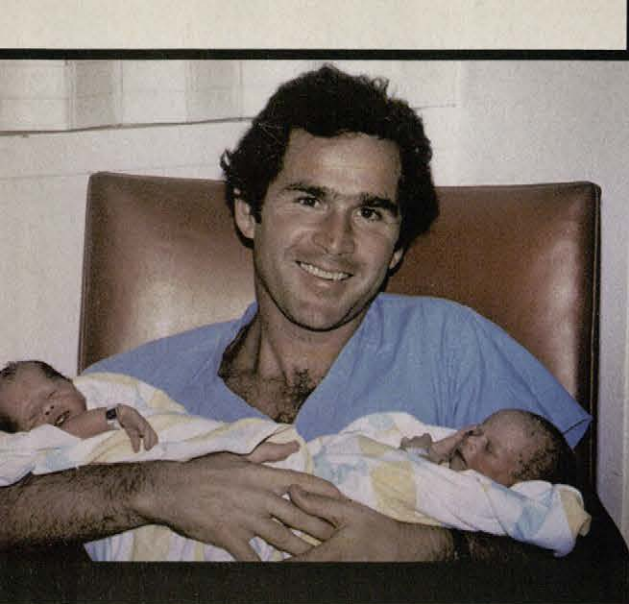
– Dziewczęta nie interesują się specjalnie polityką – przyznał niedawno rzecznik Laury Bush. W ciągu czterech lat studiów Jenna i Barbara skrupulatnie omijały uniwersyteckie debaty o wojnie w Iraku. Barbara odebrała w maju dyplom na wydziale nauk humanistycznych Yale (tam studiował też jej ojciec), a Jenna skończyła anglistykę na uniwersytecie w Austin w Teksasie. Rodzice nie przyjechali na ceremonie rozdania dyplomów – wymogi bezpieczeństwa prezydenckiej wizyty popsuleyby uroczystość pozostałym absolwentom.

Barbara i Jenna były wcześniakami. Laura Bush przez całą ciążę obawiała się, czy donosi bliźniaczki, więc gdy przyszły na świat, stały się oczkiem w głowie rodziców. Choć ich ojciec był gubernatorem Teksasu, do 2001 roku wychowywały się we względnie normalnych warunkach. Mogły bez zapowiedzi zapraszać przyjaciół do domu, wyskakiwać na miasto, chodziły też do kina i odwiedzały kluby. W domu Bushów obowiązywała zasada, że córki mają prawo żyć własnym życiem. Barbara i Jenna z daleka omijały konferencje prasowe, nie brały udziału w rodzinnych sesjach fotograficznych, nie udzielały wywiadów, nie schodziły też do gości podczas przyjęć w rezydencji pana gubernatora.

George W. Bush, który wyrósł w cieniu ojca, a jako dorosły człowiek przez 15 lat wychodził z alkoholizmu, dobrze wiedział, co robi, chroniąc prywatność córek. Jednocześnie chcąc wynagrodzić im odcięcie od świata, Bushowie spełniali każdą ich zachciankę, a one umiejętnie wykorzystywały tę sytuację. „Ciągłe przedstawiały się jako ofiary kariery ojca” – pisze Ann Gerhart w opublikowanej w styczniu biografii Laury Bush pod tytułem „Doskonała żona”.

SZALEŃSTWA PANIEN BUSH

Kiedy cztery lata temu ich ojciec został prezydentem, Jenna i Barbara przeżywały właśnie burzliwy okres dojrzewania. Poważna prasa dotrzymywała jednak niepisanej umowy z Białym Domem i albo milczała o młodościowych



Rodzina prezydencka w komplecie na inauguracji (styczeń 2001 roku)

ekscesach córek Busha, albo pisała o nich półgębkiem. O prywatkach w Los Angeles, na Manhattanie i w Saint-Tropez (gdzie oczywiście pito alkohol i palono marihuanę), lekceważeniu agentów oraz szaleńczych zakupach rozpisywały się za to tabloidy.

„Przygotuj się, Ameryko. Oto nadchodzi szalona córka George’a Busha” – grzmiał w styczniu 2001 roku plotkarski „National Enquirer”, pokazując na okładce Jennę Bush, jak z puszką piwa i papierosem w ręku ścięta z nóg ląduje na roześmianej koleżance.

Wiosną 2001 roku Jennę i Barbarę przyłapano na próbie zakupu alkoholu. W USA w wieku 20 lat można głosować, zginąć na wojnie, prowadzić samochód i kupić pistolet, ale nie wolno legalnie napić się piwa. Policjantom tłumaczyły, że mają trudne życie. Nie pomógł nawet rozpaczliwy telefon do taty-prezydenta. Jenna i Barbara zostały aresztowane i skazane na opłacenie kosztów sądowych oraz przymusową pracę społeczną.

Miesiąc później Jenna znowu próbowała zamówić alkohol. Zgodnie z zasadą „zero tolerancji” – wprowadzoną w Teksasie przez jej własnego ojca – drugi wyrok był o wiele surowszy. Bushówna zapłaciła 600 dolarów grzywny i na trzy miesiące straciła prawo jazdy. Rzecznik Białego Domu stanowczo zniechęcał reporterów do wnikania w „prywatną sprawę rodzinną”, potem jednak do mediów przedostał się kontrolowany przeciek o tym, że niezadowolony Bush zatelefonował do Jenny z Kalifornii.

– Bardzo je kocham, ale jestem zbyt niecierpliwy. Muszę trochę zwolnić – mówił w wywiadzie dla „Washington Post”. – Moje córki powinny wyrosnąć na młode damy w swoim własnym tempie.

OCHROŃ, PRZYNIEŚ, POZAMIATAJ

Najciężej mają z bliźniaczkami agenci Secret Service. Po atakach 11 września służby specjalne przez kilka godzin szukały Jenny, która po raz kolejny uciekła znieprawdzonym ochro-

Przez długi czas dziennikarze wiedzieli więcej o psie Busha niż o jego dwóch córkach. Były po temu powody



Fot. ELLIOT PRESS/EAST NEWS



Na górze: Jenna i Barbara sprawiały Bushowi frajdę od samych narodzin

Powyżej: To zdjęcie Jenny Bush zrobione w waszyngtońskim barze wywołało skandal

Obok: Aleksandra, córka Johna Kerry’ego, demokratycznego rywala Busha, pokazała w Cannes swoje ukryte atuty

niarzom. Innym razem agentów zgubiła Barbara. Udało jej się wykorzystać przewagę przy wjeździe na autostradę. Bushówna miała abonament, więc przejechała bramkę bez kolejki, a agenci musieli opłacić wjazd gotówką.

Ochroniarze narzekają na złe traktowanie i skarżą się, że „Migotka” i „Turkusik” wykorzystują ich w charakterze służących i posłańców. W styczniu 2001 roku Jenna posłała jednego z nich, by odebrał z aresztu jej chłopaka zatrzymanego w Teksasie za pijaństwo. Innym razem agent otrzymał polecenie nawiązania w imieniu obu bliźniaczek kontaktu z rockmanem Chrisem Cornellem z grupy Audioslave.

Bushówny nie lubią protokołu. W 2002 roku podczas podróży z matką po Europie Jenna uparła się, że w Paryżu wysiadzie z samolotu w przyciasnych dżinsach biodrówkach, bawełnianej koszulce i japonkach. Kiedy w oddali pojawiły się teleobiektywy francuskich paparazów, do akcji wkroczyło Secret Service. Jeden z agentów odeskortaował Jennę do budynku lotniska, zasłaniając ją ubraniami matki.

DŻOKERY W WALCE Z KERRY’EM

Pracując w sztabie wyborczym ojca, nie będą już miały taryfy ulgowej, tym bardziej że w obozie Demokratów mają silną konkurencję. Naprzeciw Jenny i Barbary stoją dorosłe córki Johna Kerry’ego – 30-letnia Aleksandra i 27-letnia Vanessa.

Aleksandra, która jest aktorką i reżyseruje filmy, zrobiła niedawno furorę na festiwalu w Cannes. Na jedną z premier przyszła w przewiewnej czarnej sukni, zapominając najwyraźniej o staniku. Kanonada fleszów sprawiła, że w gazetach ukazały się zdjęcia topless niczym z trzeciej strony „The Sun”. Co bardziej pruderyjne gazety w USA opatrzyły suknię czarnym paskiem albo skadrowały zdjęcie powyżej biustu. Tak czy inaczej Aleksandra narobiła wokół siebie mnóstwo hałasu.

Z kolei jej siostra Vanessa wystąpiła w reklamówce politycznej ojca. Niebieskooka studentka medycyny na uniwersytecie Harvarda wyjawiała telewizjom, że wzięła urlop dziekański, aby „pomóc ojcu w walce o rzeczy, które liczą się najbardziej”.

„Córki Busha mogą dodać kolorytu i uczłowieczyć tę konserwatywną administrację. Mogą puszczać zalotnie oko w czasie, kiedy ich ojciec będzie przemawiał do klasycznej prawicy. Te dziewczyny mogą się okazać dla Busha politycznym kapitałem” – pisze komentatorka brytyjskiego „Guardiana”. Amerykanów pociąga nonszalanckość i lenistwo i niepokorny duch Bushówien. Nie lubią też ludzi obnoszących się z własnymi ambicjami. Jenna i Barbara Bush mają cenny dla ojca tak zwany czynnik ludzki.

Na razie jednak nie pokazały wiele więcej, a ich dotychczasowe szaleństwa wypadają blade na tle poprzedniczek. Córka Reagana Patti Davis wyśmiewała politykę ojca i pozowała dla „Playboya”. Bardziej ekstrawagancka od bliźniaczek była już sto lat temu córka Theodora Roosevelta Alice. Rozbijała się automobilem, chodziła po Białym Domu z papierosem w ustach i kąpała się w fontannie. – Mogę panować nad krajem albo nad Alice. Nie jestem w stanie robić obu tych rzeczy naraz – narzekał Roosevelt.

MAREK RYBARCZYK

eurobank

masz dyplom?
masz pracę?
masz kredyt!

Masz wiele potrzeb.
Usamodzielniasz się.
Zakładasz rodzinę.

- łatwy i szybki kredyt na dowolnie wybrany cel
- od 500 zł do 100 000 zł
- bez poręczycieli i zabezpieczeń

Co jeszcze możemy dla Ciebie zrobić



Centrum Obsługi Klienta
0 801 700 200

całkowity koszt połączenia z nr. 0 801 700 200 to koszt jednego impulsu taryfy lokalnej
dzwoniąc z tel. kom., wybierz numer (+48 71) 799 3 200
www.eurobank.pl



ŻELAZNA MARTINA NIE RDZEWIEJE

ADAM ROMER

Na wimbledońskiej trawie
MARTINA NAVRATILOVA zdobyła dotąd
20 tytułów i jest absolutną
rekordzistką. 47-letnia tenisistka
po 10 latach przerwy znów
wystartuje tam w turnieju
indywidualnym

Zegnając się 10 lat temu z zawodowym tenisem i ukochanym Wimbledonem, nie przypuszczała zapewne, że na początku XXI wieku powróci. Urodzona na czeskiej prowincji, została obywatelką świata. Jako kilkulatnia dziewczynka bała się, że nie spodoba się chłopcom z sąsiedztwa, a kilkanaście lat później interesowała się już tylko kobietami. Uzależniona od hamburgerów, dla tenisa stworzyła najdoskonalszy system przygotowań ogólnorozwojowych i wytrzymując ten reżim, stała się atletką o perfekcyjnie funkcjonującym ciele.

JEDYNY MĘŻCZYZNA JEJ ŻYCIA

Martina Subertova, bo tak nazywała się przez pierwsze cztery lata swojego życia Navratilova, w niewielkich Revnicach pod Pragą nie pasowała do małomiasteczkowego obrazka grzecznej dziewczynki: krótkie włosy, muskularna sylwetka. Jej życie pochłonął sport.

Najpierw były narty. Dzięki mamie Janie, instruktorce narciarstwa, pierwsze zimy życia miała Martina spędzać w Karkonoszach. Teraz mieszka w najsłynniejszym narciarskim kurorcie Ameryki – w Aspen. Jej ukochanym sportem stał się jednak tenis. Sukces zawdzięcza jednemu mężczyźnie, którego (jak twierdzi) kochała – Mirkovi Navratilovi. Jej ojczym był zapalonym tenisistą i całą miłość do tego sportu przełał na córkę żony.

Z biologicznym ojcem Martiny była związana rodzinna tragedia, którą przyszła mistrzyni tenisa poznała dopiero wiele lat później. Jej rodzice rozwiedli się, gdy miała niecałe trzy lata. Dwa lata później ojciec popełnił samobójstwo. Według Navratilovej nie był w stanie pogodzić się z samotnością. Niedługo potem matka ponownie wyszła za mąż, właśnie za trenera Navratila.

Pierwsze treningi kilkulatnia Martina odbywała na dziurawym korcie w miejskim lasku w rodzinnych Revnicach. Pierwszą raketę – drewnianą, zbyt ciężką i za dużą dla dziecka – odziedziczyła po babci Agnes Semanskiej, która sama grała wyczynowo w tenisa. – Kiedyś zostaniesz mistrzynią Wimbledonu – powtarzał pasierbicy Navratil i uczył, jak chodzić do siatki, grać woleje i skróty. Słowa ojczyma ziściły się na początku lipca 1978 roku, ale wtedy jego Martinka nie grała już dla swojej socjalistycznej ojczyzny.

BAD GIRL FROM THE EAST

Navratilova twierdzi, że głównym powodem emigracji były wydarzenia 1968 roku. „Widziałam, jak mój kraj tracił duszę, i myślałam: muszę się stąd wydostać”. Ile w rzeczywistości widziała i rozumiała 12-letnia Martina z wydarzeń Praskiej Wiosny, pozostaje do dziś jej tajemnicą. – Jediną osobą, z którą rozmawiałam o ucieczce, był ojciec. Powiedział: „Jeśli uważasz to za słuszne, jedź. Zrób to dla tenisa!” – opowiada Navratilova. Rodziców odwiedziła dopiero w połowie 1981 roku, gdy po sześciu latach starań dostała amerykańskie obywatelstwo.

O Stanach marzyła od lat. Po raz pierwszy była tam w 1973 roku. W nagrodę za to, że jako 17-latką została najlepszą tenisistką w Czechosłowacji, pozwolono jej wyjechać na turniej w Akron w stanie Ohio. Tam po raz pierwszy przegrała ze swoją późniejszą wielokrotną rywalką Chris Evert. I tam po raz pierwszy zachłysnęła się Ameryką.

– Ciągłe mówiła o panującej tam wolności, której nie miała w Czechosłowacji – opowiada Wojciech Fibak,



Za publiczne przyznanie się do biseksualizmu Navratilova musiała słono zapłacić

– W pewnym momencie zaczęliśmy ją naśladować. To pozwoliło mi poprawić wyniki – przyznaje Evert.

Nie było rywalki, która była w stanie zmęczyć i zabiegać Martine. Bezradne przeciwniczki powtarzały, że Martina bardziej się nadaje do startów z mężczyznami.

– To brednia. Tenis kobiecy i męski różnią się od siebie jak dwa światy – protestuje Wojciech Fibak i przypomina słynną w połowie lat 70. pokazówkę z udziałem Navratilovej i Jimmy'ego Connorsa. Chociaż pole gry po stronie Amerykanina powiększono o kilkanaście centymetrów na każdą stronę, bez kłopotów pokonała 7:5, 6:2 najlepszą na świecie kobietę.

Po powrocie trzy lata temu do świata tenisa Amerykanka znów korzystała ze sprawdzonych metod treningu. Efekt? W wieku 46 lat zaczęła wygrywać kolejne zawodowe turnieje.

TAK, JESTEM LESBIJKĄ!

Martina od najmłodszych lat była „inna”. Gdy miała dziewięć lat, ojciec zabrał ją na spotkanie z ówczesną legendą czechosłowackiego tenisa Jirzim Parmą. Na widok ostrzyżonego dziecka w krótkich spodenkach mistrz spytał: „Ile ten chłopak ma lat?”.

Bomba wybuchła w 1979 roku. Choć już wcześniej przebąkiwano o jej preferencjach, to dopiero w roku jej drugiego zwycięstwa na Wimbledonie prasa USA zaczęła głośniejsze spekulować na temat „niezwykłe zażyłej przyjaźni łączącej Navratilovą ze znaną autorką bestsellerów Ritą Mae Brown”. Martina wyjawiała więc otwarcie swoje preferencje seksualne. Przyznała się do biseksualizmu: – Kochałam się i byłam z kobietami i mężczyznami.

Za szczerość musiała zapłacić. Firmy, zamiast bić się o kontrakty reklamowe, odwracały się do niej plecami. Niektórzy sponsorzy uznali deklarację Navratilovej za powód do zerwania łączących ich umów.

– Kosztowało ją to dużo pieniędzy, ale z drugiej strony zdobyła wiele sympatii, pokazując, że w tym zwariowanym, pełnym dolarów świecie tenisa liczą się też inne wartości – komentował angielski dziennikarz Adam Sweeting.

Z czasem sprawa jej skłonności do kobiet spowszedniała i powracała jedynie w kontekście zmiany kolejnych narzeczonych. Największy skandal wybuchł jeszcze na przełomie lat 80. i 90. Wieloletnia przyjaciółka Navratilovej, była miss Teksasu

Judy Nelson, znudzona projektowaniem strojów tenisowych i sukienek dla Martiny (– O Boże, jakie to były okropne stroje – narzekała Navratilova 10 lat po rozstaniu), odeszła i wniosła do sądu sprawę o alimenty. Historia skończyła się polubownie, ale kosztowała tenisistkę sporo nerwów i pieniędzy.

Dziś homoseksualizm Navratilovej jest akceptowany, Martina regularnie wspomaga organizacje gejowskie i akcje na rzecz tolerancji.

MARZENIE O IGRZYSKACH

Tym, czego najbardziej brakowało wielkiej Martinie przez ostatnie 10 lat, były zapewne sukcesy w świetle jupiterów. Na korcie i tak już zarobiła ponad 20 milionów dolarów, a w tenisowej historii zapisała kilka wyczynów (najwięcej w dziejach wygranych turniejów w singlu – 167 – i deblu – 174), których prawdopodobnie nikt już nigdy nie pobije. Jej ambicji najwyraźniej nie zaspokaja też stanowisko prezydenta Woman's Tennis Association, trenowanie innych i pisanie książek.

– Gdy w sierpniu 1987 roku po sześciu latach straciłam pozycję liderki rankingu, czułam, że tracę część siebie. Pozbierałam się jednak do kupy. Tak samo teraz – może nie jestem już najlepsza, ale tu i ówdzie mogę jeszcze coś wygrać – żartuje Amerykanka.

Na początku tego sezonu jej głównym celem była kwalifikacja olimpijska do turnieju deblowego. Navratilova nigdy dotąd nie wystąpiła na igrzyskach olimpijskich. W parze z Lisą Raymond uważana jest za jedną z głównych faworytek do złota w Atenach.

MOJA MIŁOŚĆ – WIMBLEDON

To, że Navratilova wróci na trawiaste korty Wimbledonu po 10 latach przerwy, stało się jasne w chwili, gdy ktoś z All England Lawn Tennis and Croquet Club zaproponował jej „dziką kartę”. Starsi panowie z najbardziej ekskluzywnego klubu tenisowego świata zawsze mieli słabość do Amerykanki, która grała u nich w singlowym turnieju nieprzerwanie przez 22 lata (1973–1994).

– Pamiętam mój ostatni występ i porażkę w finale – wzdycha Navratilova, wspominając 1994 rok, gdy po raz 10. miała sięgnąć po zwycięstwo na wimbledońskiej trawie. Przeszkodziła jej w tym Hiszpanka Conchita Martinez. Martine została tylko nagrodą pocieszenia, brawa 16-tysięcznej publiczności i kilka żdźbeł trawy wyrwanej z kortu centralnego. – To takie sentymentalne, ale zabrałam je na pamiątkę – tłumaczy się.

– Ona jest fenomenem, a z jej predyspozycjami do gry na trawie może nawet wygrać jeden, dwa mecze – zapewnia Fibak i obiecuje, że będzie jej kibicował. Podobnie jak większość tenisowych kibiców, bo kto by nie chciał zobaczyć, jak wielka Martina znów wygrywa.

ADAM ROMER

KRYSTYNA JANDA

Chwila o zapachu kawy

Siedziała, czy raczej półleżała, w rogu kanapy, w pokoju pełnym ludzi i wpatrywała się z przyjemnością, jak oczka w jej czarnych rajstopach biegną do góry. Nie miała ochoty na to przyjęcie. Na zaproszeniu, które położył jej na biurku, był dopisek: mam nadzieję, i... chciałbym. Od jakiegoś czasu czuła jego zainteresowanie, ale wszelkie próby rozmów na tematy prywatne, wszystkie znaki z jego strony ignorowała lub uciniała bez pozostawienia cienia nadziei... A teraz siedziała tutaj i czuła narastającą falę niechęci. Krążył po mieszkaniu znakomicie spełniając rolę gospodarza, rozmawiał z każdym, pomagał, przynosił, częstował, uśmiechał się, znikał w kuchni, ale cały czas był przy niej, czuła to i to jej przeszkadzało.

– Coś ci jest? Żle się czujesz? – pochyliła się nad nią Karina.
– Jesteś w takim nastroju, że wszyscy boimy się podejść.
– Chyba nie powinnam była przychodzić, psuję wam wieczór.
– Może masz na coś ochotę? Przyniosę ci.
– Napiję się kawy i pójdę – odparła. – Możesz mi to zorganizować?

Biała kreska oczek na nodze doszła już do kolana, poczuła laskotanie. Była wdzięczna Karinie za dyskrecję, za wyrozumiałość, za wszystko. Nad większością projektów pracowały razem, Karina zgadzała się być pomocnikiem, podczas gdy ona narzucała styl i cel, to jej pomysły były realizowane. Z kolei bez pracowitości, dokładności i wiecznego optymizmu Kariny byłoby naprawdę trudniej. Przyjaźń związała je na zawsze, od momentu, kiedy stanęła w jej obronie, sprzeciwiając się właśnie jemu. Kiedy mu powiedziała, że kobieta, która wychowuje samotnie dwoje dzieci, robi dla nich wszystko i że wykorzystywanie takiej sytuacji jest podłością. Stał potem ogłupiały dobrą chwilę, a kiedy wyszła z pokoju, podobno coś długo tłumaczył, że nie miał pojęcia, że przecież, że przeprasza.

– Patrę od jakiegoś czasu jak oczko w twojej pończosze posuwa się coraz dalej i nie mogę się skupić – kolega z sąsiedniego biurowego pokoju chuchał erotycznie w jej ucho.
– Spadaj Karol! Poza tym to rajstopy.
– Jeśli chcesz, mogę w ramach koleżeńskej pomocy uratować twój nastrój.
– Ciekawe jak? Masz w kieszeni pończochy?
– Nie, chodź ze mną do łóżka.
Całowanie możemy opuścić.

– Spadaj kretynie – zaśmiała się.
– Jak to oczko nie przestanie, to my tu – wszyscy faceci – pomdlejemy, ostrzegam. Gospodarz tego przyjęcia już od dawna ledwo żyje.
– Daj mi spokój. Idź pić dalej. Ja zaraz wychodzę. Zejdę wam z oczu, panowie.

Zdała sobie sprawę, że jest jedyną kobietą w tym towarzystwie, która nigdy nie była w długotrwałym związku. Dlaczego tak jest? To ona psuje i uciną zawsze wszystko w momencie, kiedy znajomość niebezpiecznie zbliża się do stabilizacji? Dlaczego? Wszyscy mężczyźni ją po chwili nudzą, denerwują, rozczarowują, ograniczają, męczą, przeszkadzają? W każdym razie nie spotkała dotąd żadnego, z którym chciałaby dobrowolnie biec gdzieś dalej, dłużej, razem. Ma trzydzieści trzy lata i uczucie, że to dopiero wstęp do czegoś więcej... ale czego? Czego właściwie chce? Po prostu, tak jej dobrze. To jej wybór. Otwarta perspektywa, to jej odpowiada.

– Zaraz dostaniesz kawę! – Karina odstawiała swoją filiżankę.
– Podobno ta kawa dla ciebie będzie rewelacyjna... najważniejsza kawa w jego życiu – z chichotem pochyliła się nad nią, sięgając po długopis z leżącej nieopodal torebki.
– Przestań. Nie lubię, kiedy ktoś się za bardzo stara. Nie lubię wymuszonych sytuacji.
– Ile ty krwi umiesz napsuć człowiekowi! Ciśnienie mu skoczyło do 220. Ty malpo!
– Nie obrażając małp – mruknęła w odpowiedzi.
– Słuchaj, czy facet, który ma tyle lat, takie mieszkanie, tak wygląda i jest tym kim jest, może być sam? To nie jest normalne. On musi mieć jakiś feler, nie?

– Nie wiem, nie będę tego sprawdzać, zaraz wychodzę.

– Przyjdiesz jutro do nas na obiad? Mama na ciebie czeka, chłopcy też, nawet pies. A może poszlibyśmy gdzieś razem?

– Nie mogę. Niedziela to mój dzień.

Nie oddam go. Przyjdę w poniedziałek.
Boże! Mama, pies, dwoje dzieci, kwiatki,



Ciąg dalszy na następnej stronie ►

HAMBURGERY I FITNESS

W pamięci kibiców pozostała atletyczna „maszyna do wygrywania”. Nie zawsze tak było. – Po przyjeździe do USA pochłaniałam hamburgery w tempie i ilościach tak niesamowitych, że nie chcę o tym myśleć – opowiadała. Znany tenisowy komentator Bud Collins nadał jej nawet przezwisko „Great Wide Hope” (Wielka Obszerna Nadzieja).

Dzięki pomocy przyjaciół została pierwszą tenisistką na świecie konsekwentnie dbającą o przygotowanie fizyczne. Stosowała dietę, ćwiczyła w siłowni, biegała, grywała w koszykówkę. Dzięki naukowemu podejściu i ciężkiej pracy udało jej się obniżyć zawartość tłuszczu w organizmie do 8,8 procent (u przeciętnego człowieka to 15–20 procent).

MARTINA NAVRATILOVA

urodziła się 18 października 1956 roku w Revnicach koło Pragi. Zawodowo gra w tenisa od 1975 roku. Na korcie zarobiła 21 milionów dolarów. Wygrała 167 turniejów singlowych (w tym 18 wielkoszlemowych) i 174 deblowe. Przez 332 tygodnie była liderką rankingu WTA (1978–1987). Rozegrała 1659 meczów singlowych i 774 deblowe.



BOKSER BELKI

Był trenerem boksu,
dziennikarzem
sportowym,
właścicielem firmy
public relations. Teraz
JERZY CISZEWSKI jest
głównym doradcą
medialnym premiera
Marka Belki

rozumieć, że doradca jest ważny nie tylko w czasie wyborów, lecz także później – mówi Łaszyn. Dodaje, że między Ciszewskim a Tymochowiczem jest przepaść. – Nie można z kogoś robić małpy. Trzeba znaleźć w człowieku dobre cechy i je wyeksponować, a nie uczyć go rzeczy, które są mu obce – tłumaczy.

TRENER BOKSU I MARKETINGU

Zanim Ciszewski trafił do kancelarii premiera Belki, budował jedną z większych w Polsce firm PR, a wcześniej był dziennikarzem sportowym. Po ukończeniu Akademii Wychowania Fizycznego (specjalizacja trener boksu II klasy) zaczął pisać w „Sztandarze Młodych”, potem w „Rzeczpospolitej”, wreszcie w „Gazecie Wyborczej”. 10 lat temu rzucił dziennikarstwo. – Pewnego dnia napisałem trzy artykuły sportowe i zobaczyłem, że wszystkie brzmią tak samo, chociaż dotyczą czego innego – wspomina Ciszewski. Wkrótce odszedł z „Gazety Wyborczej”.

PR zajął się przez przypadek. Jego kolega miał szkołę windsurfingową na Helu i któregoś dnia zapytał go, co ma zrobić, żeby o szkole ktoś napisał. – Otworzyła mi się wtedy jakaś klapka w mózgu i pomyślałem, że może powinienem to wiedzieć, bo znam tok myślenia mediów i firm – opowiada.

Założył firmę Ciszewski Public Relations. – Na początku byłem sam w maleńkim pokoju, w jakimś tandetnym biurówcu. Telefon uparcie milczał, ja zaś byłem coraz mniej przekonany o słuszności mojej decyzji. W domu mówiłem, że jest bardzo dobrze – wspomina.

Pierwszym dużym przedsięwzięciem firmy Ciszewskiego była kompleksowa obsługa PR rajdu Camel Trophy. Później poszło z górki. Wkrótce pracował ze światowymi koncernami. Wprowadzał na polskie rynki regionalne karty kredytowe Citibanku, lansował maszynki Gillette. Pracował dla Forda, Duracella, Sony i Johnson & Johnson. Dziś agencja Ciszewskiego jest jedynym polskim przedstawicielem Golin/Harris – międzynarodowej firmy PR.

– Jerzy wszystko traktuje poważnie – mówi Iwańczuk. – Jest pracoholikiem, raz zdarzyło mu się wrócić z pracy po miesiącu. W czasie pierwszego urlopu nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Dzisiaj pakuje deskę windsurfingową i leci na Rodos, bo jego zdaniem tam najlepiej wieje. Jednak nigdy nie wyłącza telefonu. Praca jest zawsze na pierwszym miejscu.

DOBRY KANDYDAT, ALE

Dla Marka Belki zaczął pracować w zeszłym roku. Nieoczekiwanie. – Byłem po prostu w odpowiednim miejscu i czasie – mówi Ciszewski. Jeden ze współpracowników Marka Belki w Iraku uznał, że o funkcjonowaniu polskiej misji należałoby szerzej informować. Trafił do Ciszewskiego i zapytał go, czy nie chciałby przy tym pomagać.

– Pomyślałem, że jest w tym jakaś wyższa racja stanu, poza tym to było dla mnie inspirujące wyzwanie – mówi Ciszewski. – Później profesor wrócił do kraju i chciał, żebym mu dalej pomagał, także gdy dostał nominację na premiera – dodaje. – Niektórzy nazywają moją pracę kształtowaniem wizerunku premiera. To brzmi bardzo medialnie, ludzie zaraz wyobrażają sobie sztab stylistów, fotografów i makijażystów – jak w amerykańskim filmie, a prawdziwa praca to codzienne obrabianie setek detali – opowiada Ciszewski.

Bał się doradzania premierowi, chociaż wiedział, że ludzie i politycy wierzą w Belkę. – Prawie wszyscy politycy zaczynają swoją wypowiedź tak: szanujemy pana profesora Belkę, jesteśmy pod wielkim wrażeniem, uważamy, że jest odpowiednim kandydatem, ale... I tu zaczyna się cała litania, dlaczego nie będą za nim głosować – tłumaczy. On sam wierzy w sukces premiera Belki. I trudno mu się dziwić.

JOANNA GORZELIŃSKA

rybki, ona by zwariowała! Tyle istnień wymagających pomocy, myślenia, zaopiekowania się... Muszę, swoją drogą, zadzwonić do mamy – pomyślała – bo zapomni, że żyję. Fundacja jest jej rodziną, zwróciłaby na mnie uwagę i zainteresowała się mną dopiero, gdybym nagle oślepla albo była zagłodzonym dzieckiem, to jedyna możliwość. – Odczep się! – krzyknęła na siebie w duchu. – Odczep się! Masz wspaniałą matkę! Wspaniałego człowieka! Od kiedy umarł ojciec, całą miłość przelała z niego na innych! Jak to się robi? I skąd się bierze tyle miłości? Otwartości, gotowości, ofiarności? Tak bez namysłu, bez liczenia kosztów?! Ludzie są przecież tacy okropni! Idę, bez tej cholernej kawy – postanowiła, a oczka na nodze przebiegły szybko powyżej kolana.

– Podobno masz ochotę na kawę. Przepraszam, że to tak długo trwało... Filiżanka zadrżała w jego ręku i... albo jej się wydawało, albo gwałtownie zbladł.

– Dziękuję. Właśnie miałam wychodzić. Nie najlepiej się czuję i... no nic, przepraszam cię. Jeszcze raz wszystkiego dobrego z okazji urodzin.

Stał bez marynarki, w białej koszuli, trzymając śmieszną ściereczkę z kuchni, i albo jej się wydawało, albo na ściereczce były muchomory. Idiotyczna ściereczka – przemknęło jej przez głowę – kto mu to kupił? Przecież nie on sam. Postanowiła wstać, oczka w rajstopach ruszyły z całą szybkością, wbiegły pod spódnicę. Czula, jak zatrzymały się na ich zszyciu. Zauważyła

skonsternowana, jak wbił wzrok w biały znikający ślad.

– No nie! – pomyślała – bez przesady! Spojrzał na nią i albo jej się wydało, albo rzeczywiście był zawstydzony.

– W takim razie jeszcze gorzej! – skwitowała bezgłośnie.

– Bardzo mi przykro, że wychodzisz. Miałem nadzieję, że porozmawiamy, jak tylko się trochę „rozluźni” – spieszył się. Miała wrażenie, że słowo „rozluźni” wywołało w nim jeszcze głębsze zawstydzenie.

– Przykro mi – bąknęła i zaczęła wstawać, ale on w rozpaczliwym geście, aby ją zatrzymać – albo wydawało się jej, że gest był rozpaczliwy – wysunął drżącą rękę z filiżanką, wylewając całą zawartość na jej nową, dla poprawienia nastroju rano kupioną, czerwoną suknię. Oboje zamarli. On moment stał nieruchomo, potem w panice – albo jej się wydawało, że to panika – rozejrzał się dookoła i dostrzegł zostawioną przez Karinę filiżankę z ledwie nadpitą kawą. Złapał ją i bez namysłu wylał sobie na głowę. Ze zdumienia nie mogła złapać tchu. Wstawała powoli, nie mogąc wykrztusić ani słowa, a on cofał się z kawą ściekającą z głowy na białą koszulę, znacząc ją brązowymi, podłużnymi plamami. I nagle oboje, jednocześnie, wybuchnęli gwałtownym niepohamowanym śmiechem.

No, tym razem zostaje – postanowiła, a do niego powiedziała z uśmiechem: – Daj mi jakiś szlafrok... przebierz się i na razie zajmij się gośćmi... Sama zrobię sobie kawę – zdecydowała w myślach i... poczuła, że czuje się świetnie. Ach, to aromat tej kawy – uśmiechnęła się do siebie.

Poznaj aromat tej chwili...

NESCAFÉ® GOLD z lekką nutką dekadencji.

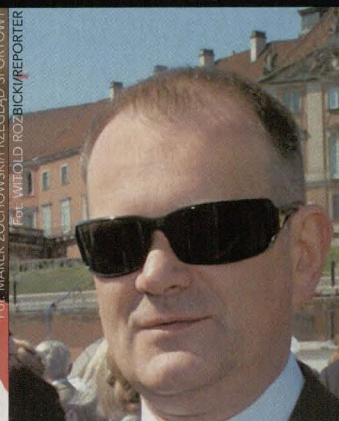
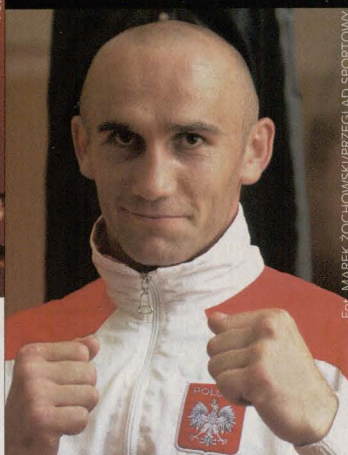




SPADA



SPADA



Aleksander Hall FORSA TO NIE WSZYSTKO

Po wyborach do europarlamentu w Sejmie zwolniło się 17 miejsc, jedno z nich miał zająć Aleksander Hall. Poselska fucha na kilka tygodni przed spodziewanymi wyborami wyglądała bardzo kusząco: przy założeniu, że rząd Marka Belki nie uzyska wotum zaufania i nowe wybory odbędą się 8 sierpnia, Hall przez miesiąc zasiadania w ławach parlamentu mógłby zarobić ponad 20 tysięcy złotych (w tym 10 tysięcy na prowadzenie biura poselskiego). Co więcej, gdyby po wyborach nie dostał się do Sejmu, otrzymałby jeszcze odprawę – prawie 28 tysięcy złotych.

Hall zachował się zupełnie nieobliczalnie. Wbrew panującej wśród przedstawicieli klasy politycznej modzie nad łatwe pieniądze przedłożył rozsądek i przyzwoitość – odmówił przyjęcia mandatu. W oficjalnym oświadczeniu napisał, że „obecny Sejm powinien możliwie szybko zakończyć swą działalność” oraz że „nie chce zasiadać w Sejmie wyłącznie dla splendoru i apanaży”.

Przykład Halla okazał się zbawczo zaraźliwy dla kolejnych kandydatów na miejsce po posle Lewandowskim – w ślad za Hallem zrezygnował starosta kwidziński Leszek Czarnobaj.



Bogusław Tyka BRONI POGOTOWIA

– Nie wyobrażam sobie, żeby ten pan wrócił do pracy w pogotowiu, i zrobię wszystko, aby tak się nie stało – oświadczył dyrektor Wojewódzkiej Stacji Ratownictwa Medycznego w Łodzi Bogusław Tyka, któremu sąd nakazał przywrócenie do pracy Tomasza S., dyspozytora łódzkiego pogotowia zamieszanego w głośną aferę „handlu skórmi”.

Tomasz S. został zwolniony dyscyplinarnie w grudniu 2002 roku, kiedy „Gazeta Wyborcza” ujawniła, że podczas jego dyżurów w czasie transportu zmarło kilkudziesięciu pacjentów pogotowia. Prokuratura bada, czy Tomasz S. nie opóźniał specjalnie przyjazdu karetki do ciężko chorych. Czeką go proces o przyjmowanie łapówek od przedsiębiorców pogrzebowych w zamian za informowanie ich o zgonach. Sąd pracy uznał, że Tomasz S. jako szef związku zawodowego był pracownikiem chronionym i dyrektor powinien mieć zgodę związku na jego zwolnienie. Nie znamy się na prawie, ale jako potencjalni pacjenci pogotowia wolelibyśmy, podobnie jak dyrektor Tyka, żeby ten pan już tam nie wracał.

Aleksy Kuziemski O JEDEN CIOS ZA DALEKO

Prokuratura oskarżyła naszego najlepszego boksera wagi półciężkiej (do 81 kilogramów), faworyta do medalu w Atenach Aleksego Kuziemskiego, o rozbój. Pięściarz wraz z kolegą z Rosji Siergiejem S. miał w marcu pobić swojego dłużnika Tomasza Z. i zabrać mu z portfela trzy tysiące złotych. Bokser nie przyznaje się do winy. Zeznał tylko, że Tomasz Z. rzeczywiście był mu winien 1500 złotych, i dodał: – Bił Siergieja, ja go tylko przytrzymywałem, bo chciał uciec. Żadnych ciosów na pewno nie zadałem.

Obydwaj oskarżeni zaklinali się, że pieniędzy dłużnikowi nie zabrali.

Kuziemski (Hetman Biały-stok) jest brązowym medalistą mistrzostw świata z 2003 roku i tegorocznych mistrzostw Europy. Mimo toczącej się sprawy pojedzie do Aten. Nie czuje się przestępcą. – Przysłowie: Dobry zwyczaj nie pożyczaj, jest jak najbardziej aktualne – powiedział w wywiadzie dla „Kurieru Porannego”. – Pożyczyłem pieniądze w dobrej wierze, a wszystko skończyło się na sprawie sądowej i jeszcze na dodatek to ja jestem oskarżony.

Sławomir Zieliński A FE, SZEPIE!

– Zieliński chce zamknąć mi usta, a nie ma do tego prawa! – oburzyła się pisarka Manuela Gretkowska, gdy telewizyjna Jedynka odwołała jej wizytę w programie „Kawa czy herbata”. Autorka miała tam wystąpić w związku z promocją swej najnowszej książki „Europejka”. Na dzień przed nagraniem pisarka dowiedziała się, że nie każdą książkę trzeba omawiać w telewizji. Nieoficjalnie Gretkowska usłyszała podobno, że jest jedynym artystą zakazanym w TVP.

Powodem jest brzydkie słowo, które wypowiedziała kiedyś w magazynie kulturalnym „Pegaz”. Słowo zaczynało się na tę samą literę co nazwa programu, miało pięć liter, w środku „z”. Sławomir Zieliński polecił wtedy swoim pracownikom, żeby zapomnieli o Gretkowskiej. – Prywatny właściciel może kogoś nie zaprosić, ale Jedynka jest telewizją publiczną – mówi autorka. Może Sławomir Zieliński, który wciąż pełni funkcję dyrektora programowego Jedynki, a jednocześnie startuje w konkursie na swojego następcę, nie chciał znów usłyszeć tego samego brzydkiego słowa. Ale pozbawić tej rozrywki nas, widzów? Nieładnie!

Rześkie powietrze,
rześki wieczór, rześkim krokiem
w miasto...

Co by nie mówić,
LECH orzeźwia.

Ten sam smak. W nowej butelce.



Kto chce za wiele dowieść, nie dowodzi niczego

LEONHARD EULER (1707–1783), MATEMATYK, FIZYK I FILOZOF SZWAJCARSKI

Pacjent w kreski

Pomyłki przy wydawaniu leków w szpitalach mogą mieć tragiczne skutki. Jednak nawet przy najlepszej organizacji są one nieuniknione – w brytyjskich szpitalach szacuje się, że na każde 20 dawek zdarza się jedna pomyłka. Aby zlikwidować ten problem, w londyńskim szpitalu Charing Cross wprowadzono system automatycznej dystrybucji leków. Każdy pacjent nosi na nadgarstku specjalną opaskę z kodem kreskowym. Pielęgniarka skanuje taki kod, a z wózka automatycznie wysuwa się odpowiednia szufladka z lekami. Oczywiście, aby uniknąć pomyłek, leki do wózka wkłada robot korzystający ze skomputeryzowanego systemu wypisywania zleceń przez lekarzy. Trwają testy, po których ma nastąpić ocena, czy system



Fot. NASA AMES RESEARCH CENTER

cji. Kontrolę nad przemieszczaniem zapewnią silniczki wyrzucające strumień powietrza niewiele silniejszy niż podmuch suszarki. PSA ma wewnątrz procesor Pentium II i korzysta z darmowego systemu Linux. Może zapamiętać poszczególne fazy eksperymentu i podpowiadać je astronautom dzięki syntezy mowy lub małemu ekranowi. Wbudowana kamera ułatwi porozumiewanie się z centrum lotów, a czujniki kontrolujące parametry stacji kosmicznej będą ostrzegać o niebezpieczeństwie. Pomysł na takie urządzenie wziął się z serialu „Star Trek”, w którym jeden z członków załogi, Spock, używał uniwersalnego podręcznego komputera zwanego tricorderem.

Geny niewierne

Oto kolejne usprawiedliwienie niewierności – tym razem kobiecej. Profesor Tim Spencer z ośrodka naukowego londyńskiego Szpitala Świętego Tomasza zajął się obserwowaniem par jednorodnych bliźniaczek. Po wnikliwych badaniach doszedł do wniosku, że jeżeli jednej z bliźniaczek zdarzyła się zdrada, to prawdopodobieństwo, iż druga pójdzie w jej ślady, wynosi 55 procent. To sporo więcej niż średnia brytyjska, nieprzekraczająca 23 procent.



Fot. CORBIS/FREE

faktycznie zmniejszył częstotliwość pomyłek i czy koszty użytkowania nie doprowadzą szpitala do bankructwa. Jeżeli wszystko się uda, automaty mają wyreczyć pielęgniarki w całej Wielkiej Brytanii.

Kula orbitalna

Astronauci pracujący w Międzynarodowej Stacji Kosmicznej potrzebują pomocy. Napięty grafik zadań, które muszą wykonywać, sprawia, że coraz trudniej im zapamiętać szczegóły prowadzonych eksperymentów. A przecież równocześnie muszą kontrolować systemy pokładowe i zajmować się codziennymi sprawami.

[z bliska]



BOMBOWCE B-52 LATAJĄCE FORTECZĄ

Leżące na złomowisku w Arizonie. B-52 ma długość 48,5 metra, a rozpiętość skrzydeł ponad 56 metrów. Bombowce trafiły na złomowisko po podpaleniu układu rozbrojenia w Rosji w latach 90.

Sporna Atlantyda

Niemieccy naukowcy twierdzą, że odnaleźli ślady platońskiej Atlantydy. Ich zdaniem na zdjęciach satelitarnych można dostrzec kształty odpowiadające opisowi legendarnej wyspy. Zdaniem Platona była to wyspa otoczona przez kilka koncentrycznych kręgów składających się na przemian z ziemi i wody. Pośrodku miały się znajdować świątynie poświęcone Posejdonowi i Cleito. Właśnie takie kręgi i prostokąty mają być widoczne



Fot. DZIENI UPRAJĘDNOŚCI RAINERA KUEHNE

na południowym wybrzeżu Hiszpanii, między 800 a 500 rokiem p.n.e. zniszczonym przez powódź. Choć o odkryciu poinformował doktor Rainer Kuhne z niemieckiego Uniwersytetu w Wuppertalu, inny naukowiec Werner Wickboldt uważa, że to on jest odkrywcą śladów Atlantydy, a Kuhne ukradł mu jego odkrycie. Jak widać, wyspa, która być może nigdy nie istniała, nadal budzi gorące emocje.

Mieszczuchy traktują rower jako rozrywkę, mieszkańcy wsi – jako środek transportu.

60% Polaków od czasu do czasu jeździ na rowerze

Wśród mieszkańców miast: 65% traktuje jazdę na rowerze jako rozrywkę

Na wsi proporcje są odwrotne:

78% jeździ, bo musi

64% jeździ dla przyjemności

77% Polaków ma własne dwa kółka

23% pożycza rower lub dzieli go z kimś z rodziny

źródło: Demoskop



Fot. BRITISH ANTARCTIC SURVEY

740 tysięcy lat lodu

Mierzący trzy kilometry rdzeń lodowy udało się wykroić ze skorupy pokrywającej Antarktykę. Zrobili to naukowcy uczestniczący w europejskim projekcie badawczym EPICA (European Ice Core Project in Antarctica). W ten sposób dotarli oni do pokładów pochodzących sprzed 740 tysięcy lat – to niemal dwa razy głębiej niż w wierconych dotąd lodowych dziurach. Otwór powstał w miejscu określanym jako Dome C – jego współrzędne geograficzne to 75 st. 06' S i 123 st. 21' E. Uzyskany rdzeń składa się z trzymetrowych walców o średnicy około 10 centymetrów. Tworzy je ubity i przekształcony w lód śnieg, który przez tysiące lat spadał na Antarktykę. Lecąc przez atmosferę, płatki śniegu zbierały cząsteczki substancji unoszących się w powietrzu. Poza tym walec nie jest całkowicie jednolity – znajduje się w nim mnóstwo drobnych bąbelków powietrza uwieczonych w lodzie.

Takie gazowe „wehikuły czasu” są bezcenne dla naukowców – badając je, przenoszą się oni ponad 700 tysięcy lat wstecz.

Najważniejsze jest to, że liczący trzy kilometry rdzeń stanowi ciągi, ułożony

chronologicznie zapis. Dzięki temu można obserwować cykliczne zmiany klimatu – a tych przez ostatnie trzy czwarte miliona lat nie brakowało. Naukowcy naliczyli aż osiem okresów zlodowacenia i osiem dzielących je ociepleń. Przez ostatnie 400 tysięcy lat podczas ociepleń temperatury były podobne do dzisiejszych. Wcześniej klimat Ziemi był znacznie chłodniejszy.

Z wycieńczenia wynika, że gdyby nie intensywny rozwój gatunku ludzkiego, obecne ocieplenie trwałoby jeszcze jakieś 15 tysięcy lat. Jednak emisja gazów cieplarnianych i inne szkody, jakie udało nam się wyrządzić, sprawiają, że okres ten może się znacznie wydłużyć. Obecne stężenie dwutlenku węgla w atmosferze jest najwyższe od ponad 400 tysięcy lat.

Choć epoka lodowcowa wbrew katastroficznym wizjom raczej nam nie grozi, zbytnie ocieplenie też nie rokuje najlepiej. Jednak raport naukowców z programu EPICA raczej uspokaja – mimo ostatnich rewelacji Pentagonu i twórców filmu „Pojutrze” wygląda na to, że wciąż jeszcze mamy czas na ratowanie naszej planety.

(PST)

[Zagadka]

ODPOWIEDŹ DO ZAGADKI Z NUMERU 25

Jakie jest najwyższe drzewo świata?

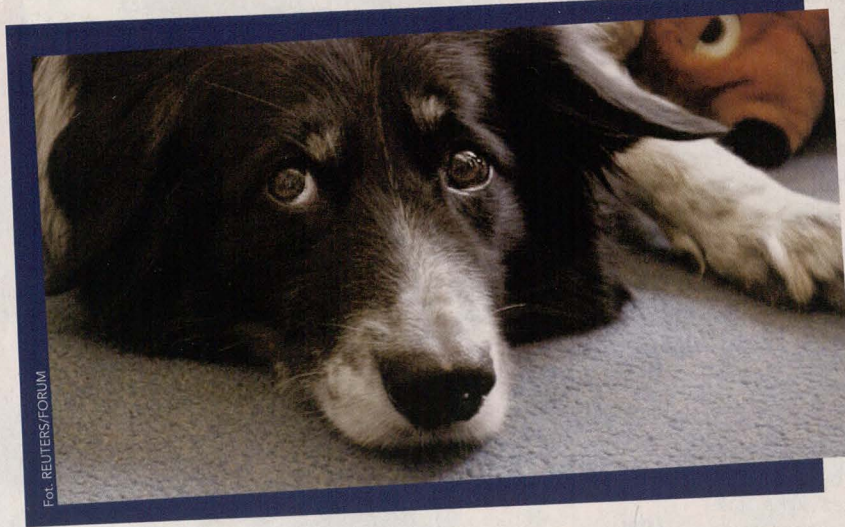
Weź duży koszyk i trzy małe. Do małych koszyków włóż po trzy jajka i wstaw wszystkie małe koszyki do dużego.



www.MINI.com.pl

biologia

Border collie Rico uświadomił uczonym, że psy są znacznie inteligentniejsze, niż się wydawało. A przynajmniej można z nimi pogadać



Fot. REUTERS/FORUM

**Koniec ludzkiej pychy!
Zamiast uważać zwierzęta
za głupie, musimy uznać,
że ich nie rozumiemy.
Najnowsze badania
dowodzą, że psy, owce,
wrony, małpy wytwarzają
narzędzia, myślą
abstrakcyjnie
i rozmawiają**

KIEDY ROZUM PSI

Jakie było nasze zdumienie, gdy moja przyjaciółka Ewka, znana w szkole ze swej nie-wzruszonej wiary w słuszność nauk Kościoła, pewnego dnia wyszła z hukiem z lekcji religii. Co ją tak wzburzyło?

– Zwierzęta nie mają duszy – oświadczył katecheta. Nim skończył mówić, na twarzy Ewki pojawiły się rumieńce wzburzenia. Swoje zwierzęta (a miała ich w domu kilka) uważała za pełnoprawnych członków rodziny. – To znaczy, że nie zostaną zbawione? – spytała ostrożnie. – Nie – padła odpowiedź. – Dlaczego? – To dogmat. Ponieważ sama przez wiele lat była orędowniczką kościelnych dogmatów, dobrze wiedziała, że to koniec dyskusji. Trzasnęła drzwiami. Więcej na religię nie wróciła.

Odmawianie zwierzętom duszy, uczuć, rozumu, a nawet zdolności odczuwania bólu nie jest specjalnością czysto kościelną. Przez wiele lat czyniła to także nauka.

Udowadnianiu wyższości człowieka nad rzeszą jego opierzonych, kopytnych czy pokrytych łuską zwierzęcych towarzyszy poświęcili morze czasu uczeni czasów wiktoriańskich. Potem wcale nie było lepiej. Behawiorysty początku ubiegłego wieku ze wzięcia odnosił się do spekulacji nad rozumnością innego – poza ludzkim – stworzenia. Pomagały im w tym eksperymenty rosyjskiego laureata Nagrody Nobla Iwana Pawłowa, który ponad wszelką wątpliwość wykazał, że zwierzęta nie mają uczuć wyższych, a ich zachowaniem sterują jedynie prymitywne odruchy.

Dzięki temu przez wiele lat nauczano w szkołach, że nie należy przypisywać zwierzętom cech ludzkich i wmawiać, iż za ich zachowaniami kryją się zbliżone do człowieczych motywy.

I tak byłoby pewnie do dziś, gdyby nie to, że z czasem niezależnie od siebie na całym świecie zaczęły tworzyć się grupy naukowców wątpliwych w dogmat „bezdusznych” zwierząt. Etołodzy, psychologowie, neurobiolodzy zaczęli po trochu odkrywać świat zwierzęcych umysłów. Dziś dzięki ich badaniom powinniśmy zrewidować jeśli nie podręczniki zoologii, to przynajmniej kilka obiegowych przekonań. Sformułowania takie jak „głupia gęś”, „bezmysłna ryba” czy „tępy wół” należy niniejszym umieścić na liście niepoprawnych politycznie.

No bo co takiego odróżnia człowieka od zwierzęt? Język, abstrakcyjne myślenie, zdolność posługiwania się narzędziami, kultura. Czyżby?

Porozmawiaj z nim

„Przytulić, bawić się, łaskotać” – mówił, składając palce w znaki amerykańskiego języka migowego, Nim Chimpsky. Szympan. Gdy miał zaledwie dwa miesiące, został adoptowany przez Herberta Terrace’a z Uniwers-

ytetu Columbia. Nie był jedyną małpą, która nauczyła się języka migowego. Najsłynniejsza była Washoe. Przez trzy i pół roku nauczyła się posługiwać 130 znakami języka migowego, a rozumiała prawie trzykrotnie więcej. Potrafiła też układać słowa w sensowne kombinacje.

Washoe – choć sławna – nie była szympansem geniuszem. Po niej nauczono mówić w języku migowym jeszcze wiele innych goryli, bonobo i szympansov, z których najzdolniej-

szy opanował ponad 180 znaków. Co więcej, okazało się, że pozostawione we własnym towarzystwie i obserwowane przez kamery zwierzęta używały języka migowego spontanicznie, komunikując się między sobą i... mówiąc same do siebie. Kartkując książki z obrazkami czy przeglądając zestawy zdjęć, małpy składały ręce w znaki języka migowego symbolizujące przedmioty, które widziały na rysunkach. Próbowaly także rozmawiać w ten sposób

z psami i kotami, a nawet z przedmiotami. Wszystkie małpy uczone języka migowego umiały tworzyć również własne nazwy dla widzianych po raz pierwszy przedmiotów. Arbuz nazwały cukierkowym napojem, orzech – kamienną sliwką, kaczkę – ptakiem wodnym.

Choć małpy, jak wskazują badania neuropsychologów, pozostają na znacznie wcześniejszym od nas etapie rozwoju mowy, trudno odmówić im tej zdolności. A wygląda na to, że naukowcy

odkryli właśnie w świecie zwierząt innych zdolnych mówców. To psy.

Specjaliści z niemieckiego Instytutu Maksa Plancka w Lipsku przebadali zdolności językowe psa rasy border collie wabiącego się Rico. Okazuje się, że ma on słownik zawierający aż 200 słów. Na nową zabawkę potrafi zareagować już po jednokrotnym powtórzeniu jej nazwy. Uczenie się nowych słów idzie mu jak przeciętnemu trzyletniemu ludzkiemu dziecku.

Podobnie budującym przykładem jest cocker-spaniel Denver z Anglii, który został przeszkolony do pomocy inwalidom. Umie robić zakupy, podać słuchawkę telefoniczną, zebrać pościel, wymienić papier toaletowy. Sortuje także pocztę – czego nikt go nigdy nie uczył – kierując się długością nazwisk na kopertach.

To jednak nie wszyscy. Coraz więcej mówi się także o zdolnościach językowych stworzeń zamieszkujących morskie głębie.

Okazuje się, że delfiny butlonosy porozumiewają się ze sobą zindywidualizowanymi, ustalonymi dźwiękami – „imionami”. Z badań prowadzonych przez Vincenta M. Janika z University of St. Andrews w Wielkiej Brytanii wynika, że zwierzęta te uczą się nawzajem nowych dźwięków. Inne badania pokazują, że językowo są tak samo uzdolnione jak szympansy i rozumieją nawet dość abstrakcyjne pojęcia.

Porządne zwierzę

Człowiek nie ma monopolu na myślenie abstrakcyjne. Okazuje się, że w tej konkurencji mogą stanąć razem z nim w szranki zwykłe... gołębie.

Jak pokazują eksperymenty R.J. Hemsteina z University of Harvard, rozumieją one doskonale zasady klasyfikowania obiektów według kategorii. Wiedzą, że „wodą” jest ocean, rzeka, oraz kałuża, zaś drzewo to bezlistny badylek, a także obraz rosnącego dębu pokazywany do góry nogami. Natomiast nie

Fot. JAMES BALOG/AURORA/PROFESS

jest nim z pewnością seler naciowy. Gdy ptaki widziały obrazek pasujący ich zdaniem do danej kategorii, dziobały w dzwignikę, której uruchomienie dawało im pyszne ziarenko.

Abstrakcyjność myślenia to także zdolność stwierdzenia, że „ja” to „ja”. Tu trzeba przyznać, że zwierzęta radzą sobie nieco gorzej, choć nie beznadziejnie. Niestety, ani psy, ani koty nie wiedzą na przykład, że ich odbicie w lustrze jest faktycznie ich. Jednak już

biologia

Wrona z Nowej Kaledonii jest mistrzem wytwarzania narzędzi. Bywają tak wyrafinowane, że ptak potrafi wrócić po nie, gdy uświadomi sobie, że ich zapomniał



Fot. BERG



Małpy naczelné wykazują tak wielkie zdolności umysłowe, że niektórzy naukowcy przebiegają o zaliczeniu ich do gatunku Homo

umie tylko ten, kto posługuje się językiem polskim (takiemu myśleniu swą nazwę zawdzięczają nasi zachodni sąsiedzi – Niemcy. Słowianie, którzy nie mogli ich zrozumieć, sądzili, że są niemi).

Obcy u zwierząt

W latach 60. David Premack uczył szympansię Sarę rozpoznawania nazw owoców i pokazywania ich za pomocą odpowiednich żetonów. Wszystko szło dobrze, gdy nagle bez określonej przyczyny Sara zaczęła wskazywać z pozoru przypadkowe żetony. Uczony się załamał. Małpy wcale nie są inteligentne, tylko bezmyślnie „małpują” – stwierdził – i zrezygnowany położył przed szympansem wszystkie owoce, jakich używał w eksperymencie. Zwierzę, nie namyślając się wiele, sięgnęło po te, jakie przed chwilą wskazywało na obrazkach. Okazało się, że jego wypowiedź nie była odpowiedzią na pytania eksperymentatora, ale żądaniem.

Gdyby nie przypadek uświadamiający ludziom, że uważali małpę za zbyt proste stworzenie, wyniki eksperymentu dowiodłyby, że szympanse wcale nie są mądre.

Musimy przyjąć też do wiadomości, że są pewne doznania i bodźce zmysłowe, których nam nigdy nie będzie dane doświadczyć. Możemy latami biedzić się nad odgadnięciem ideału piękności u papużek falistych, lecz nic nam z tego nie przyjdzie, jeśli nie będziemy w stanie zobaczyć ich tak, jak one same widzą – w ultrafiolecie. Obawiam się też, że nigdy do końca nie pojmimy zwierzęcych emocji.

Dlaczego? Weźmy za przykład wielkie żółwie morskie. Można je przestraszyć, stukając w ich skorupę. Tak jak u ludzi strach powoduje u nich przyspieszenie akcji serca. Pod jednym wszakże warunkiem – że żółwie znajdują się na lądzie. Pod wodą ich strach objawia się zupełnie inaczej: akcja serca bardzo zwalnia – jak u zwierząt, które zapadają w zimowy sen, co sprawia, że mogą one dłużej przebywać pod wodą. Czy umiemy wyobrazić sobie taki strach? Wątpię.

Dziś już tylko naukowiec niespełna rozumu mógłby wątpić, że zwierzęta nie są rozumne. Pytanie tylko, jak umysły zwierząt różnią się od ludzkiego? By na nie odpowiedzieć, trzeba znaleźć w sobie trochę pokory i przyjąć, że nie wszystko, co inteligentne, musi być ludzkie.

W świecie zwierząt wciąż jesteśmy cudzoziemcami. Wyjechaliśmy zbyt dawno i daleko, by sądzić, że wciąż przysługuje nam tu prawo określania, kto jest głupi, a kto ma rozum.

OLGA WOŹNIAK

Artykuł opublikowany jest również w Wirtualnej Polsce w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

Nowy format reklam w „Przekroju”
Ogłoszenia modułowe

Jeden moduł formatu
60 x 37 mm



Niezwykłe miejsce urlopowe
ZAPRASZAMY

+48 0502 205 005
www.agrobory.pl

Jeden moduł formatu
60 x 37 mm

ZGŁOSZENIA
NA REKLAMY
MODUŁOWE
PRZYJMUJE

Grażyna Janiak
Tel./faks
(022) 584 21 72
Tel. kom. 0-691 360 755
grazyna.janiak@edipresse.pl

Dieta Cambridge
NOWOŚCI

Informacje:
Centrum Diety Cambridge;
02-793 Warszawa,
ul. Belgradzka 4,
tel/fax (0-22) 859-03-04

Podajemy telefony regionalnych konsultantów



Luksusowe apartamenty w Warszawie
Wilanów, ul. Urodzajna 11

Zapraszamy do apartamentu pokazowego
w sobotę 26 czerwca 2004, godz. 10 - 14

informacje: (022) 630 85 60, 0 600 252 796



Bavaria Development
Sp. z o.o.



BHI Polska
Sp. z o.o.

ul. Koszykowa 54, 00-675 Warszawa;
tel.: +48 (022) 630 85 60,
fax: +48 (022) 630 85 59;
e-mail: bavaria@bhi.com.pl; www.bhi.com.pl
SCHÖRGHUBER UNTERNEHMENSGRUPPE



okno
ELITA
NOWOŚCI!
szyba ELITA-GLAS

JEZIEŃSKI
markowe okna

tel. 041 / 300 11 75
mail: biuro@jezierski.com.pl

poszukujemy
partnerów
handlowych
kom. 0501 203 589

www.jezierski.com.pl



przykładowy kolor Canadian
luk antywłamaniowy
złota linia
wzmocnienie zamknięte
pięć komór

szympanse doskonale rozumieją, że oglądają w zwierciadle siebie. Próbuje zgłębić wiedzę o własnych trudno dostępnych częściach ciała, jak zadek czy gardło. Wykonują zabiegi higieniczne lub, gdy eksperymentator malował na ich pyszczkach kolorową kropkę, ścierały ją z własnego nosa, a nie z tafla lustra (ludzkie dzieci zachowują się podobnie dopiero od drugiego roku życia).

Małpy znające język migowy doskonale posługują się pojęciem „ja”. Gorylica Koko zapytana kiedyś, czy uważa się za człowieka, odmówiła dumnie: „Jestem porządne zwierzę goryl”.

Niedawno do grupy stworzeń mających abstrakcyjne uzdolnienia trafiły także owce. Okazało się, że umieją nie tylko rozpoznawać i pamiętać pyski swych koleżanek ze stada, lecz także twarze ludzi. Co więcej, brytyjscy naukowcy z Babraham Institute w Cambridge odkryli, że owce umieją w mózgu przestrzenie obracać przedmioty i rozpoznają twarze i pyski także z profilu. Wolą też uśmiechnięte i odprężone twarze ludzi (i innych owiec) od zagniewanych lub z oznakami stresu.

Przynęta i haczyk

Następny z „ludzkich” argumentów dotyczy używania narzędzi. No cóż, wydry morskie, słonie, małpy i nawet ryby manipulują różnego rodzaju narzędziami.

W 1985 roku japońscy uczeni zaobserwowali, jak czapla zielonawa łapie ryby na przynętę. Ptak ten często łowi jakiegoś owada, lecz nie aby go zjeść – zabija go i rzuca na taflę wody, czekając, aż podpłynie do niego ryba. Czapla dysponuje zestawem przynęt, którego nie powstydziliby się wytrawny wędkarz: od owadów po resztki chleba i ciasta z blisko położonych ludzkich osiedli, stosuje także atrapy: liście, jagody, gałązki, które obrabia tak, że oddziałują na ryby z jeszcze większą siłą.

Podobne zdolności mają wrony z Nowej Kaledonii. Specjaliści z Instytutu Zoologii w Oksfordzie przeprowadzili eksperyment, w czasie którego wrony miały wydobyć pojemnik z jedzeniem ze szklanego naczynia. Do wyboru dano im drucik zakrzywiony w haczyk i prosty. Gdy jedna wrona sięgnęła po haczyk, druga, nie namyślając się, wygięła dziobem prosty drucik w potrzebny jej kształt. Te obserwacje potwierdziły się w późniejszych doświadczeniach.

Dlaczego zatem skoro tyle wokół nas świadomych, a nie instynktownych zachowań zwierząt, tak trudno nam zrezygnować z samozwańczego tytułu Jedynej Rozumnej Istoty?

Kłopot w tym, że zwierzęcą świadomość staramy się koniecznie podciągnąć pod własne, ludzkie kategorie. Gdy do nich nie przystaje, odrzucamy ją. To tak, jakby założyć, że mówić

motoryzacja

Jak połączyć Darwinowską teorię ewolucji, gry komputerowe i bolidy Formuły 1?

MOTO EWOLUCJA



Formula 1 to sport, w którym technika osiąga szczyty możliwości. Pędzący 300 kilometrów na godzinę bolid ma więcej wspólnego z myśliwcem niż samochodem.

Najmniejsza zmiana pojedynczego parametru decyduje o wygranej wartej miliony dolarów. Co więcej – od niej zależy życie lub śmierć kierowcy. Taki schemat niezwykle przypomina ewolucyjne zmagania całego ożywionego świata. Tu też minimalna zmiana, grubsze pióro czy dłuższa łapa decydują o powodzeniu lub porażce – życiu lub śmierci.

Na to podobieństwo zwrócił uwagę 21-letni Krzysztof Włoch, Polak od urodzenia mieszkający w Anglii, który studiuje na University College London. Wraz ze swoim wykładowcą Peterem J. Bentleyem zastosował zasady ewolucji do tworzenia samochodów wyścigowych.

Darwin w maszynie

Naukowcy dobrze znają ideę algorytmu genetycznego, choć dopiero od niedawna zaczęli ją praktycznie wykorzystywać. Pomysł polega na tym, by w komputerze odbywał się błyskawiczny proces ewolucyjny – eliminacja słabszych i wybór najlepszych parametrów.

Ponieważ studentowi trudno jest uzyskać dostęp do ściśle tajnych warsztatów konstrukcyjnych, gdzie powstają warte miliony dolarów pojazdy, Krzysztof Włoch postanowił do swojego projektu wykorzystać grę komputerową.

Firma Electronic Arts tworzy gry licencjonowane przez największe organizacje sporto-

we na świecie. Korzysta z licencji uzyskanych między innymi od NBA, FIFA, NHL i właśnie Formuły 1. Dzięki temu program „F1 Challenge '99 – '02” doskonale oddaje parametry bolidów i realia wyścigu. Oraz, co najważniejsze dla Włocha, pozwala na ustawianie ponad 60 parametrów pojazdu: kształtu i rozmiaru spojlerów, wielkości wlotu powietrza do silnika, sprężystości resorów czy profilowania kół.

Aby samochody mogły podlegać doborowi naturalnemu, naukowiec napisał oprogramowanie uzupełniające grę. Jego system konstruuje przykładowe samochody, losowo dobierając ich parametry. Następnie pojazdy testowane są na wirtualnej trasie. Zarówno doświadczalnym bolidem, jak i jego konkurentami kieruje sztuczna inteligencja programu – dzięki temu na wyniki nie mają wpływu błędy człowieka, a jedynie parametry pojazdu. System odnotowuje, jakie wyniki osiągnęły poszczególne pojazdy, i porównując ich konstrukcje, wybiera te elementy, które decydowały o zwycięstwie. Na tej podstawie tworzy kolejne bolidy i testowanie zaczyna się od początku.

Ewolucja zwycięża

Przy tak dużej liczbie zmiennych wpływ na zwycięstwo mają nie tylko poszczególne parametry, lecz także ich współdziałanie. Na przykład silne hamulce w zestawieniu z twardym zawieszeniem mogą się przydawać podczas torowych przepychanek, ale przeszkadzać przy pokonywaniu niektórych zakrętów.

Aby wyłonić najlepszy w danym doświadczeniu pojazd, program „hodował” kilkadziesiąt pokoleń samochodów, eliminując te, które osiągały gorsze czasy, a rozwijając te o najlepszych wynikach.

Eksperymenty dawały wyniki podobne do obserwowanych w przyrodzie. Przede wszystkim nie istnieje najlepsza ze wszystkich konfiguracja samochodu – wszystko zależy od sposobu testowania. Włoch wysyłał swoje pojazdy na dwie wirtualne trasy: Silverstone i Nürburgring. Pierwsza wymaga szybkiej jazdy i tylko kilkakrotnego zwolnienia na zakrętach. Druga pełna jest esów-floresów i promuje nie tyle szybkość, ile zwrotność pojazdu. Okazało się, że choć dla każdej trasy idealny samochód ma zupełnie inną konstrukcję, to program bazujący na algorytmie genetycznym jest w stanie stosunkowo szybko zmienić parametry bolidu, dostosowując go do nowych warunków.

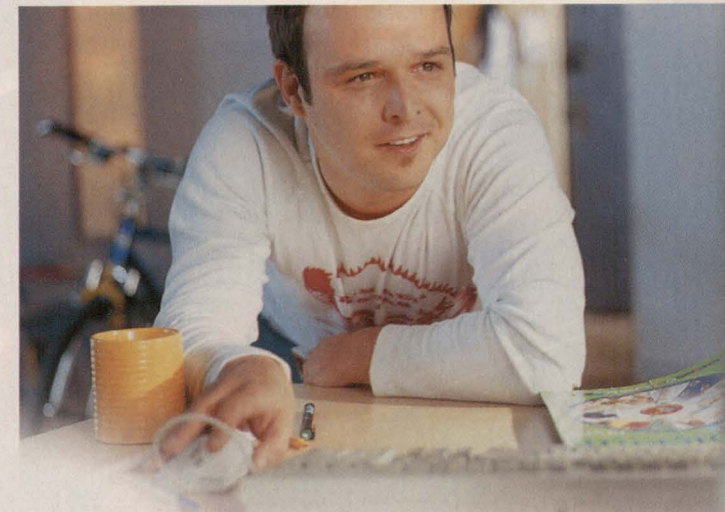
Aby udowodnić sens stosowania motowolucji, Krzysztof Włoch przetestował cztery różne konfiguracje. Pierwsza z nich to domyślne ustawienia samochodu proponowane przez grę. Drugą opracował sam – jest fanem tego typu gier. Stworzenie trzeciego samochodu powierzone ekspertowi – graczowi spędzającemu nad „F1 Challenge” długie godziny. Wreszcie czwarty bolid powstał w wyniku ewolucji prowadzonej przez program.

Gdy do wyścigu stanęły cztery konstrukcje, okazało się, że algorytm genetyczny stworzył samochód szybszy o niemal sekun-

dę od najlepszego konkurenta. A w ciągu sekundy pędzący 300 kilometrów na godzinę pojazd przebywa ponad 80 metrów!

Czy badania Krzysztofa Włocha znajdą zastosowanie w prawdziwych wyścigach? W październiku będzie prezentował swoje wyniki na międzynarodowym sympozjum. Może któraś z wielkich firm zainteresuje się ich zastosowaniem. Tym bardziej że ze ściśle tajnych laboratoriów niedawno wyciekły informacje sugerujące, że myśli się tam o stosowaniu sztucznej inteligencji i algorytmów genetycznych.

PIOTR STANISŁAWSKI



bliżej



neostrada tp
włącz się do akcji na stałe!
już od 59 zł miesięcznie

Neostrada tp w nowej opcji 128 kb/s gwarantuje Ci:
• stały dostęp do Internetu przez 24 godziny na dobę
• konto poczty elektronicznej
• dostęp do usług multimedialnych na www.neostrada.pl
Sprawdź, jakie inne opcje neostrady tp mamy jeszcze dla Ciebie!
Informacje i zamówienia: 0-801 321 123.
Skontaktuj się z nami!

Przed wyścigiem gracz może zmodyfikować niemal każdy z parametrów samochodu, a na mecie obejrzeć, jakie to przyniosło efekty

Kino w samochodzie

Uchylny monitor sufitowy XVM-R70 firmy SONY zamontowany w samochodzie zachwyci pasażerów tylnej kanapy. Ma duży ekran o przekątnej siedmiu cali, można go podłączyć do odtwarzacza DVD, konsoli PS One, a nawet cyfrowej kamery. Komfort podróży murowany! W zestawie z pilotem.
Od 3449 złotych
www.sony.pl

**Baobab w kąpiel**

Jedwabisty olejek do kąpiel z wyciągiem ze lnu i z baobabu z egzotycznej serii SPIRIT OF AFRICA firmy I COLONIALI nawilży, wygładzi skórę oraz uspokoi duszę. A nasiona baobabu zawierające cukry, proteiny i olej bogaty w witaminę B1 odżywiają ciało. W salonach sieci Sephora.
92 złote

**Nostalgiczny kabriolet**

Koncepcyjny BUICK VELTE nawiązuje stylistyką do Buicka Y-Job z końca lat 30. Ma przetłoczenia na tylnej kanapie, które przypominają pokład łodzi, zaś osłona wlotu powietrza przybrała kształt wodospadu.
www.buick.com

Ze złotego szkła

Każda kostka naszyjnika z kolekcji Murano firmy KRUK FASHION jest niepowtarzalna. Ręcznie robiona z wielobarwnego szkła weneckiego kryje w sobie ponadto 24-karatowe złoto. Dostępna tylko w salonach W. KRUK.
1990 złotych
www.wkruk.com.pl

Rozmowa z pilotem

Bezprzewodowa słuchawka wykonana z litego aluminium BeoCom 2 firmy Bang & Olufsen jest smukła i delikatnie przekrzywiona, idealnie więc wpasowuje się w twarz i dłoń. Urządzenie ma elektroniczną książkę telefoniczną na 200 numerów i pozwala regulować głośność telewizorów oraz zestawów muzycznych marki Bang & Olufsen.

Około 3500 złotych

www.bang-olufsen.com

[popmoda]

TRAMPKI All Star

Powstały, zanim wyprodukowano pierwszą gitarę elektryczną, zanim urodziła się moja babcia i zanim Polska odzyskała niepodległość: produkcję masowego obuwia do koszykówek podjęła w 1917 roku firma przemysłu gumowego Converse. Później popularny koszykarz Charles „Chuck” Taylor poprosił Converse o buty, w których „nogi nie boją się meczu”, i sam pracował przy ich przeprojektowaniu. Powstał model Chuck Taylor's All Star, niezmienny od 1923 roku: guma i płótno, dwie charakterystyczne „wentylacyjne” dziurki i bieżnikowana podeszwa. A od kampanii promocyjnej prowadzonej przez Chucka wzięła się nazwa, pod którą obuwie znane jest w Ameryce do dziś: *chucks*. Do dziś wyprodukowano około 600 milionów par, a do lat 60. firma Converse opanowała 80 procent rynku butów sportowych w Ameryce.

60 procent Amerykanów przyznaje się, że przynajmniej raz w życiu miało takie trampki. W all stary ubierano pary młode i nieboszczyków. Od 50 lat ich para stoi w Muzeum Historii Amerykańskiej. Podczas II wojny światowej białe „chucki” były oficjalnymi butami treningowymi amerykańskiej armii. Poza tym były jednak przede wszystkim obuwem rock and rolla. I może przetrwały prawie 90 lat właśnie dlatego, że rock jest wiecznie żywy?

Zapisane czuby

Klasycznie były czarne i białe. Rewolucja przyszła z epoką hipisowską. Wtedy pojawiły się różnokolorowe modele, w których all stary można kupić do dziś. Moda punkowa końca lat 70. oparta była też w dużej mierze na nich. Czarne converse'y nosili The Ramones. Co prawda grunge – rockową modę lat 90. – utożsamia się z obuwem Dr. Martensa, jednak Kurt Cobain z Nirvany najchętniej nosił właśnie All Star – najpierw te płytke (*low cut*), a potem najsłynniejszy model za kostkę (*hi cut*). Cobain zasłynął z umieszczania notatek na białych czubkach tych butów.

All stary nosili też Eddie Vedder z Pearl Jam i James Hetfield z Metaliki. Potem muzycy Blink 182 i Green Day. Ostatnio – The Strokes. Występowały w filmowym „West Side Story”, ale i w „Szybkich i wściekłych”. Nosili je Winona Ryder i Woody Allen (do czarnego krawata). Nie byłoby bez nich „punkowego” image'u Avril Lavigne. Z czasem przestały być kojarzone z koszykówką, a zaczęły – po prostu z modą.

Amerykańska duma

W Polsce spopularyzowały je zespoły wywodzące się ze sceny punkowej (Moskwa, Tilt, Big Cyc). Łatwiej było o polską wersję – białe trampki o podobnym kształcie i łożeniu podeszwy, ze skajową lamówką.

Niedawne problemy finansowe Converse skończyły się tym, że produkcję butów, które do tej pory chlubiły się dumną etykietką „made in USA”, przeniesiono do Indonezji. A legendarną firmę kupiła konkurencja z Nike za 305 milionów dolarów. Ale słynne, praktyczne (można je prać w pralce!) trampki są nadal w sprzedaży. Również w wersji XL („podkolanówki”), w wersjach „flame”, „anarchy” i w barwach maskujących. Z założenia: im bardziej zniszczone, tym lepiej. Najlepiej po prostu – w miarę możliwości – dodzierać parę po dziadku.

BARTEK CHACIŃSKI



Kurt Cobain



Scarlett Johansson



JESTEŚ PORUSZONY?

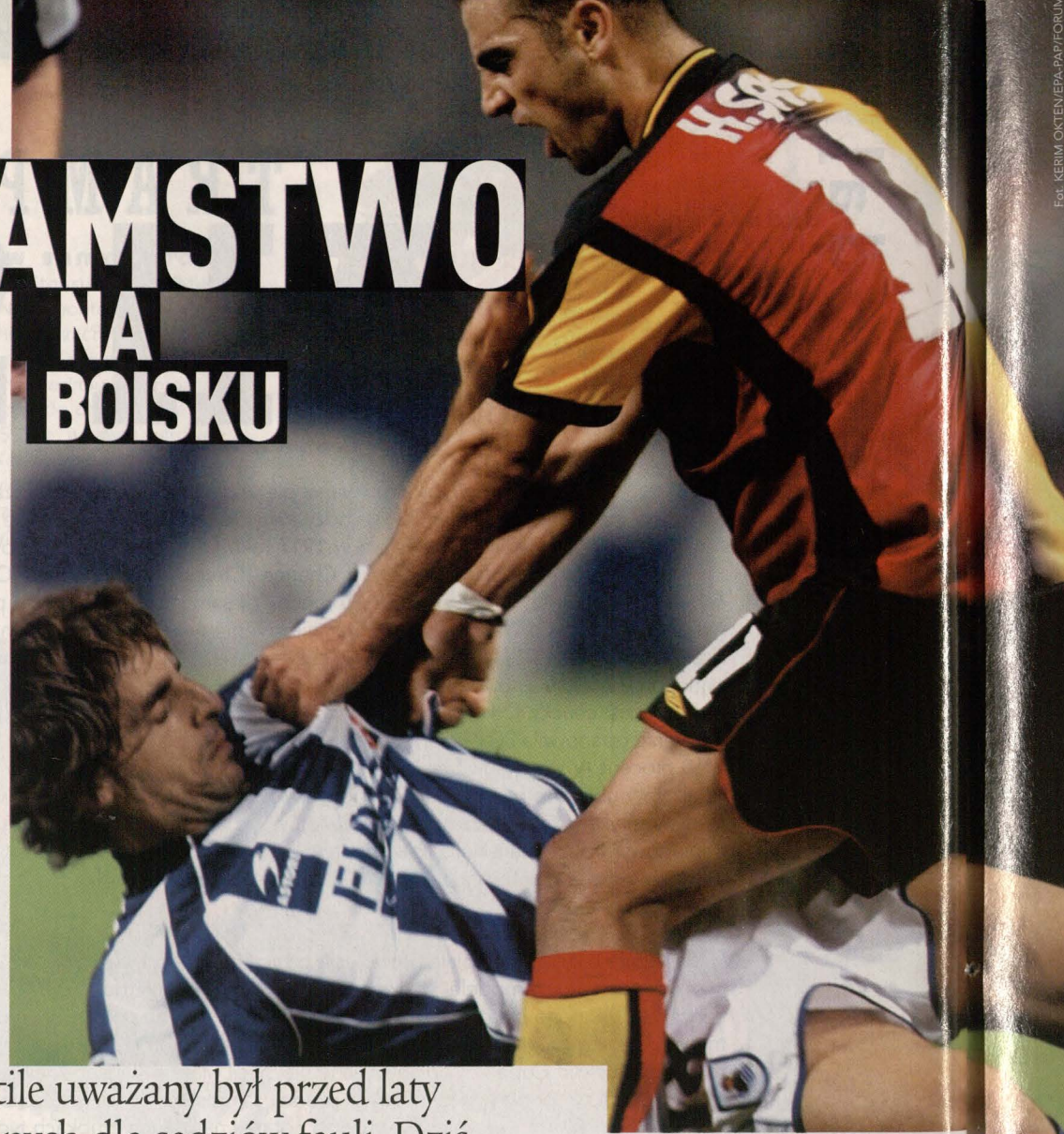
Mistrzostwa świata, 1982 rok. Półfinałowy mecz Francja – Niemcy. Chyba najbardziej znane w historii futbolu brutalne i chamskie zagranie. Bramkarz Toni Schumacher zamiast w piłkę celuje w zawodnika i wysuniętym kolaniem trafia biegącego w jego kierunku

CHAMSTWO NA BOISKU

Patrica Battistona. Po starciu nieprzytomny Francuz trafia do szpitala. Ma wstrząśnienie mózgu, wybitych kilka zębów. Niemiec nawet nie został wyrzucony z boiska. Kilka dni po incydencie Battiston przyjął przeprosiny Schumachera, za co dostał nagrodę UNESCO. Dziś taki faul nie uszedłby bezkarnie, choć i wtedy nie było zrozumiałe, dlaczego holenderski sędzia Charles Corver nie pokazał Niemcowi czerwonej kartki.

Mistrzostwa świata, 1986 rok. Na trybunach Stadionu Azteca 110 tysięcy kibiców. W meczu z Anglią Diego Maradona zdobywa dla Argentyny gola ręką. Jak później twierdzi, była to ręka Boga. W powtórkach telewizyjnych nie do końca można dostrzec, co się naprawdę wydarzyło. Wtedy jednak telewizja dopiero zaczynała pokazywać spotkania piłkarskie w nowoczesny sposób, za pośrednictwem wielu kamer.

Mistrzostwa świata, 1990 rok. Holender Frank Rijkaard za oplucie Niemca Rudiego Voellera dostaje czerwoną kartkę i zostaje wyrzucony z boiska.



Włoski obrońca Claudio Gentile uważany był przed laty za specjalistę od niedostrzegalnych dla sędziów fauli. Dziś uciekłby przerażony z boiska, widząc brutalność współczesnej gry

OSTRZENIE PARAGRAFÓW

To tylko niektóre najbardziej brutalne, cwane i chamskie zagrania z meczów o wielką stawkę. W wymienionych przypadkach sprawców albo wcale nie spotkała kara, albo zostali ukarani bardzo łagodnie. Komercjalizacja sportu, ogromne pieniądze zainwestowane w futbol, presja spowodowały, że gra stała się dużo ostrzejsza, a emocje – nie do opanowania przez zawodników. Nie przebiegając w środkach, dąży się do celu, którym jest wygrana. FIFA i UEFA musiały zdecydować się na radykalne zaostreżenie przepisów. To przyniosło efekty. Co prawda chamskiego zachowania samą zmianą przepisów wyeliminować się nie da, ale piłkarze mają teraz świadomość nieuchronności kary. Tym bardziej że piłkarskie władze dysponują już zapisem wideo, któremu nic nie umknie.

Najlepszym tego przykładem jest przypadek Francesca Tottiego z trwających Euro 2004. Za

opłucie rywala w meczu przeciwko Danii UEFA zdysqualifikowała włoskiego napastnika na trzy spotkania. Sędzia incydentu nie zauważył – tak jak innego chamskiego zagrania Włocha, za które powinien dostać czerwoną kartkę. Dopiero po spotkaniu okazało się, że zachowanie Tottiego zostało zarejestrowane.

Notabene, Francesco miał pecha. Jedną z dodatkowych kamer, do których zainstalowania mają prawo zespoły uczestniczące w meczu, ustawiona była bez przerwy tak, by dokumentować jego zmagania z Christianem Poulsenem.

Kara nałożona przez UEFA nie jest zresztą zbyt surowa. Powołano się na skrucę zawodnika i fakt, że trzy mecze to i tak długo jak na krótki czas trwania mistrzostw. W niedzielę wieczorem okazało się, że kolejny piłkarz, Szwajcar Alexander Frei, oskarżony jest o oplucie Anglika Stevena Gerrarda. Początkowo UEFA nie znalazła przeciwko Freiowi

dowodów winy, jednak Wielki Brat nie śpi. Niemiecka telewizja ZDF pokazała nagranie, na którym wyraźnie widać zachowanie Szwajcara. UEFA podjęła dochodzenie.

Podobne przypadki nie kończyły się ostatnio łagodnymi wyrokami. W listopadzie, podczas meczu Ligi Mistrzów między Lazio i Chelsea, Sinisa Mihajlović opluł Rumuna Adriana Mutu. Został zdysqualifikowany na osiem spotkań.

FAUL KSIĄŻKOWY

Bardzo surowo karane są również zagrania zagrażające zdrowiu rywala. Rok temu za niedozwolony wślizg w ligowym meczu w Anglii pomocnik Chelsea Nijitap Geremi został usunięty z boiska, ale komisja dyscyplinarna angielskiej federacji uznała, że zagranie już w założeniu było brutalne, i odsunęła piłkarza od gry w trzech meczach.

Jeżeli chodzi o egzekwowanie przepisów, z Anglików można brać przykład. Drobiazgowo analizują każdą sporną sytuację i jeżeli trzeba, karzą bardzo surowo. A karzą za wszystko, co

jest wbrew przepisom – bez względu na to, czy sędzia przewinienia widział, czy nie.

Dwa lata temu doszło do najgłośniejszego przypadku dyskwalifikacji za faul, który popełniono rok wcześniej. Roy Keane, zawodnik Manchesteru United, został zdysqualifikowany na pięć spotkań i ukarany grzywną 150 tysięcy funtów za przewinienie... opisane w książce. W swojej autobiografii Keane przyznał, że w poprzednim sezonie celowo sfaulował jednego z przeciwników, łamiąc mu nogę. Miał to być rewanż za wcześniejszy faul popełniony na nim przez rywala.

TEATR W POLU KARNYM

Inną piłkarską plagą staje się symulowanie faulu w celu wymuszenia na arbitrze podyktowania rzutu karnego. I w tym przypadku FIFA zaostriżyła stanowisko, bezwzględnie nakazując sędziom karać symulantów kartkami.

Gra jednak staje się coraz szybsza i coraz łatwiej jest sędziemu popełnić błąd. Jeżeli arbiter nie zauważy samego faulu i uzna pokrzywdzonego za symulanta, nie dość, że nie podyktuje należącego się karnego, to może jeszcze wyrzucić faulowanego z boiska. Czasem moment nieuwagi arbitra niweczy wielomiesięczne przygotowania całej drużyny. Tylko podczas ostatnich mistrzostw świata między innymi: nie uznano prawidłowo zdobytego gola dla Belgii w meczu z Brazylią, bramki dla Hiszpanów grających z Koreą, wybicia piłki ręką z bramki przez Niemców w meczu z USA i wielu innych zagrań wbrew przepisom. Wszystkie te sytuacje wypaczyły wyniki meczów, ale FIFA twierdzi, że sędziowie są tylko ludźmi i im też może przytrafić się błąd.

Może, ale należy robić wszystko, by takie błędy eliminować. Władze piłkarskie z uporem godnym lepszej sprawy bronią się przed wprowadzeniem przepisu pozwalającego, by w dyskusyjnej sytuacji sędzia skorzystał z zapisu wideo. A przecież takie rozwiązania z powodzeniem funkcjonują w innych dyscyplinach, na przykład w hokeju.

PRAWDA EKRANU

W miniony czwartek władze UEFA po raz kolejny odrzuciły możliwość korzystania z zapisów wideo w futbolu. Twierdzą, że przepisy wszędzie i dla wszystkich są takie same i nie można dopuścić, by sędziowie oglądali powtórki podczas mistrzostw Europy, nie oglądając ich podczas rozgrywek ligi okręgowej, gdzie klubów nie stać na zainstalowanie kamer.

Tymczasem w ligach okręgowych sędziowie nie mają choćby elektronicznych tablic sygnalizujących zmiany, a na Euro mają! Czy to zmienia sens gry? Gdyby zaakceptować pewne zmiany, nie doszłoby do sytuacji jak w meczu Rosja – Portugalia podczas trwającego Euro, kiedy rosyjskiego bramkarza wyrzucono z boiska za zagranie ręką, które, jak można było obejrzeć w telewizji, nie miało miejsca. Można było podyktować należnego karnego Łotwie, która pewnie wygrałaby wtedy z Niemcami. Futbol miałby szansę być bardziej sprawiedliwy, niezależnie od formy sędziów.

TOMASZ GORAZDOWSKI
PROGRAM III PR



od 265 zł*

Z rodziną
do Szwecji

Niedaleko Karlskrony znajduje się "raj" dla dzieci - park Barnens Gärd. Wielki i bezpieczny plac zabaw z atrakcjami dla całej rodziny. W ofercie również: przejazd promem wraz z samochodem, program rozrywkowy na promie (rejs dzienny), nocleg w hotelu w Karlskronie ze śniadaniem.
*cena za osobę w pakiecie za 1060 zł dla 2 os. dorosłych i 2 dzieci do lat 14, + opłata portowa 12 zł/os.

www.stenaline.pl, (058) 660 92 00

Stena Line
Making good time™

Kusicielki

Allaha

TEKST JAKUB MIELNIK
ZDJĘCIA SHADI GHADIRIAN



Gdy oczy świata
zwrócone są
na Irak,
w sąsiednim
Iranie wyrosła
nowa gwiazda
feministycznej
fotografii – **SHADI**

Chcesz rozmawiać o naszych chustach? – w głosie kobiety wyczuwam wyraźne znudzenie tematem. W tle słychać Teheran: gwar rozmów, jazgotliwą muzykę i klaksony tkwiących w wieczornym korku samochodów. – Jestem teraz zajęta, zadzwoni w nocy do mojego studia – mówi Shadafarin Ghadirian i wyłącza komórkę. 30-letnia kobieta jest jedną z najbardziej znanych na świecie irańskich artystek.

Shadi, jak pieśzczośliwie nazywana jest na Zachodzie, jest absolwentką wydziału sztuki uniwersytetu Azad w Teheranie. Specjalizowała się w fotografii. W czasie studenckich praktyk w muzeum trafiła na zapomnianą kolekcję XIX-wiecznych zdjęć.

– Mało kto wie, że Iran był pierwszym krajem Bliskiego Wschodu, w którym przyjęła się fotografia – mówi „Przekrojowi” Shadi. Artystka wystrzeliwuje z siebie odpowiedzi z szybkością karabinu maszynowego. Jej zabarwiona perskim akcentem angielszczyzna przypomina monotonne wykłady muzealnych przewodników, którzy po raz setny snują tę samą opowieść o kolekcji portretów kobiet z haremu szacha Nasser-dina. Monarcha, wielbiciel nowinek technicznych, sam je wykonał. Shadi, studentka wychowana w surowej obyczajowości republiki irańskich ajatollahów, po raz pierwszy w życiu zetknęła się wtedy z portretami kobiet. – W czasie rewolucji wiele rzeczy z naszej przeszłości zostało zapomnianych. Pomyślałam, że ludzi ucieszy nawiązanie do historii – mówi o pomysle na serię zdjęć wzorowanych na starej kolekcji.

Niewinny z pozoru projekt okazał się bezczelną kpina z sposobu, w jaki na irańskie kobiety patrzy teokratyczny reżim w Teheranie.

WIERNE ALLAHOWI, CHOĆ ZALOTNE

– Gdy pokazuję te zdjęcia za granicą, ludzie są przekonani, że ciągle się tak ubieramy – monotony ton muzealnego przewodnika ustępuje w głosie Shadi miejsca rozbawieniu. Artystka sama uszyła część strojów dla modelek, jej koleżanka namalowała studyjne tła identyczne z tymi z XIX-wiecznych fotografii.

Shadi długo miała problemy z pokazaniem swoich prac. Zaczęła od wysłania jednego ze zdjęć na sponsorowany przez irańskie ministerstwo kultury konkurs „Książka w oczach fotografików”. Jej praca – dwie kobiety z całkowicie zasłoniętymi twarzami trzymające lustro, w którym odbijają się książki – zdobyła pierwszą nagrodę. Islamska cenzura nakazała jednak wycofanie zdjęcia z konkursu. Shadi postawiono absurdalny zarzut fotografowania mężczyzn przebranych w stroje kobiece. Potem władze przyznały, że praca pokazuje irańskie kobiety w dwuznacznym świetle.

Na pierwszy rzut oka jej modelki pokazane są w ubraniach i okolicznościach, którym przyklas-



– Takie jesteśmy naprawdę. Prywatnie robimy to, co nam się podoba, ale jednocześnie nie zamierzamy zrywać z naszą islamską tradycją

nałby każdy świątobliwy mułła ze wzrokiem popsutym od pilnego studiowania Koranu. Mułła w okularach dostrzeże jednak bezczelny wzrok kobiety zawiniętej w czador, która dźwiga na ramieniu przenośny magnetofon w geście pasującym bardziej do rapera z Brooklynu niż do potulnej muzułmanki. Albo zalotne spojrzenie modelki, która trzyma pod pachą profesjonalnego nikonu. – Takie jesteśmy naprawdę. Prywatnie robimy to, co nam się podoba, ale jednocześnie nie zamierzamy zrywać z naszą islamską tradycją – mówi Shadi.

Chusta – na Zachodzie symbol zniewolenia muzułmańskich kobiet – ma dla Shadi marginalne znaczenie. – Dla mnie chusta jest jak włosy, bez niej czułabym się nieswojo. Strój nie jest tak ważny jak niesprawiedliwe prawo napisane przez mężczyzn – wyjaśnia Shadi jedną z podstawowych zasad ruchu nazywanego islamskim feminizmem.

„Islamskie feministki chcą bronić swych praw w ramach republiki islamskiej. Ich celem nie jest sekularyzacja życia w Iranie, tylko osiągnięcie równych z mężczyznami praw w ramach rządów teokratycznych” – pisze Elham Gheytanchi, irańska emigrantka, która jest socjologiem na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Ruch ten narodził się w kulturze, w której religia nie jest prywatną sprawą każdego człowieka, tylko częścią obowiązującego porządku politycznego i społecznego. Kobiety, które w walce o swoje prawa odrzucają islam, skazane są na izolację, potępienie, a nawet na śmierć. – Naszym problemem jest patriariat, a nie Koran, w Koranie nie ma słowa o kamienowaniu kobiet – mówiła jedna z przywódczyń ruchu, irańska prawniczka Shirin Ebadi, po odebraniu pokojowej Nagrody Nobla.

WYEMANCYPOWANE PRZEZ AJATOLLAHA

Przed rewolucją islamską Ebadi była sędzią, jednak ajatollahowie zakazali kobietom piastowania urzędów sędziowskich. Teokratyczny reżim, który w 1979 roku zakończył panowanie szacha Iranu, zakazał też kobietom wstępu na uniwersytety. Nie wolno im było pracować w publicznych urzędach. Oparte na Koranie islamskie społeczeństwo obywatelskie uznawało równość kobiet i mężczyzn, wprowadzono jednak podział obowiązków. Mężczyźni mieli się zajmować sferą publiczną. Dla kobiet zarezerwowano świętą dla islamu sferę prywatną: opiekę nad domem i wychowanie dzieci.

– Dla pokolenia mojej matki to był szok – wspomina Shadi wychowana w rodzinie inteligentkiej. Za szacha Iran uchodził za jeden

z najzamożniejszych i najbardziej nowoczesnych muzułmańskich krajów świata. Symbolem irańskiej kobiety stała się zbuntowana poetka Forogh Farokhzad, która w wieku 19 lat zerwała zaaranżowane przez rodzinę małżeństwo z kuzynem dla poezji i swobodnego życia. Uważana na Zachodzie za perską George Sand Forogh pozowała do zdjęć z rozwianymi włosami i papierosem w zębach. Zanim w wieku 32 lat zginęła w wypadku samochodowym, Bernardo Bertolucci nakręcił o niej film dokumentalny.

Świat, który reprezentowała Forogh, był w dużej mierze fantazją sprzedaną w artystycznych salonach Paryża. Dla większości kobiet w Iranie życie wyglądało tak jak na całym Bliskim Wschodzie. Władze na papierze wprowadzały światłe reformy społeczne, ale życie toczyło się według zasad ustalonych we wczesnym średniowieczu przez arabskich koźników. Reżim z upodobaniem publikował zdjęcia żołnierzy służących na kupowanych przez szacha niszczycielach rakietowych. Oficjalne statystyki mówiły o rosnącej liczbie Iranek studiujących i pracujących zawodowo. Zmiany dotyczyły jednak tylko elity. Większość nie korzystała ze swoich praw choćby z tego powodu, że przed rewolucją połowa irańskich kobiet w miastach i 90 procent na wsi nie umiało czytać i pisać.

MŁODOŚĆ KONTRA REŻIM

Ścisła segregacja płci wprowadzona po rewolucji zrodziła sytuację paradoksalną. Kontakty niespokrewnionych ze sobą przedstawicieli przeciwnych płci stały się przestępstwem. Z drugiej strony reżim zamierzał za wszelką cenę udowodnić, że zorganizowanie sprawiedliwego społeczeństwa z uwzględnieniem nakazów religijnych jest możliwe. Okazało się, że Iran potrzebuje kobiet lekarzy, prawników, nauczycieli i urzędników, które bez łamania prawa mogłyby się zajmować żeńską częścią populacji. Początkowo wykładowcy mężczyźni wchodzili do budynków szkół podziemnymi przejściami i prowadzili zajęcia zza zasłon, nigdy nie oglądając swoich studentek. Później ich miejsce zaczęły zajmować kobiety, a w końcu w ogóle zrezygnowano z tych elementów segregacji, które utrudniały zdobywanie wiedzy. Dziś w kraju uważanym na Zachodzie za jeden z najbardziej restrykcyjnych wobec kobiet jest więcej studentek niż studentów.

Codziennosc daleka jest od ideału. Shadi ciągle ma problemy z wystawianiem prac. Seria zdjęć przedstawiających zamazane kobiece sylwetki nie może być pokazywana w Iranie, bo pokazywanie konturów ciała uznano za nieobyczajne. Mimo to współczesna Iranka ma więcej wspólnego z Audrey Hepburn w ciemnych okularach i chustce na głowie niż z bezkształtną masą czarnego sukna drepzcząco potulnie kilka kroków za mężem.



- Reżim udowadnia, że sprawiedliwe społeczeństwo islamskie to tylko slogan

Nastolatki malują się grubym ciemnym tużem, noszą dzinsy, kolorowe chusty i odsłaniają obwieszone bransoletkami nadgarstki, nie ryzykując już kary chłosty. Tolerowane są też kontakty młodzieży obojga płci w szkołach i na uczelniach. Władze nie mają innego wyjścia. 60 procent Irańczyków nie skończyło jeszcze 25 lat i nie zna porządku innego niż ten stworzony przez islamską rewolucję. Mając nieograniczony dostęp do Internetu i coraz więcej możliwości wyjazdów za granicę, starają się pogodzić tradycję, którą akceptują, z nowoczesnością, której nie mogą i nie chcą unikać.

W zetknięciu z 18-milionową armią młodych ludzi toczony korupcją reżim stracił już rewolucyjną czujność. Za odpowiednią opłatą policjanci są gotowi przymknąć oko na nieobyčajne zachowanie. Równowartość 20 dolarów zapewnia bezkarną randkę, a za 60 można urządzić zakrapiane alkoholem przyjęcie na kilkadziesiąt osób. Nagrywane po kryjomu filmy z prywatnych przyjęć, na których swobodnie się bawią irańskie kobiety, można później kupić na bazarach w Bagdadzie czy Ammanie.

Cicha rewolucja dokonuje się nie tylko w modzie. Wydawany od 1991 roku magazyn „Zanan” („Kobieta”) ma dziś ponad 120 tysięcy stałych czytelniczek. Mimo ciągłej presji fundamentalistów miotających oskarżenia o herezję i demoralizowanie młodzieży redaktor naczelna pisma Shala Sherkat regularnie drukuje teksty Simone de Beauvoir i Virginii Woolf czy fragmenty biografii Hillary Clinton. – Swoją polityką wobec kobiet reżim udowadnia, że sprawiedliwe społeczeństwo islamskie to tylko slogan – mówiła w wywiadzie dla pisma „Middle East Report” prawniczka Meh-rangiz Kar. Ajatollahowie musieli ustąpić. Zwłaszcza że islamskie feministki wspierają się Koranem w dochodzeniu własnych praw.

KOBIETA TO TYLKO PÓŁ MĘŻCZYZNY

Dziś co trzecie małżeństwo w Teheranie kończy się rozwodem. Te statystyki pokazują, że przynajmniej w irańskiej stolicy kobiety są na tyle niezależne finansowo, iż mogą sobie pozwolić na porzucenie mężów. Ostatnio ubrane w ostantacyjnie kolorowe chusty zaatakowały promowaną przez władze poligamię. W kwietniu kilkaset aktywistek protestowało przeciw serialowi emitowanemu w publicznej telewizji. Jest to historia Iranki, która nie może mieć dziecka i namawia swoją przyjaciółkę, żeby została drugą żoną jej męża. Po pojawieniu się drugiej żony ta pierwsza zachodzi w końcu w ciążę. Protestujące nie doceniły scenariuszowej finezji telenoweli, uznając ją za obraźliwą.



Wszystko wskazuje jednak na to, że niewiele wskórają. Konserwatywni mułlowie znów są w ofensywie. Zwolennicy reform przegrali z kretesem wybory do parlamentu. Zresztą Strażnicy Rewolucji wykreślili wcześniej z list większość ich kandydatów. To dlatego Shadi Ghadirian, która ze swoimi przewrotnymi zdjęciami zjeżdżała pół świata, wraca do monotonnego tonu muzealnego przewodnika, gdy pytam o to, jak się pracuje w Iranie kobiecie fotografowi. – Pamiętaj, że w sferze prywatnej to my rządymy niepodzielnie, jako kobieta mogę swobodnie wejść tam, gdzie mężczyznom wstęp wzbroniony – mówi Shadi.

Artystka wie, że naruszenie zarezerwowanej dla mężczyzn sfery publicznej może być śmiertelnie niebezpieczne. Rok temu Zahra Kazemi, irańska fotoreporterka z kanadyjskim paszportem, została zabita przez bezpiekę za to, że fotografowała studenckie demonstracje. Noblistkę Shirin Ebadi odsunięto od procesu w sprawie jej śmierci. Islamskie feministki wiedzą, że według Koranu słowo kobiety znaczy tylko połowę tego, co głos mężczyzny.

JAKUB MIELNIK

ZDJĘCIA SHADI MOŻNA OGŁAĐAĆ DO 3 LIPCA
W SAN JOSE MUSEUM OF ART W KALIFORNI



Do Marcela Andino w sprawie „Kijowej demokracji”

Pański artykuł („Przekrój” nr 23/24) natchnął mnie do podzielenia się kilkoma uwagami i przemyśleniami. Sugeruje Pan, że „zrobimy sobie lepiej”, jeżeli wszyscy pójdziemy na wybory, otóż nie sądzę. Trzeba jasno powiedzieć rzecz podstawową, w każdym społeczeństwie pewna jego część mentalnie i intelektualnie nadaje się tylko, by „kury szczać prowadzać”. To ci, którzy w wyborach prezydenckich głosowali na X-a, „bo taki podobny do Adama z »Dynastii«”; to ci, którzy w wyborach samorządowych oddają głos na tego kandydata, który podwiózł samochodem, dał 10 złotych albo postawił wino; to także ci, którzy nie idą na wybory, bo jest ładna pogoda i lepiej pojechać z dziećmi na działkę. To wreszcie ci – wbrew pozorom najświatlejsi w tej grupie – którzy nie rozumieją programów, nie wiedzą, kogo wybrać, nie znają się na polityce, więc nie idą. Wszystkie te postawy

zostały zresztą ugruntowane przez polityków (wszystkich opcji) – obiecują, przymilają się, a po wyborach wycofują się, zapominają albo robią coś przeciwnego, tymczasem elektorat nie widzi zmian ani poprawy... Pański pomysł z zaświadczeniami jest bardzo chybiony. Przede wszystkim jest to triumf biurokracji – bo czymże innym jest sporządzanie i składanie w urzędzie „kwitów”? Obowiązkowość głosowania spowodowałaby wybieranie partii egzotycznych. W pełni zgadzam się tu z Jarosławem Kaczyńskim (jak nigdy!) – oraz nasilenie „przetargów” – „do lokalu mam bliżej” niż do urzędu, tylko co z tego będę miał? Bez podwiezienia i dwóch win nie da rady! Píše Pan: „Kto gwizdże sobie na państwo, niech nie wyciąga ręki po państwową pomoc” – tak się składa, że wszystko, co Pan wymienia – prawo jazdy, rejestracja samochodu, świadczenia społeczne itd. – nie jest prezentem od państwa – płacimy za to gotówką, podatkiem czy składką ZUS. Nie wiem też, czy rezygnacja z udziału w głosowaniu to na pewno „gwizdanie na państwo”? Ten, który nie głosuje, zdaje się tym samym na wybór innych, można to nazwać delegacją uprawnień – może to lepiej, że część elektoratu zdaje się na opinię bardziej wyrobionych i zorientowanych? Skądinąd głosując, też nie podejmujemy (z wyjątkiem referendum, a i tu można się spierać) decyzji bezpośrednio, ale wybieramy tych, którzy zdecydują za nas... Przymusowe głosowanie mogłoby także spowodować zrównanie się procentu głosów

nieważnych z obecnym procentem absencji... Tak więc nie czepiamy się niegłosujących. Bardzo często lepiej, że ich nie ma. Poza tym, to państwo jest dla obywateli – obowiązkowe głosowanie sugeruje coś przeciwnego, co przywodzi na myśl *ancient regime*... Nieuczestniczenie w wyborach jest korzystaniem z wolności, o czym mówią nie tylko anarchiści, jak się Pan przekonał. Ja osobiście, w związku ze wszystkim, co powyżej zawarłem, poszedłbym jeszcze dalej: w lokalu wyborczym dać obywatelowi do wyboru: karta do głosowania albo 100 złotych! Byłoby drożej (choć niekoniecznie na dłuższą metę), ale jestem w stanie się założyć, że bez Samoobrony, LPR-u i tym podobnych – czyż nie warto? Aha! Frekwencja 99,9 procent muirowana! Najlepsze pozdrowienie dla pana i całej redakcji „Przekroju”!

KONRAD BANASZAK

Przepraszamy wszystkich, którzy poculi się dotknięci, znajdując siebie lub swoje pociechy na fotografiach towarzyszących artykułowi „Świecka Komunia Święta” („Przekrój” nr 22/3075). Zwracając uwagę na komercjalizację sakramentu i jego oprawy, chcieliśmy jedynie opisać niepokojące zjawisko społeczne, a nie piętnować jakiegokolwiek konkretne osoby czy wspólnoty parafialne. Dostrzegając, ponieważ, niefortunność pomysłu na zilustrowanie naszego tekstu – raz jeszcze przepraszamy.

REDAKCJA

Czekamy na Państwa listy.

Nasz e-mail: redakcja@przekroj.pl Nasz adres: ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa.



ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 12A, V.P. 00-490 WARSZAWA.
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 25 25
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL

E-MAIL:
redakcja@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY – WYDAWCA:
Piotr Najstut

PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Agnieszka Dajbor

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowscy

SEKRETARZE REDAKCJI:
Magda Gędziołowska, Marcin Sendek, Maria Świetlik (zastępca)

ASYSTENTKA:
Anna Romotowska

KULTURA:
Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez, Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska, Andrzej Saramonowicz, Justyna Sobolewska

KRAJ:
Magda Papużyńska (szef), Marcin Fabjański, Joanna Gorzelinska, Doroa Sajnog, Max Suski, Paweł Wieczorek, Michał Wójcik

ŚWIAT:
Wawrzyniec Smoczyński (szef), Filip Łobodziński, Andrzej Łomanowski, Jakub Mielnik, Marek Rybarczyk

NAUKA:
Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski

ROZRYWKA:
Marcin Pieszczyk

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski, Mateusz Hankala, Maria Klich, Patrycja Kühn, Małgorzata Łaska, Agata Loth, Maciej Morus, Krzysztof Zakrzewski

PAN OD RYSUNKÓW:
Jacek Ziemiński

FOTOREDAKCJA:
Marcin Kapica (szef), Bogdan Kręzel (fotograf), Urszula Matusik, Olga Piłsińska, Marek Szczepański

KOREKTA:
Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej, Dariusz Janiszewski

ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok

PRZYGOTOWALNIA:
Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor)

REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor

SEKRETARIAT: Iwona Chmielewska

EDIPRESSE POLSKA:
WYDAWCA:
EDIPRESSE POLSKA S.A.
UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA.
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 00
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierała

WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:
Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Satkowski

DYREKTOR MARKETINGU:
Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. ZŁOŻU I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:
Agnieszka Smit

PUBLIC RELATIONS:
Marcin Fedisz

DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKRÓJ”:
Iwona Zabielska-Stadnik

DZIAŁ DYSTRYBUCJI I PRODUKCJI:
Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:
Dorota Rakowska – Product Manager

BIURO REKLAMY:
Ewa Kozłowska – dyrektor, Anna Orłowska – zastępca dyrektora, Artur Dudek, Grażyna Janiak, Małgorzata Skorupa
ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa
tel. (0-prefiks-22) 584-295, -297, -311, -584, -594
faks (0-prefiks-22) 584 22 92

PRODUKT:
WINKOWSKI SP. Z O.O. – RADZYMIN
PAPIER: OKŁADKA – GALERIE FINE 90 GSM, PRODUKT – M-REAL
SRODEK – GALERIE BRITE 60 G, PRODUKT – M-REAL

PRENUMERATA: U WYDAWCY
Izabela Mroczek, Agnieszka Bogdańska
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 29 LUB 584 22 30
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 22 32
PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL
PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL

PRZEZ POCZTĘ
PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZEZ RUCH SA
INFORMACJA TEL. (0-PREFIKS-22) 532 87 31, FAXS (0-PREFIKS-22) 532 87 32

NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNECIE
WWW.EXPORTIM.COM
FAXS/TEL. +46-8-6639963

ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONYCH NIE ZWRACAMY. REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.

24 kwietnia 2004

„Przekrój” wydaje polecenia kulturalne

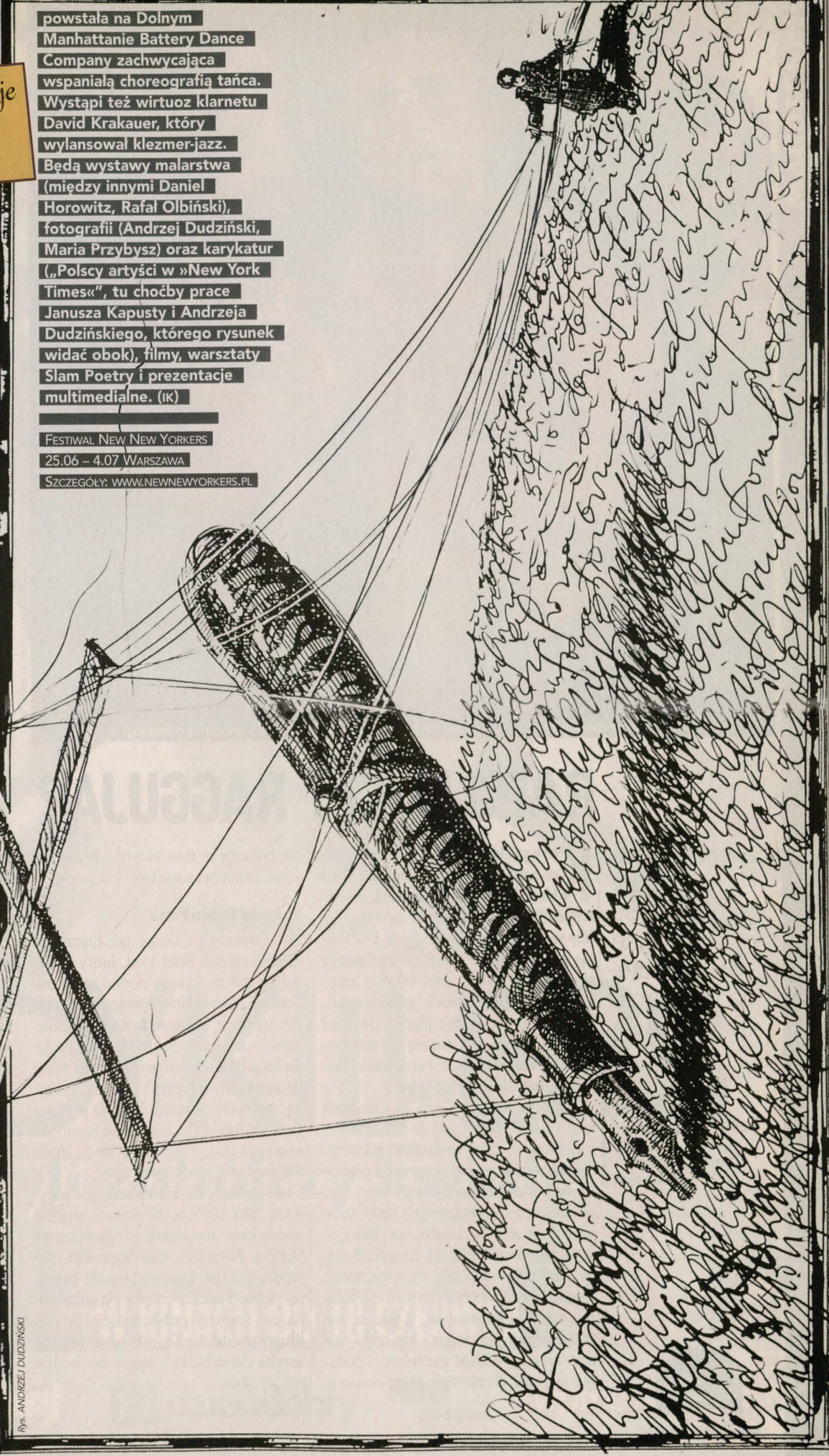
TYDZIEŃ

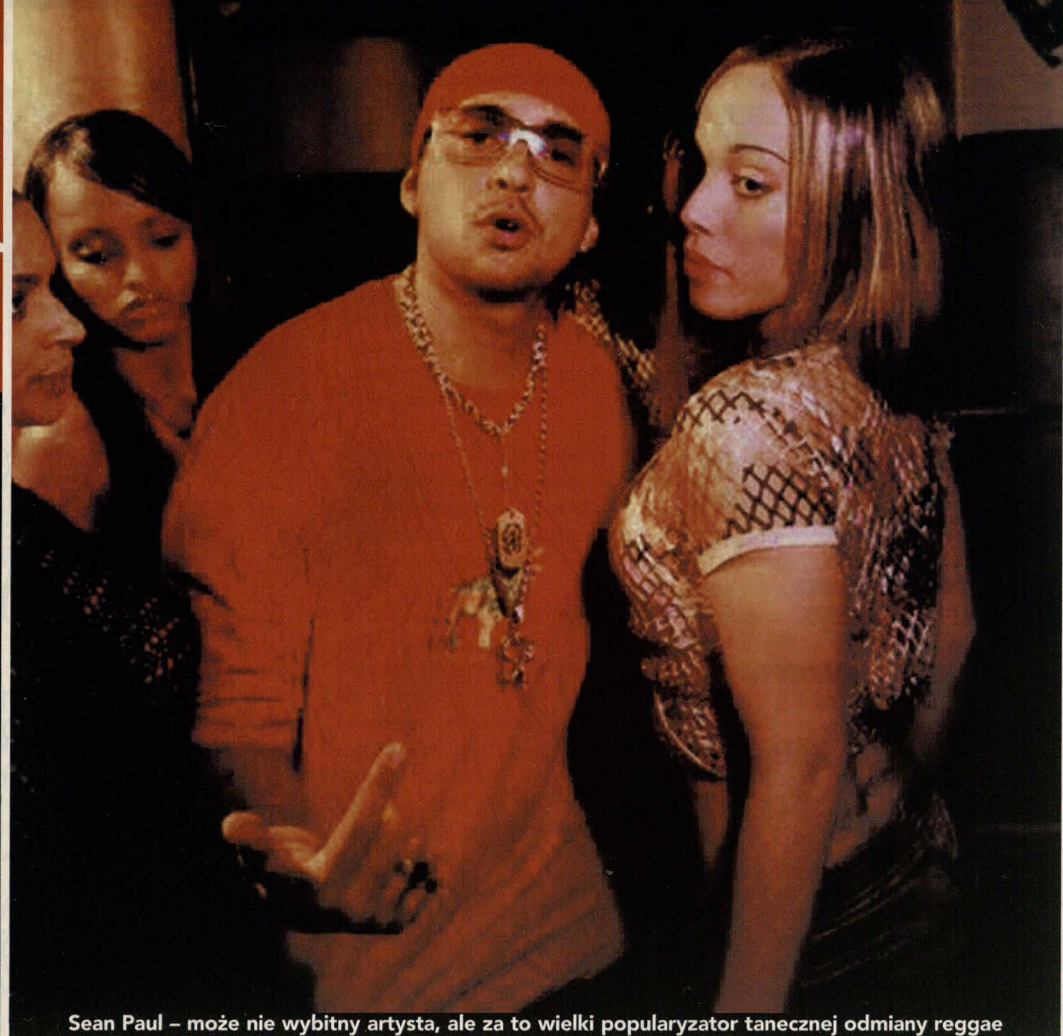
TU NOWY JORK

Polacy, Amerykanie rdzenni i pochodzenia polskiego – przez lata tworzyli w Ameryce, teraz przyjeżdżają do Warszawy. Wprawdzie na krótko, ale za to z fragmentem tego, co za oceanem uczyniło ich sławnymi. Urodzony w Łodzi Daniel Libeskind, zwycięzca konkursu na projekt zabudowy nowojorskiej „strefy zero”, na wystawie „Fundament pamięci” zaprezentuje zarówno zwycięską pracę, jak i wcześniejsze dokonania. Aż dwukrotnie w teatrze Studio wystąpi

powstała na Dolnym Manhattanie Battery Dance Company zachwycająca wspaniałą choreografią tańca. Wystąpi też wirtuoz klarnetu David Krakauer, który wylansował klezmer-jazz. Będą wystawy malarstwa (między innymi Daniel Horowitz, Rafał Olbiński), fotografii (Andrzej Dudziński, Maria Przybysz) oraz karykatur („Polscy artyści w »New York Times«”, tu choćby prace Janusza Kapusty i Andrzeja Dudzińskiego, którego rysunek widać obok), filmy, warsztaty Slam Poetry i prezentacje multimedialne. (IK)

FESTIWAL NEW NEW YORKERS
25.06 – 4.07 WARSZAWA
SZCZEGÓŁY: WWW.NEWNEWYORKERS.PL





Sean Paul – może nie wybitny artysta, ale za to wielki popularyzator tanecznej odmiany reggae

RAPUJĄ CZY RAGGUJĄ?

Symboliczne
zaślubiny
hip-hopu
z reggae
– w Sopocie,
na koncercie
Seana Paula

SEAN PAUL
– 29.06 Sopot, Molo

Cinq G „Panama”,
Funkydub

Kto wynalazł hip-hop? Wtajemniczeni zaraz krzykną chórem: DJ Kool Herc, czyli Clive Campbell, mieszkaniec Bronksu! Niektórzy opowiedzieliby w tym miejscu legendę: w 1973 roku na urodzinowe przyjęcie jego siostry nie dojechał didżej, więc młody Campbell stanął przy dwóch gramofonach, wziął dwie identyczne płyty i puszczał z jednej i drugiej na zmianę ten sam rytmiczny fragment bez partii wokalne. Goście bawili się wyśmienicie.

Problem polega na tym, że Campbell jako 12-latek przyjechał do Nowego Jorku z Jamajki. Zdążył wcześniej zobaczyć soundsystemy grające muzykę z gramofonów na ulicach rodzinnej wyspy. I to, co zobaczył, postanowił odtworzyć w Ameryce. Po latach na Jamajce do głosu doszła muzyka dancehall-ragga – bardziej rytmiczne, mocne dziecko reggae z charakterystycznymi wokalami, już nie śpiewanymi, a jeszcze nie mówionymi. Dziś ragga i hip-hop – też dziecko reggae, choć nieślubne – podały sobie ręce. A człowiek, który ostatecz-

nie połączył te dwa światy – Sean Paul – już 29 czerwca wystąpi w Sopocie.

Sukces SzamPona

– Dancehall traktuję jak brata hip-hopu – mówi Sean Paul, który sprzedał na całym świecie ponad sześć milionów egzemplarzy swojego albumu „Dutty Rock”. Nie obyło się bez problemów – bo gdzie sklasyfikować Paula: na listach bestsellerów reggae czy może na zestawieniach płyt z „czarną” muzyką? Na tych ostatnich królują przecież gwiazdy hip-hopu, z którymi Sean Paul nagrywał duety: 50 Cent, Jay-Z, Busta Rhymes.

– Popularność SzamPona, jak nazywany jest u mnie w domu, wyjdzie wszystkim na dobre – komentuje Marcin Pospiszyl, szef Tam Tam Records, od lat sprowadzający reggae na polski rynek. – Nowa rytmika trafia do szerszej publiczności. Ta niedługo znudzi się SzamPonem, ale stylistyka dancehallu i reggae nie będzie już jej obca.

Niebawem ukaże się nowa płyta Shaggy'ego – gwiazdy dancehallu od lat – która, jak ocenia Pospiszyl, tylko wzmocni pozycję reggae i dancehallu.

Kiedy Sean Paul wydawał swoją przełomową płytę, warszawskie grupy hip-hopowe – WWO, Zipera i Mor W.A. – kupowały bilety do Polski swoim francuskim kolegom z formacji Soundkail. Wszystko po to, by Francuzów, którzy łączą styl hip-hopowy z ragga, sprowadzić na wspólne nagrania i koncerty. Ta przyjaźń i współpraca zrewolucjonizowały polski „twardy” hip-hop uliczny.

Ragga podnieca, pali, płonie

W Warszawie muzycy Transmisji i Easy Band All Stars wraz z hip-hopowcem Panem Duże Pe – jednym z najlepszych raperów improwizatorów uprawiających freestyle – założyli formację Cinq G. Ich utrzymana w wolnej, zabawowej konwencji płyta „Panama” jest świetnym wprowadzeniem w świat dancehallu. „Myszy Popiela słuchały bardzo dużo ragga / Później je naszedł apetyt nie lada / Więc i ty to puszczaj na magnetofonie / Bo ragga pomaga, podnieca, pali i płonie” – śpiewają.

„Nieważne, czy to hip-hop, ragga czy dancehall / Ja mam dobry rytm i składam go często” – dodaje w konwencji ragga Pan Duże Pe, który zadebiutował zarazem jako raper, bo w tym samym czasie wyszła jego płyta „Sinus”.

– Pan Duże Pe zdecydowanie „czuje” stylistykę dancehallu – ocenia Pospiszyl. – Chciałbym też przypomnieć Gutka [inny raper, współpracujący z Dabem i grupą Indios Bravos – przyp. BC], który ją poczuł już kilka lat temu.

Zdaniem Pospiszyla artyści hip-hopowi korzystają z bujającej rytmiki reggae głównie dlatego, że hip-hop jest coraz mniej taneczny: – Polscy blokersi znają SzamPona, niektórzy pewnie też twardszych zawodników z Jamajki – Bounty Killera lub Capletona. Dzięki temu na imprezach ruszają się miękko, bo taniec hip-hopowy to głównie ruszanie głową, a dancehall to „miękkie biodra”.

Na koncercie Seana Paula spotkają się zapewne fani reggae i hip-hopu – wyznawcy tego ostatniego zrozumieli ostatecznie, że ich muzyka wywodzi się z Jamajki. Polscy raperzy nie dbają już tak panicznie o czystość hip-hopowego przekazu: „Ćwicz to, czym by to nie było / Tylko wkładaj w to miłość, a to będzie twą siłą” – rapuje Pan Duże Pe. A właściwie – ragguje.

BARTEK CHACIŃSKI

T O M H A N K S

IRMA P. HALL
NAGRODA
SPECJALNA JURY
CANNES 2004

W NAJNOWSZEJ
KOMEDII
BRACI COEN



LADYKILLERS

czyli zabójczy kwintet

Radio ZET

W KINACH OD 18 CZERWCA



AKTIVIST
www.aktivist.pl
KINO
STUDENCKA

naj

dzieńdobry

HBO
MAXPAK

wprost



www.MINI.com.pl

arcydzieło
świetne
dobre
przeciętne
słabe
dno

JESTEŚ PORUSZONY?

www.MINI.com.pl

ODWROTNOŚĆ NUDY



Oto najtańsza scenografia wszech czasów!

Fot. SPI

KOSTKOTRUP

• • • • •
Druga część „Cube” jest dużo droższa od „jedyńki”, ale za to strasznie tania

Pójdź na ten film koniecznie, jeśli: a) jesteś alergikiem i pyłki uniemożliwiają Ci długie czerwcowe spacerki; b) nie znosisz futbolu, a mistrzostwa Europy w telewizji doprowadzają Cię do szału; c) ciemna i pusta sala kinowa to jedyne miejsce, gdzie możesz spędzić randkę.

Film o podstępnej kostce, w której wewnątrz miotają się ludzie, okazał się tak wielkim sukcesem, że postanowiono go powtórzyć. Dla producentów pomysły takie są nie lada gratką: przez półtorej godziny można utrzymywać widzów w napięciu, pokazując im to samo wnętrze, tylko oświetlone różnymi kolorami. Jak tanio!!! I było tanio. Oryginalny „Cube” został nakręcony w garażu stojącym gdzieś obok torów kolejowych. Właśnie przejazd pociągów – jak głosi wieść – zawdzięczamy pomysł, że poszczególne sale w kostce się przesuwają. Scenografia wówczas tak drżała i był taki huk, że trzeba było z tego zbudować walor, bo inaczej w ogóle nie dałoby się nic zrobić.

W „dwójce” postanowiono skomplikować rzeczywistość, wrzucając bohaterów do tak zwanego tesseractu – sześcianu, który istnieje nie w trzech, ale czterech – łącznie z czasem – wymiarach. Bohaterowie, dobrani oczywiście

według specjalnego klucza umożliwiającego im dochodzenie prawdy (między innymi matematyka, inżynier elektryk, autor gier komputerowych, pułkownik, psychoterapeutka), miotają się w jego wnętrzu, usiłując dociec, jak to możliwe, że w poszczególnych salach widzą samych siebie robiących rzeczy, których jeszcze nie robili.

Brzmi to niezłe tylko dlatego, że mój opis wycisnął z filmu to, co najlepsze. Zanim dojdzie do czegokolwiek, rzecz ciagnie się jak obecna kadencja polskiego Sejmu: człowiek siedzi w kinie i marzy, by rozpisano wybory na nowe postacie i sytuacje, a widzi kurczowe trzymanie się źle dobranych ról.

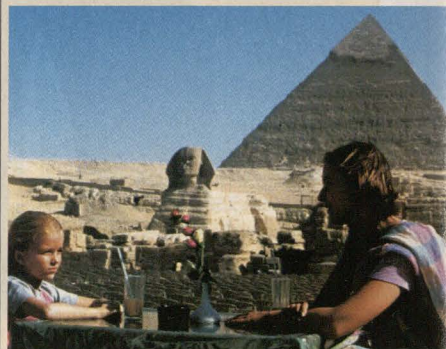
A najgorszy jest początek. Zazwyczaj twórcy wychodzą z siebie, żeby jakimś sposobem wciągnąć widzów w historię, a w „Cube 2” jest całkiem na odwrót: tu bohaterowie spotykają się i spotykają, a każda nowo odkryta osoba przedstawia się pozostałym z imienia i nazwiska, co nie wygląda na początek thrillera o ludziach poślgniętych przez czas, ale zapis z pierwszego dnia turnusu urlopowego w domu wczasowym dla emerytowanych twórców filmowych.

ANDRZEJ SARAMONOWICZ

LANIE WODY

• • • • •

Najsylniejszy reżyser portugalski Manoel de Oliveira ma 96 lat, a karierę kinową zaczął w roku 1928. Piszę o tym nie tylko dlatego, że „Ruchome słowa” są pierwszym (!) jego filmem, jaki trafia na polskie ekrany, lecz także z tego powodu, że film to ostentacyjnie... dziecinny. Akcja streszcza się w zdaniu: profesorka historii z Lizbony (Leonor Silveira) wyrusza ze swoją ośmioletnią córką statkiem do Bombaju, by spotkać się z mężem. Niemal do końca nic się nie dzieje, kobiety po prostu odwiedzają kolejne słynne miasta: Marsylię, Ateny, Kair... Matka opowiada córce o dziejach cywilizacji, córka zadaje pytania zasadnicze: Co to jest mit?



Fot. BEST FILM

Co to są piramidy? Kim był Napoleon? Pierwszą część filmu – ową lekcję poglądową z historii kultury – ogląda się dobrze. Może ze względu na widoki znanych miejsc? Ale w pewnym momencie kamera kieruje się w stronę stołu kapitana statku (John Malkovich) – Amerykanina polskiego pochodzenia o nazwisku... Walesa. Zasiadają przy nim trzy wielkie damy europejskiego kina: Catherine Deneuve, Irene Papas, Stefania Sandrelli. No i zaczyna się gładzenie. O naturze kobiet i mężczyzn, o sławie, o Unii Europejskiej... Aż do dramatycznego finału, który jest mechaniczną próbą wpisania filmu w niepokojące naszych czasów. „Ruchome słowa” z jednej strony są więc zbyt płytkie, a z drugiej – zbyt koniunkturalne. Cenię sobie mądrość wynikającą z wieku i doświadczenia, ale w tym wypadku mam ochotę po szczeniaku pokazać język.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

„RUCHOME SŁOWA”, REŻ. MANOEL DE OLIVEIRA, Portugalia/Francja/Włochy 2003, Best Film, premiera 25 czerwca



Cisza przed burzą – Sylvia (Gwyneth Paltrow) i Ted (Daniel Craig)

Fot. VISION

JAK UPIEC SYLVIĘ

• • • • •
Początkująca reżyserka okazała się całkowicie bezradna wobec fenomenu Sylvii Plath

„SYLVIA”, REŻ. CHRISTINE JEFFS
Wielka Brytania 2003, Vision, premiera 18 czerwca

Największy pożytek z „Sylvii” jest taki, że w Polsce wreszcie wyjdą nietłumaczone dotąd dzienniki Sylvii Plath i że tym samym twórczość tej rewelacyjnej amerykańskiej poetki i pisarki wreszcie wyjdzie z cienia. Swoją drogą ciekawe, że świetna książka, żeby się ukazać, potrzebuje wsparcia w postaci choćby i słabego filmu. A film Jeffs rzeczywiście jest słaby – początkująca reżyserka okazała się całkowicie bezradna wobec fenomenu Plath i poprzestaje na balansowaniu między dwoma stereotypowymi wyobrażeniami na temat „przeklętych” poetów. Bohaterka (grana z wielkim, aczkolwiek daremnym wysiłkiem przez Gwyneth Paltrow) raz jawi nam się jako natchniona, nadwrażliwa istota, a raz jako osoba kwalifikująca się do le-

czenia psychiatrycznego. A i tak koniec końców z filmu Jeffs wynika, że Plath wsadza głowę do piekarnika, bo zostawił ją niewierny mąż.

„Sylvia” jest filmem mentalnie pensjonarskim również ze względu na ornamentykę, która towarzyszy opowieści o ostatnich latach życia pisarki: mgliste pejzaże, zacinający deszcz, szumiące drzewa, wieczny mrok (niech nikogo nie zmyli powyższe zdjęcie!)... Brakuje tylko bezgłowych jeźdźców na wrzosowiskach.

Pamiętam, że czytając kilka lat temu listy Plath, myślałam: „To świetny materiał na film dla Agnieszki Holland!”. I teraz naprawdę szczerze żałuję, że to nie ta reżyserka pierwsza wpadła na pomysł filmu o Sylvii.

MAŁGORZATA SADOWSKA

FAŁSZYWY TON • • • • •

Kalekie dziecko ojca-serialu i matki-telewizji

Zagubiony może czuć się dziś i kinowy widz, i krytyk, który nie żeni się z telewizorem, a jedynie okazjonalnie z nim sypia. Kolejne dziełko poczęte z matki-serialu i ojca-telewizji weszło właśnie na ekrany. Wdzięczny się – i nic. Zero iskrenia.

Mea culpa: serialowej matki nie poznałem nigdy. A słysząc zewsząd, że wyprodukowany w BBC „Śpiewający detektyw” to kamień milowy w dziejach telekryminałów. Chylę czoło przed tymi, którzy serial widzieli – i teraz widzą więcej: pełne niuansów gry z pierwowzorem, wariacyjne komentarze i autoparodie.

Ja kinowego „Detektywa” oglądałem z bólem. Tytuł zresztą zwodniczy, bo rzecz nie o poszukiwaniach mordercy, ale o pisarzu, który tłucze kryminały, choruje na dziwny rodzaj łuszczycy i ma halucynacje. W filmie jest wszystko: psychologiczny dramat i pastisz detektywistycznych bajek. Bezruch i musicalowy taniec. Cisza i śpiewający bohaterowie. Słowem – pozbawiony sensu tygiel, który na przemian dłuży się i irytuje pośpiesznym montażem. Co prawda Robert Downey Jr. gra świetnie, sympatycznie wypada Mel Gibson jako współczesny Freud i Adrien Brody w roli seryjnego mordercy, ale co z tego?

Jestem serialowym ignorantem. Ale takie samo jak w „Detektywie” przesłanie (wyobraźnia to siła potężna) urzekło mnie w „Ally McBeal”. Może więc dwie kropki to nie tylko serialowy defekt recenzenta?

PAWEŁ T. FELIS

„ŚPIEWAJĄCY DETEKTYW”, REŻ. KEITH GORDON, USA 2003, Monolith, premiera 18 czerwca

POWIEŚCI, PIELUSZKI, PULPETY

• • • • •

Sylvia Plath dziś to już nie tylko poetka, ale wręcz mit. Najczęściej przedstawia się ją jako ofiarę złego męża, przez którego popełniła samobójstwo. Dobrze, że wreszcie ukazały się jej dzienniki, w których widać pełną osobę zmagającą się przez całe życie ze swoimi demonami. Zapiski obejmują 12 lat. W tym czasie Plath studiuje, próbuje popełnić samobójstwo, romansuje, wychodzi za poetę Teda Hughesa, pisze, rodzi dzieci. Dzienniki nie są kompletne, ostatni zeszyt Hughes zniszczył. Poznajemy ją jako 18-latkę, egzaltowaną, z wielkimi planami na przyszłość: chce odnieść sukces jako pisarka, mieć dom – „Powieści, Pieluszki, Pulpety” – i męża, który by jej imponował. Hughesa Plath sobie wymyśliła: realna postać idealnie spełnia jej marzenia.

Gorzej było z sukcesem pisarskim, Plath notuje kolejne odmowy publikacji. Dziennik pozwoli zamienia się z notatnika wrażeń w pole zmagania ze sobą i zaklinania rzeczywistości – Plath adresuje zapiski do siebie, w punktach planuje, co ma robić, żeby zdobyć sympatię otoczenia. Dorosła, ale pozostaje niepewną nastolatką, która musi przegłądać się w oczach innych i kiedy nie znajduje potwierdzenia, rozpada się cały jej świat. Zwykle czynności zawodowe są dla niej jak zdobywanie wielkiej góry, a czytając te zapiski, razem z nią balansujemy nad przepaścią.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



SYLVIA PLATH „DZIENNIKI”, PRZEE. JOANNA URBAN I PAWEŁ STACHURA, Prószyński i S-ka, Warszawa 2004

„CUBE 2”, REŻ. ANDRZEJ SEKUŁA, USA/Kanada 2002, SPI, premiera 25 czerwca

RÓBCIE PIZZĘ, A NIE WOJNĘ

Od sześciu lat autorzy sześciu tekstów w stylu „Walcz o swoje prawo do balangi” pędzą spokojne życie: rodzina, dzieci, studio

ANNA GACEK: Dlaczego aż sześć lat trzeba było czekać na nową płytę **Beastie Boys**?
ADAM YAUCH: Nie mamy poczucia długiej przerwy. Przez te lata żyliśmy normalnie: rodzina, obowiązki...
MIKE DIAMOND: Fajnie jest pójść do studia i pisać piosenki, ale nie ma w tym nic z wyobrażeń o życiu gwiazd. Pobudka, dzieci do szkoły, my do studia... Oto nasze życie.
ADAM HOROVITZ: Mieliliśmy mnóstwo pracy w studiu. Trzeba było zamówić jedzenie, potem zjeść, trochę odpocząć, wypić kawę – żeby zebrać siły, by pójść do domu...
Byliście w Nowym Jorku w czasie wydarzeń 11 września?

MD: Mieszkamy w centrum Nowego Jorku, więc byliśmy blisko.
AY: Po tej katastrofie atmosfera w mieście była wręcz surrealistyczna. Mnóstwo strachu, niepewność jutra. Ale i większa empatia, chęć pomocy, znikły podziały między zwykłymi ludźmi a policją. Dziś wszystko wróciło do nowojorskiej normy.
Utwór „An Open Letter To NYC” to wyznanie miłości do waszego miasta. Za co się je kocha?
AH: Za hot dogi, pizzę i całą masę świetnego jedzenia.
AY: Za dzieciństwo i wspomnienia. Za to, że tyle się tam dzieje; mnogość kultur sprawia, że nigdy nie jest nudno, właściwie pod każdym względem, czy mówimy o muzyce, czy o architekturze...
AH: ...czy o jedzeniu.

Powróciliście rok temu piosenką naganą przeciw wojnie w Iraku. Co dziś sądzicie o polityce Busha?
MD: Dał nam powód tej interwencji – broń masowego rażenia. A potem jej nie znalazł. Pojawiła się kolejna wymówka – uwolnienie ludzi żyjących w państwie terroru i strasznego dyktatora. A teraz widzimy zdjęcia amerykańskich żołnierzy torturujących więźniów, a więc zupełne przeciwieństwo jego idealistycznych założeń o pokoju, swobodzie i wolności.

AY: Trzeba pamiętać o tym, ile broni produkuje się i sprzedaje w Ameryce, nie wolno zapomnieć, że krajem, który użył broni nuklearnej, był właśnie Stany Zjednoczone!

ROZMAWIAŁA ANNA GACEK



Nowojorczycy z urodzenia i przekonania: MCA (Adam Yauch), Adrock (Adam Horovitz) i Mike D (Mike Diamond)

POWRÓT BESTII

Przed Eminemem byli biali raperzy z **Beastie Boys**. I po Eminemie też pewnie będą



BEASTIE BOYS „TO THE 5 BOROUGHS”, Capitol

Oczyma wyobraźni widziałem ich już wszędzie: pogrążonych w medytacji w buddyjskiej świątyni, obrastających tłuszczem pod słońcem Karaibów. Na pewno nie w studiu nagraniowym, do którego nie zaglądali od czasu „Hello Nasty” z 1998 roku. Ku zaskoczeniu wszystkich po sześciu latach milczenia **Beastie Boys** dają w końcu znak życia. Najbardziej nowojorscy z nowojorskich artystów właśnie nagrali album – sygnał do zakończenia muzycznej żaloby po wydarzeniach 11 września. Wraz z „To The 5 Boroughs” kończy się era gniewu, smutku i rozdrapywania ran.

Ponad 20 lat od rozpoczęcia kariery **Beastie Boys** nie walczą już o milionowe nakłady i szczyty list przebojów, bo wszystko, co było do zdobycia, osiągnęli lata temu. Grali punk rocka, by po obraniu kursu na hip-hop przejść do historii jako jedna z najpopularniejszych grup rapowych. Pijani sławą demolowali hotelowe pokoje, a po latach stali się przyjaciółmi Dalajlamy i tym samym wielkimi orędownikami idei wyzwolenia Tybetu.

Dziś jako stateczni panowie przed czterdziestką powracają do korzeni, składając hołd miastu, któ-

re uczyniło z nich gwiazdy. Począwszy od zdobiącej okładkę albumu grafiki z panoramą Manhattanu autorstwa włoskiego architekta Mattea Pericolego, kłaniają się w pas Nowemu Jorkowi i jego kulturowemu dziedzictwu. „Drogi Nowy Jork! Mam nadzieję, że masz się dobrze. Przeszedłeś przez piekło, ale nie wypadłeś z gry” – rymują w „Liście otwartym do NYC” i słysząc, że choć nie zapominają o tragedii WTC, znów chcą widzieć rodzinne miasto takim, jakim było przed atakiem na Twin Towers.

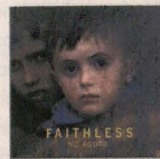
Trudno przewidzieć, kogo ten album zaskoczy bardziej. Czy tych, którzy bacznie śledzą dokonania nowojorczyków, a dziś ze zdziwieniem stwierdzą, że nie ma tu nic z charakterystycznego dla nich rapowo-punkowo-instrumentalnego eklektyzmu? A może tych, którzy przygodę z **Beastie** zakończyli na ich epokowym debiucie „Licensed To Ill” z 1986 roku, a słysząc „To The 5 Boroughs”, nie uwierzą, że po 18 latach to wciąż ten sam oldskulowy hip-hop utkany z sampli rapowych pionierów? Jedno jest pewne – w Nowym Jorku znów potrafią się cieszyć muzyką.

BARTEK WINCZEWSKI

•••••

KONIEC ODKRYĆ

Czy to ostateczne pożegnanie z klubowym dynamitem?



FAITHLESS „No Roots”, BMG

Przyzwyczajiliśmy się myśleć o tym albumie jako o ostatnim w naszej karierze” – tak po 10 latach podbojów klubowych parkietów ta jedna z najpopularniejszych brytyjskich formacji tanecznych szykuje się do złożenia broni. Ze sceną **Faithless** żegnają się z podniesionymi głowami, choć bez sensacji.

Wciąż mają rękę do produkowania transującego klubowego dynamitu. Wciąż się kłaniają właściwym dla nich rozbudowanym instrumentacjom z nutką nieznośnego patosu w tle. Jak zwykle też nie stronią od polityki – tu z celownikiem wymierzonym w premiera Blaira. To w szeregach **Faithless** debiutowała przed laty Dido – niegdyś jedynie śpiewająca



Fot. BMG

siostra lidera grupy **Rollo**, dziś popowa gwiazda światowego formatu. Nie zabrakło jej i na „No Roots”, ale niekwestionowanym bohaterem tej płyty pozostaje Leigh Stephen Kenny, alias LSK, młody wokalista rodem z Leeds, najnowsze odkrycie zespołu. Można być pewnym, że – z **Faithless** czy bez – o nim jeszcze będzie głośno.

BARTEK WINCZEWSKI

Z przyjemnością posłucham
Avril Lavigne... za 10 lat



Fot. AFP/EAST NEWS

TERAZ BĘDZIE GORZEJ •••••

Avril Lavigne jest jak Britney Spears po drugiej stronie lustra. Punkowa zamiast cukierkowa, obdarzona świadomością muzyczną i pewnym talentem do pisania piosenek zamiast tylko parą implantów. Kanadyjka, a nie Amerykanka. Zadebiutowała multiplatinową płytą „Let Go” jako 18-latką i teraz przez kilka lat może być już tylko gorzej. Dlaczego? Problem wokalistki w tym wieku, która w dodatku chce śpiewać rocka, polega na tym, że nie wypada jej już nucić pod nosem o misiach, a w śpiewaniu o bolesnych doświadczeniach miłosnych trudno jeszcze być wiarygodną. Lavigne znudziła się już jako sezonowa nowalijka i wkracza w wiek przejściowy, kiedy publiczność stawia większe wymagania.

Na „Under My Skin” piosenki są niezłe, ale nie porywające. Image wokalistki drapieżny, ale jednak konfekcyjny. Całość firmuje Avril jako dorosła współautorka materiału, ale dziecko-Avril dołącza do płyty miniposter. I co? Mam wyrwać i sobie nad łóżkiem powiesić? Nie pójdę kupić tramppek i trupiej czaszki na szyję dlatego, że ma je Avril, a gdy już wpadnę w buntowniczy nastrój, wolę posłuchać, jak śpiewa Sonic Youth. To nie jest płyta dla dorosłych, choć może im się dobrze kojarzyć z Alanis Morissette lub z The Cranberries. A pamiętam, że i jako polskie dziecko wolałem cięższy rock – w wydaniu Metaliki. Bo to ciężki kraj.

BARTEK CHACIŃSKI
AVRIL LAVIGNE „UNDER MY SKIN”, Arista

•••••

CUD PAMIĘCI

Powraca jedna z najważniejszych kapel gitarowych w historii muzyki niezależnej



PIXIES „WAVE OF MUTILATION: THE BEST OF THE PIXIES”, 4AD/Sonic
PIXIES „PIXIES”, COOKING, Vinyl/E Bloc
PIXIES DVD, 4AD/Sonic

Kiedy o swojej fascynacji **Pixies** głośno mówią Bono, David Bowie, członkowie **Radiohead** czy **Blur**, pytania o wielkość tego zespołu znikają. Znakomite DVD ze starymi występami grupy i filmem dokumentalnym ukazało się rok temu, co zbiegło się z pierwszą od 10 lat trasą koncertową po Stanach. Muzycy są ciągle w formie, a dzięki różnym składankom i albumom koncertowym pamiętać o grupie jest systematycznie podtrzymywana. Teraz ukazują się

kolejne już *greatest hits* zatytułowane „Wave of Mutilation”. Dobór utworów pierwszorzędny, choć to oczywiście rzecz tylko dla tych, którzy nie rozumieją zamieszania wokół „powrotu **Pixies**”. Dla fanów o wiele ciekawsze będzie równie dobre wydawnictwo „**Pixies**”, które zawiera legendarne odpady z sesji nagraniowej debiutanckiego albumu. Może już wkrótce dołączy do tego zupełnie nowa płyta grupy?

JACEK SKOLIMOWSKI

UWAGA NA KOBRE!

Saksofonista, kompozytor, improwizator, jazzman, klezmer, właściciel wytwórni... Część umiejętności **Johna Zorna** poznamy na specjalnym wieczorze w ramach **Warsaw Summer Jazz Days**. Otworzy go projekt Tymona Tymańskiego **John Zorn's Cobra**. Zorn wymyślił ten projekt w połowie lat 80. – jest w nim dyrygentem improwizującej orkiestry, pokazuje na kartkach muzykom symbole oznaczające mniej więcej, jakie dźwięki mają wydobywać.



Fot. SIP/EAST NEWS

W Polsce będzie musiał zapamiętać nad 12 muzykami wybranymi przez Tymańskiego. Do składu (trzy perkusje, trzy gitary, trzy klawisze i trzy instrumenty akustyczne) dobrać muzyków z różnych środowisk: Leszka Możdżera, Jacka Lachowicza czy Roberta Brylewskiego. – To będzie elektroakustyczne granie free – mówi Tymon. – John spotka się z nami dzień przed występem i wtedy zdecydujemy, jak to będzie wyglądało. Nie mniej radykalnie zapowiada się występ tria **Pain Killer**. Zorn reaktywował je wraz z Billem Laswellem i perkusistą Tatsuyą Yoshidą z japońskiej grupy **Ruins**. „**Pain Killer** tworzy najbardziej intensywną muzykę, jaką możesz usłyszeć” – mówi o sobie nie bez racji.

JACEK SKOLIMOWSKI

JOHN ZORN'S COBRA,
PAIN KILLER, WARSZAWA,
SALA KONGRESOWA, 27.06

DEEP PURPLE – aż dwa koncerty w Polsce legendy hard rocka promujące nową płytę „Bananas”

– 28.06 Szczecin, Tor Kolarski, 29.06 Warszawa, stadion Legii

Autobiografię
Vladimira
Nabokova
czyta się
jak jego
najlepsze
powieści



Polowania na motyle wypełniały mu wolny czas

ZANIM ZJAWIŁA SIĘ LOLITA

••••• Kto nie wie, niech wbije sobie do głowy, że Nabokov to nie tylko „Lolita”. Zanim w roku 1958 na amerykańskich listach bestsellerów zagościła w aurze skandalu powieść nieznanego wykładowcy uniwersyteckiego, on sam wiele przeżył i napisał niejedną książkę. O pierwszych 40 latach jego życia opowiada autobiografia „Pamięci, przemów”. (Tłumaczenie jej autorskiej wersji anglojęzycznej ukazało się właśnie na rynku. Podkreślam ową anglojęzyczność, niemal 20 lat temu bowiem poza cenzurą ukazała się w Polsce książka „Tamte brzegi”, która też jest autobiografią Nabokova, tyle że jej wersją napisaną w języku rosyjskim).

VLADIMIR NABOKOV,
„PAMIĘCI, PRZEMÓW”,
PRZEL. ANNA KOŁYSZKO,
Muza, Warszawa 2004

Przed napisaniem „Lolity” Vladimir Nabokov nauczał na prestiżowych uczelniach

creative writing, języka rosyjskiego oraz historii literatur europejskich. Z zamiłowania był entomologiem amatorem, o bynajmniej nieamatorskich osiągnięciach w tej dziedzinie. Z pochodzenia zaś – rosyjskim emigrantem, który z Rosji musiał uciekać przed bolszewizmem niszczącym posiadaczy ziemskich, a z Europy przed nazizmem niszczącym posiadaczy niewłaściwego pochodzenia.

Nabokov nie marzył o rozgłosie, a przy najmniej nie o takim, jaki go spotkał. Z natury był człowiekiem raczej skromnym i ceniącym sobie prywatność. Ale jego wyrafinowana angielska proza wpadła w tryby kultury popularnej. Jej mechanizmy, za nic sobie mając pragnienia pisarza, przyniosły mu krociowe zyski, mate-

rialną niezależność i sławę – jeśli nie deprawatora nieletnich dziewcząt, to przynajmniej rzecznika takich deprawatorów.

A kim naprawdę był Nabokov? Wiele mówi o tym jego książka autobiograficzna. Nie można oczywiście być pewnym, czy autobiografia najlepiej służy poznaniu prawdy o człowieku-powieściopisarzu. Ale w wypadku Nabokova, jeśli nawet miałaby nie do końca trzymać się faktów, to i tak odznacza się stylem na tyle nieposłusznym, że czyta się ją znakomicie. I jako wspomnienie, i jako... powieść.

„Pamięci, przemów” opowiada bowiem fascynująco historię Nabokova od momentu jego narodzin w carskiej Rosji w roku 1899 do roku 1940, w którym rodzina pisarza odpływa z Francji do Nowego Jorku. Wydarzenia, o których czytamy, układają się w kunsztowny zbiór opowiadań. Zdaje się, że można w nich usłyszeć echa Turgieniewa bądź Czechowa, zwłaszcza wtedy gdy narracja dotyczy czasów rosyjskich. Z kolei partie angielskie czy niemieckie książki podsuwają na myśl nazwiska Joyce’a lub Orwella jako autorów demaskatorskich tekstów poświęconych obyczajowości europejskiej pierwszej połowy XX wieku.

Rzecz jasna te wspomnienia warte są uwagi nie tylko ze względu na ich styl. W osobie autora „Lolity” mamy po prostu do czynienia z człowiekiem, który „żył w ciekawych czasach”. Z potomkiem liberalnych arystokratów rosyjskich, którego pierwszym językiem był angielski. Z arcyministrem zagadek szachowych i z tłumaczem „Alicji w krainie czarów” na rosyjski. Z emigrantem, którego ojciec, wybitny polityk i prawnik, padł na emigracji ofiarą politycznego mord. Z ojcem Nabokova wiąże się zresztą anegdota, która każe myśleć, że pisarzowi już od urodzenia pisany był związek z „Lolita”. Nabokov senior bowiem opublikował w 1902 roku artykuł „Przestępstwa na tle seksualnym”, w którym omówił, „w pewnym dziwnym sensie jak gdyby proroczo” – napomyka pisarz, przypadki londyńskich dziewczynek w wieku od ośmiu do dwunastu lat padających ofiarą rozpustników.

Jak więc widać, życie tego wybitnego pisarza nie upływało pod znakiem skandalu, lecz raczej typowych zeszłowiecznych wydarzeń wojennych i emigranckich. Przybywając do USA, miał pewnie nadzieję, że w końcu zbliża się do upragnionej przystani, gdzie będzie mu dane żyć i pracować bez nacisków mas. Nie przewidział, że masa może go także pokochać.

A „Lolite” na pierwszych miejscach list bestsellerów zastąpiła po sześciu miesiącach inna legendarna powieść XX wieku – „Doktor Żywego” Borysa Pasternaka.

MARCIN BARAN

BUGUL, CZYLI NIECHCIANA

••••• Duch matki, pożeracz dusz i inne atrakcje w pierwszej po polsku powieści znanej afrykańskiej pisarki



KEN BUGUL „WIDZIANE Z DRUGIEJ STRONY”, PRZEL. ANNA GREN, PIW, Warszawa 2004

Ken Bugul musiała często siadywać na baboobabie. „Te wielkie drzewa dają siłę życia i ochronę przed śmiercią” – napisała w książce „Widziane z drugiej strony”, którą francuscy księgarze uznali za najlepszą powieść roku 2003. W języku wolof Ken Bugul znaczy „niechciana” i ten pseudonim senegalskiej pisarki Marietou Mbaye jest znamieny, waży na treści jej kolejnych książek. Bo „Widziane z drugiej strony” jest nie tylko medytacją nad śmiercią, lecz także próbą zrozumienia skomplikowanej miłości między matką a córką.

Bugul snuje autobiograficzną opowieść o porzuconej na dworcu pięcioletniej afrykańskiej dziewczynce, która przez całe życie i we wszystkim stara się odnaleźć matkę. Spokojny, ale sugestywny, zapadający w pamięć rytm, powtórzenia całych fraz i najistotniejszych pytań („Dlaczego matka porzuciła mnie na dworcu w Hodarze?”) sprawiają, że książka staje się mantrą, modlitwą mamrotaną podczas przygotowywania tradycyjnych potraw, które – tak jak pociągi i zapach mleka – mają przypominać matkę. Wszystko to rozgrywa się na tle upraw prosa i orzechów arachidowych, na tle sufizmu i islamu, w tradycyjnej rodzinie afrykańskiej.

Bo ta książka jest też swego rodzaju sagą,



Fot. DORIS POKLEKOWSKI

w której życie przeplata się ze śmiercią, a wielość i rozrodność sięgają liczb tu, w zimnej Europie, niewiarygodnych. Wybrani przyjaźnią się i dyskutują z dzinami, asceci modlą się przez 16 godzin dziennie, pożeracz dusz czają się w każdej wiosce, a ducha matki można wywołać, kąpiąc się w deszczówce.

AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO

CICHO, IDIOTKO!

Wszystko, co powinno znaleźć się w dobrym letnim kryminale, pojawiło się w debiutanckiej powieści Joanny Szymczyk



Fot. BERNARD OSSER/W.A.B.



JOANNA SZYMCHYK
„EWA I ZŁOTY KOT”,
W.A.B., Warszawa 2004

Już po przeczytaniu paru linijek „Ewy i złotego kota” zacząłem podejrzewać, z jakim typem powieści będę miał do czynienia. Czekalem tylko na pojawienie się słowa klucza, które potwierdziłoby moje przypuszczenia. Słowo „idiotka” padło na 11. stronie: „Cicho, idiotko”. Byłem w domu.

Wiedziałem już, że debiutanckiej powieści Joanny Szymczyk będzie patronowała pierwsza dama polskiego kryminału Joanna Chmielewska, i to – co okazało się w trakcie dalszej lektury – z bezpowrotnie chyba minionego, najlepszego okresu swojej twórczości.

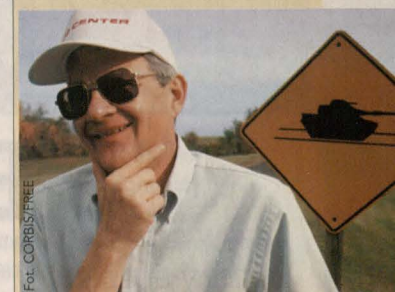
seksu i humoru. Miłośnicy prawdziwych thrillerów również nie będą zawiedzeni: bohaterka musi zmierzyć się nie z „niewinnym”, zwykłym morderstwem, ale z brutalną międzynarodową mafią trudniącą się prostytutką i handlem kobietami.

ŁUKASZ KSIĄŻYK

AGENT ••••• SFRUSTROWANY

Tomowi Clancy’emu wyczerpują się pomysły

Co czuje oficer służb specjalnych, kiedy trafi na ślad wielkiej afery? Przede wszystkim frustrację. Okazuje się, że aby ktoś zrobił użytek ze zgromadzonych przez niego informacji, muszą one przejść skomplikowaną, biurokratyczną procedurę. Kiedy wreszcie wszyscy jego przełożeni podejmą decyzję, często okazuje się, że jest już za późno. A jeszcze gorzej, kiedy afery zagrażają o sprawy polityczne. Wtedy zgromadzenie poważnych materiałów dowodowych jest możliwe często dopiero po zamachu – któremu właśnie można było zapobiec. Tom Clancy dobrze wyczuł te nastroje. Najnowsza jego powieść „Żęby Tygrysa” to historia grupy ludzi powiązanych z amerykańskimi służbami specjalnymi, którzy postanowili zastępować prawo. Pomysł nienowy. Jest na ten temat kilka filmów (z „Nikitą” Luca Bessona) i co najmniej



Fot. CORBIS/FREE

kilkanaście powieści, chociażby Ludluma, McLeana czy Le Carre’go. Ale pod pewnym względem książka Clancy’ego jest nowa. Znaczną część „Żębów Tygrysa” opisuje sposób działania „Echelonu”, czyli systemu kontrolowania informacji przesyłanych w Internecie. Mimo że terroryści stosują różne kody i triki, udaje się ich namierzyć – i wygląda to nawet dość wiarygodnie. I nawet czyta się niezłe, chociaż trudno oprzeć się wrażeniu, że konsorcjum specjalistów od dialogów, a także demaskowania nowinek technicznych pisujące pod nazwiskiem Tom Clancy pomału zaczyna zjadać własny ogon.

PIOTR NIEMCZYK

TOM CLANCY „ŻĘBY TYGRYSA”,
PRZEL. PAWEŁ MARTIN,
Amber, Warszawa 2004



Sam Fisher jest jak cień. Z precyzją wykonuje swoje zadania i ulatnia się „po angielsku”

MNIE TU NIE BYŁO

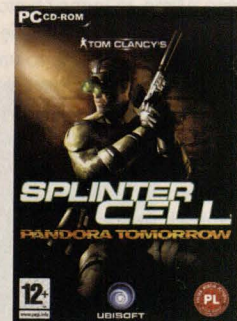
●●●●●○
Pasjonująca gra w szpiega, który sprząta po sobie i wychodzi

Efektowna antyteza klasycznych gier akcji. Sam Fisher nie strzela do wszystkiego, co się rusza. Nie warczy wrogom w twarz, co myśli o ich mamusiach. Skromnie, po cichutku przekrada się niezauważony, robi swoje, sprząta po sobie i wychodzi. Po angielsku, choć pracuje dla Wujka Sama.

„Pandora Tomorrow” to kontynuacja wysoko ocenianej w „Przekroju” gry „Splinter Cell”. Oparta luźno na motywach z powieści Toma Clancy’ego, opowiada o codziennym znoju agenta terenowego tajnej organizacji rządowej Third Echelon podlegającej amerykańskiej National Security Agency. Sam Fisher wykonuje zadania specjalne wymagające dyskretnej infiltracji, gdy otwarta konfrontacja jest wykluczona z powodów strategicznych lub politycznych. Jego podstawowy atut to nieistnienie. Ideałem jest takie przeprowadzenie akcji – wykradzenie dokumentów, podsłuchanie rozmowy, zdobycie dowodów, uwolnienie zakładnika – aby wróg do końca pozostał nieświadomy jego obecności. Fisher jest mistrzem pozostawania w cieniu i przekradania się między czujkami. Korzysta z zaawansowa-

nych technologii – jak wizjer termiczny lub minikamera wystrzeliwana z karabinu – ale nie mniej ważna jest dla niego sprawność fizyczna. Wiemy już, że potrafi w wąskim przejściu zastygnąć w szpagacie pod sufitem oparty stopami o ściany, niewidoczny dla przechodzącego dołem strażnika. W „Pandora Tomorrow” ujawnia kolejną efektowną sztuczkę – niczym nietoperz może, trzymając się rury nogami, zawisnąć głową w dół.

Upodobania gimnastyczne agenta Fishera to niejedyna atrakcja „Pandora Tomorrow”. Akcja nie jest już ograniczona do pomieszczeń, klaustrofobicznie ciasnych zaułków lub wytyczonych ścieżek z horyzontem w tle. Często dzieje się na otwartej przestrzeni oferującej rzeczywistość swobodę ruchu. Gra jest bardziej „filmowa” w charakterze od poprzedniczki, ma lepszą dramaturgię, spójniejszą fabułę (tym razem głównym motywem jest polowanie na indonezyjskiego terrorystę, który grozi światu bronią biologiczną). Dodajmy do tego lepsze efekty graficzne, przyjaźniejsze sterowanie oraz opcję gry wieloosobowej i werdykt jest oczywisty: sequel okazał się lepszy od poprzednika!



„SPLINTER CELL: PANDORA TOMORROW”, UBI SOFT, dystr. Cenega, PC, XBOX, PS2

ODWROTNOŚĆ NUDY

MORD DLA MORDU

●○○○○○

Bodaj najbardziej jak dotąd ohydna próba zarobienia pieniędzy na grze komputerowej. „Manhunt” to cyniczne epatowanie przemocą dla przemocy, mordem dla mordu – szansa na niezagrożone sankcjami bycie złym do szpiku kości. Alter ego gracza to psychopatyczny wielokrotny morderca skazany na śmierć. Egzekucja okazuje się fikcją na użytek kamer. Bandyta jest bowiem potrzebny jako bohater reality show, w którym jedni bandyci polują na drugich. Moment mordu jest obrazowany wyrazistą sekwencją filmową – gracz może ją nawet wydłużyć, jeśli chce jeszcze chwilę delektować się śmiercią. Po zwycięskiej walce trzeba dobić skomłającego o litość przeciwnika, na przykład silnie go kopiąc. Są kraje, w których „Manhunt” jest zakazany. Szkoda, że nie ma wśród nich Polski.



„MANHUNT”, ROCKSTAR GAMES, dystr. Cenega, PC, XBOX, PS2



www.MINI.com.pl



SAM WYGRAJ EURO

●●●●●○

Nie będę udawał, że piłka nożna nie jest dla mnie dziedziną ezoteryczną. Żywię jednak głęboki szacunek dla Electronic Arts za ich mistrzostwo w kreowaniu wirtualnych widowisk sportowych. Animacja piłkarzy robi wrażenie, mecz ma atmosferę żywego wydarzenia, a intuicyjny system sterowania pozwala łatwo manewrować zawodnikami drużyny, którą prowadzimy do zwycięstwa. Pod warunkiem że wiemy, czy chcemy „założyć siatkę”, strzelić „szczupakiem” czy z przewrotki (najnowsze opcje). „UEFA Euro 2004” to oficjalna gra mistrzostw, mamy zatem gwarancję wiarygodności prezentowanych informacji o poszczególnych składach itp. Gwarancja nie obejmuje wyników spotkań. Na szczęście. Można się odegrać.



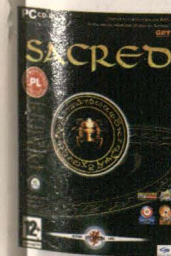
„UEFA EURO 2004”, ELECTRONIC ARTS, dystr. Electronic Arts, PC, XBOX, PS2

KOŃKWISTA



●●●●●○

Udana próba zdyskontowania sukcesu „Diablo” – gry, do której „Sacred” nawiązuje nawet przewrotnie tytułem. Znowu trafiamy do krainy stylizowanej na baśniowe średniowiecze, zamieszkaną przez ludzi i menażerię potworów wszelkiej maści, od wilków w misiurkach, przez demony, po orki. Większość z nich nas nie lubi i wyraża to w sposób asertywny tudzież nieprzyjemny. Odpowiadamy mieczem, lukiem lub zaklęciem bojowym, generalnie unikając konwersacji i mając w głębokim poważaniu zabiegi dyplomatyczne. To jedna z tych gier, w których trzeba po prostu intensywnie tępić plugastwo, wykonując przy okazji, zdaje się, jakąś ważną dla świata misję. Największa nowość: nasz dzielny protagonista może dosiadać konia. Niby drobiazg, ale jakież wzbudził entuzjazm wśród miłośników tego rodzaju gier! Z wysokości siodła „Sacred” wygląda lepiej.



„SACRED”, ASCARON ENTERTAINMENT, dystr. Cenega, PC

MUTANTOM – NIE!

●●●●●○
Z pozoru sztabowa gra, której geniusz polega na tym, że jest trochę bliżej... Newtona

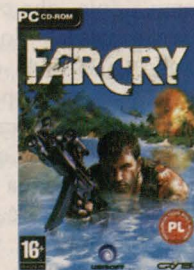
Rzecz bez dwóch zdań inspirowana kanoniczną dla literatury science fiction powieścią Herberta George’a Wellsa „Wyspa doktora Moreau”. Przedsiębiorca często mamy iluzję raj. Jack Carver, właściciel łodzi do wynajęcia, miał tylko dostarczyć nadobną fotoreporterkę magazynu „Exotic Travel” na jedną z tych cukierkowych wysp na Pacyfiku, którymi zwykły wabić biura podróży. Łódź trafiona rakietą idzie na dno, a nadobna Valerie – w łapy prywatnej armii szalonego naukowca. Rzekoma fotoreporterka okazuje się agentką wywiadu, a rajska wyspa – właściwie archipelag – polygonem dla eksperymentów genetycznych



Kierowanie pojazdami w „Far Cry” to czysta frajda



niejakiego profesora Kriegera, niewątpliwie cierpiącego na kompleks Stwórcy. Zgodnie z konwencją Jack wyrusza na ratunek swej księżniczce. Jak wiele można jeszcze wycisnąć z tego szablonu, udowodnił „Shrek”. W „Far Cry”, niestety, narracja i dialogi wołają o pomstę do nieba. Mimo to gra zasługuje na szczególne wyróżnienie. Jest bowiem znaczącym krokiem do przodu w starym jak gry komputerowe procesie upodabniania wirtualnej rzeczywistości do świata, w którym żyjemy. I nie mam tu bynajmniej na myśli agresywnych mutantów. Powody są dwa: imponująca oprawa wizualna – to, niestety, mogą docenić w pełni wyłącznie użytkownicy najnowszych akceleratorów graficznych – i większa zgodność z zasadami fizyki Newtona. Kierowanie pojazdami to czysta frajda. Beczki dają się stoczyć ze wzgórza na przeciwników w dole. Na szczytach wzgórz można czasami znaleźć nie tylko beczki, lecz także lotnię i z jej pomocą przelecieć nad liniami wroga. Po wyładowaniu warto się chwilę rozejrzeć. Przyjrzyć się falom omywającym plażę, rdzy na wrakach japońskich myśliwców Zero, promieniom słońca prześwitującym przez dziury w stropach rozbitych betonowych bunkrów, fakturze kamiennych posągów w dżungli. Iluzja, jaką zgrabnie kreuje „Far Cry”, to wystarczająco wiele, by sztabowa gra akcji nabrała żywych rumieńców i awansowała do rangi wydarzenia.



„FAR CRY”, CRYTECH, dystr. Cenega, PC



Telewizja była dodatkowym sędzią meczu Włochy-Dania. Francesco Totti (z prawej) został wykluczony z trzech spotkań, bo kamera uchwyciła moment, gdy opluł duńskiego piłkarza

MISTRZOSTWA BEZ MATRIKSA

W filmowaniu sportowych imprez Portugalczycy mają jeszcze sporo do nadrobienia

Transmisje rozczarowują – twierdzi Grzegorz Kalinowski z redakcji sportowej TVN24. Podobnego zdania jest większość fachowców od telewizyjnych relacji. Ich zdaniem Portugalczycy technologicznie są w tyle i muszą się jeszcze sporo nauczyć.

Finał Ligi Mistrzów rozegrany miesiąc przed finałami Euro 2004 w Portugalii między FC Porto a AS Monaco w Gelsenkirchen był majstersztykiem. – To były ujęcia jak z „Matriksa” – mówi Piotr Wolański, telewizyjny realizator spotkań piłkarskich. – Piłkarz podczas kluczowego zagrania czy faula pokazywany był tak, jakby kamera krążyła wokół niego. To oczywiście niemożliwe, aby każdemu zawodnikowi było przyporządkowanych kilkanaście kamer, więc cały światek inżynierów sportu był tym absolutnie zachwycony. Do dziś zresztą nie wiemy, jak gospodarze to zrobili.

Zachwyceni byli też kibice. Zdjęcia były tak rewelacyjne, a nastrój przed mistrzostwami Europy tak podniosły, że informacja o tym, jakoby na Euro każdy mecz obsługiwany

mał być przez 26 kamer, wprawił wszystkich fanatyków futbolu w dobry nastrój. Opamiętanie przyszło już w pierwszym meczu. Gra toczyła się tak szybko, że realizatorzy nie mogli wykorzystać dużej liczby ujęć i nie nadążali z pokazywaniem powtórek.

– To już nie te czasy jak z dowcipu o piłkarskim meczu między Polską a Związkiem Radzieckim – opowiada Adam Godlewski, wicenaczelnny „Piłki Nożnej”. – Mama pyta Piotrusia, kto strzelił, on odpowiada, że Boniek i jakiś Replay. Dziś gra jest tak szybka, że powtórki zdarzają się dopiero kilka minut po zdarzeniu.

– Są za to tak dokładne, że bezlitośnie obnażają niekompetencję sędziów – dodaje Grzegorz Kalinowski z TVN24. – Tak było w co najmniej dwóch wypadkach. Za pierwszym razem w meczu Portugalia – Grecja, gdy Pierluigi Collina nie zauważył zagrania ręką na polu karnym, a dokładnie było widać je na powtórce. I za drugim razem, w meczu Włochy – Dania. Napastnik Francesco Totti dostał wprawdzie za faul żółtą kartkę, ale powinien wylecieć z boiska, bo skok kor-

kami na udo przeciwnika kwalifikował się na czerwoną.

Paradoksalnie jednak błyskawiczne pokazywanie powtórek z brutalnych zagrań nie wynika wcale z technologicznej wyższości portugalskich realizatorów. – Jest właśnie przeciwnie – uważa Adam Godlewski. Jego zdaniem podczas mistrzostw świata w Korei w 2002 roku na wielkich telebimach na stadionach nie pokazywano brutalnych zagrań. Podobno istniała na ten temat niepisana umowa. Dzięki temu na przykład Koreańczycy nie roznieśli stadionu podczas meczu Polski z Portugalią. Przy stanie 3:0 dla obecnych gospodarzy mistrzostw słynący z brutalnej gry Tomasz Hajto „przeszedł się” po Joao Pinto. Sędzia odgwiżdżał wolnego, ale nie ukarał zawodnika kartką. Gdyby na telebimach realizatorzy powtórzyli wyczyn naszego obrońcy i upajali się jego chamsstwem, nie wiadomo, jaka byłaby reakcja pokojowo dopingującej publiczności. W Portugalii takich problemów nie ma – po prostu nie ma telebimów.

MICHAŁ WÓJCİK

Ten skok na przeciwnika kwalifikował się na czerwoną kartkę. Sędzia nie widział tego co widzowie i Totti dostał tylko żółtą

SĘDZIEMU SŁOŃCE W OCZY

Czy kamery telewizyjne mogą rozwiązać problem błędów sędziowskich?

Marek Mikołajewski, międzynarodowy sędzia piłkarski: – Sędzia jest tylko człowiekiem i nie wszystko może widzieć idealnie. Na przykład patrząc ze słońcem, choćby w Portugalii, linie na boisku widać bardzo dobrze, ale pod słońce są już słabo widoczne. Telewizja pokazuje to o wiele lepiej, bo kamery nigdy nie muszą pracować pod słońce.

Był już pomysł z sędzią technicznym oglądającym mecz na monitorze, jak w hokeju amerykańskim, ale ma małe szanse realizacji. Są sytuacje, w których trudno rozstrzygnąć, czy piłka przekroczyła linię. Z pięciu osób oglądających na wideo jakąś sytuację trzy powiedzą, że był faul, a dwie – że nie. Próbowano instalowania w piłce czujników informujących o tym, czy przekroczyła linię, ale nie zdało to egzaminu.

UEFA czy FIFA są dość konserwatywne i nie wprowadzą tego typu nowinek również dlatego, że chcą, aby piłka była wszędzie taka sama: i w meczach na mistrzostwach, i rozgrywanych w małych miasteczkach czy wsiach, gdzie takie pomysły byłyby niewykonalne. Poza tym nie wiadomo, kto miałby podejmować decyzje w oparciu o zapis wideo – sędzia techniczny, główny czy obserwator? Byłoby konieczne dodatkowe przerwy w grze, żeby dać nam czas na podjęcie decyzji.



ODWROTNOŚĆ NUDY

NA TRÓJĘ Z PLUSEM

Mówi Janusz Basałaj, szef redakcji sportowej TVP

RAFAŁ MADAJCZAK: Jaką ocenę wystawiłby pan realizatorom mistrzostw w Portugalii?

JANUSZ BASAŁAJ: Trzy plus. Pokazuje się za dużo trybun. To jest fajne, ale trzeba zachować proporcje – nagle oglądamy kolorowo wymalowanych kibiców, a umyka nam dramat bramkarza, który wpuścił bramkę. Przyznam szczerze – południowa szkoła pokazywania meczów mi nie odpowiada. Jest za dużo powtórek po bramkach czy ciekawych sytuacjach, a w tym czasie mecz sobie leci. Kiedy realizator wrzuca obraz, piłka jest już pod drugim polem karnym. Tracimy wtedy 10, 15 sekund akcji, którą powinniśmy byli obejrzeć. Realizatorzy za bardzo skupiają się na smaczkach, upajają się możliwościami technicznymi.

Jest jeszcze południowe słońce i podczas meczów rozgrywanych o 18 widzów może drażnić, że połowa stadionu jest przesadnie oświetlona.

– Gdyby zachować to, co najlepsze w przekazie telewizyjnym, trzeba by jeden mecz rozgrywać o 20.45, a drugi o 23. Ale wtedy spadłaby oglądalność – nawet najwięksi sympatycy w tym czasie zwykle zasypiają.

W którą stronę pójdzie telewizyjny przekaz?

– Były różne eksperymenty. We francuskim Canal+ sędziom piłkarskim podłączono mikrofony, kiedyś nawet w telewizji polskiej, dwadzieścia kilka lat temu, sędzia główny miał mikrofon, ale takie pomysły są niezbyt wychowawcze... Francuzi poszli jeszcze dalej – kilka lat temu wprowadzili kamery do szatni piłkarzy. To była rewolucja. Ale też ingerencja w intymne życie sportowców. I te transmisje z szatni były... bez dźwięku. Zresztą szybko Canal+ wycofał się z tego. I dobrze – w filmie dokumentalnym może to i fajnie wygląda, jak trener rzuca się na zawodnika, ale nie dajmy się zwariować, trzeba zachować jakąś tajemnicę. A podchodząc do tego złośliwie: co by komentatorzy mówili, gdybyśmy mieli transmisje z szatni? Zniknęłyby wtedy te wszystkie figury retoryczne klasyków komentatorstwa sportowego: „Ciekawe, co tam trener nagał zawodnika”, „Musieli sobie wygarnąć” itd.

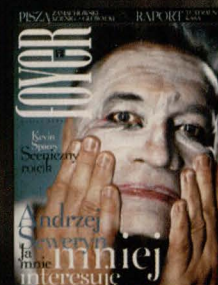
To, że piłkarze wychodzą z szatni w asyście kamer, że widać ich cierpienie i radość na zbliżeniach, to już naprawdę duża sprawa.

ROZMAWIAŁ RAFAŁ MADAJCZAK



blisko teatru.
bliżej życia.

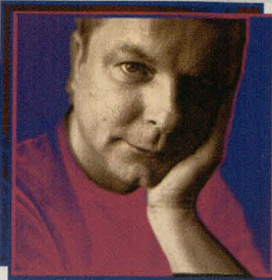
nowy
magazyn
teatralny
już w
salonach.



www.foyer.pl



Kuchnia portugalska



TADEUSZ PIÓRO

Od 24 lat wybieram się do Portugalii. Przy pierwszym podejściu, w 1980, nie było nawet kłopotów z wizą – po upadku dyktatury i przejściu władzy przez socjalistów media często powoływały się na odwieczną przyjaźń ludu polskiego, czy choćby robotniczej jego warstwy, z ludem portugalskim, co nie było gołosłowne przynajmniej pod takim względem, że nowa demokracja znad Atlantyku nie skąpiła Polakom wiz. Ale były inne trudności, które przy każdym kolejnym podejściu objawiały się w zmienionej postaci, więc do dziś studiuję przewodniki turystyczne i rozmyślam, jak tu podejść tę Portugalię – i jej kuchnię.

Do niedawna była to kuchnia zgola mi nieznana. Lecz szczęśliwym trafem poznałem portugalskiego kuchmistrza, który pracuje w warszawskiej restauracji Il Segreto, i podjąłem z nim współpracę. Polega ona na tym, że Joseph przyrządza portugalskie potrawy, a ja oceniam ich przystępność dla polskiego podniebienia. Jest to kuchnia wiejska, pastersko-rybacka, prosta i urokliwa. Dania takie, jak ryż duszony z wołowiną i migdałami, kurczak z rusztu w sosie z ostrej papryki, wina i rozmarynu czy surowy szpinak z pieczonym na ruszcie tuńczykiem, świadczą o tym, że Portugalczycy mocno stoją na ziemi i unikają zbędnych fanaberii. Łatwo zrobić większość z tych potraw w domu, pokrótce opiszę więc kilka z nich.

Po pierwsze – chłodnik, czyli soupa iogorth. Jest to purée ze szpinaku i jogurtu o fakturze urozmaiconej orzechami włoskimi i smakiem zaostrzonym odrobiną czosnku. Można dodać do niego jajko kurze lub przepiórcze. Podgotowany – tak żeby nie zwiótzał

doszczętnie – szpinak miksujemy z jogurtem, drobno posiekanymi orzechami i bardzo drobno posiekany ząbkami czosnku. Przed podaniem zupa powinna spędzić kilka godzin w lodówce.

Zarówno zakąską, jak i daniem głównym może być dobrada, czyli fasola z kielbasą i flakami. Takie połączenie może zabrzmieć dziwnie, lecz jest nadzwyczaj udane i uniwersalne. Na początku lata można posłużyć się bobem, później świeżą białą fasolą, a przez resztę roku – suszoną, również czerwoną i czarną. Sos jest trochę podobny do tego z fasolki po bretońsku, choć ostrzejszy, a fasola i pozostałe składniki nie pływają w nim – daje się go akurat tyle, żeby po zjedzeniu fasoli czy bobu można było jedną kromką chleba wyczyścić talerz. Flaki, rzecz jasna, trzeba ugotować oddzielnie i pokroić w cienkie paski, zaś ugotowaną fasolę poddusić z pomidorem, czosnkiem, ostrą papryką, cebulą, kielbasą i boczkami. Zdaniem mojego portugalskiego preceptora kuchnia na północy tego kraju wiele ma wspólnego z kuchnią polską. Czy ja wiem... Sprawdzę to osobiście któregoś dnia.

Dorsz zapiekany z ziemniakami i śmietaną występuje w wielu kuchniach Europy, lecz w wersji portugalskiej zaleca się szczególną prostotę. Plastry ugotowanych ziemniaków z kawałkami upieczonego filetu z dorsza, podsmażoną cebulą, czosnkiem i natką pietruszki zalewamy kremówką i zapiekamy przez 10 minut w gorącym piekarniku.

Choć o przyjaźni naszych ludów milczą media, troszczą się o nią kucharze. ■

www.przekroj.pl/pioro



POZIOMO:

1. TUBALNY WZROK
7. WKŁADA DO GŁOWY
8. ANGIELSKA CHOROBA
10. ZOŚKA
11. CECHA NA „C-H”
12. DLA PAREK
13. ŻABA CHWYTA

15. NA UCHO

17. GRYZIE PO WINIE
18. ROBAK
19. SOK Z KONIA
20. TAKI TAM KROKODYL

4. NURKOPLĘTW

5. ZA SZCZANĄ
6. DAJE GAZU
9. NIE BIERZE DO UST
12. PRZENIKLIWE ZBOŻE
13. KRWAWA, ŚLEPA
14. CHWILA SEKSU W KINIE
16. DO IMANIA

PIONOWO:

2. LORD EX SEKS
3. WSZYSCY CHORZY

Rozwiązanie krzyżówki nr 22:

Poziomo: 1. ojciec 4. „Wesele” 7. czołówka 8. dowcip 9. profesor 11. kadra 13. atlas 17. Internet 19. korpus 20. klasztor 21. skunks 22. kociak

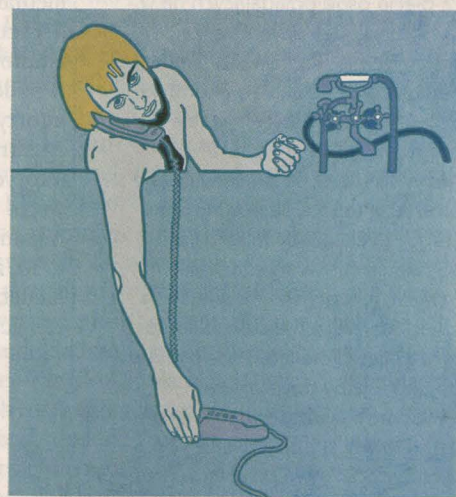
Pionowo: 1. oscypek 2. czolo 3. chwast 4. wiadro 5. sylwester 6. linijka 10. fortepian 12. aerobik 14. satyrnik 15. fiskus 16. strajk 18. nitki

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 20 nagrody wylosowali: Bogusława Bodaszewska, Olsztyn; Maria i Antoni Dahlke, Poznań; Jacek Krawczyk, Ruda Śląska; Włodzimierz Liszyk, Warszawa; Igor Malik, Straszyn. Gratulujemy!

Pomiędzy czytelników, którzy do niedzieli 4 lipca (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki „Dlaczego dziecko gotuje się w mamalydze” Aglai Veteranyi (Czarne).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 26 lub Krzyżówka 26

AGATA BOGACKA



„Modern Marat”

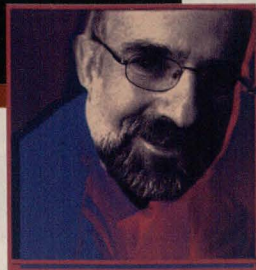
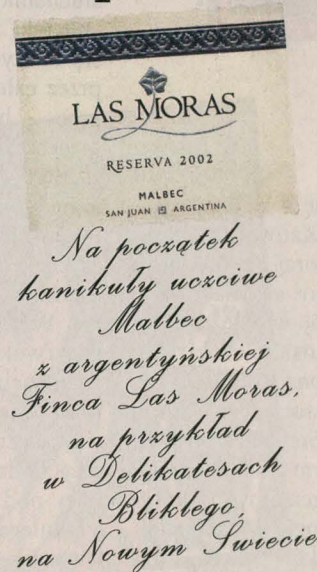
WWW.PASTER.ART.PL

Cud na wspak

Na obiedzie u Laffontów było bardzo dobre czerwone wino. Laffont, który siedział obok Hani, wrzucił do swego kieliszka kawałek lodu. Francuz do czerwonego wina wkładający lód – to zupełny upadek Francji. Od tego zaczyna się wszelkie końce”. Tak zapisał w swym „Dzienniku” w roku 1959 Jarosław Iwaszkiewicz. Zdumiewa rzeczność pisarza; mało kto zauważałby w jaskini lwa, że lew jest kiep i rozcieńcza nektar. Zbyt wielkim był jednak Iwaszkiewicz poeta, zbyt gęste pisał wiersze, by pokrył milczeniem haniebną występek swego wydawcy. Wyobrażam sobie, że reszta kolacji nie toczyła się w szampańskim nastroju, że Iwaszkiewicz, nawet jeśli nie dał tego po sobie poznać, poczuł się urażony w imię powszechnego smaku. O czymś tam jeszcze dyskutowali, o możliwym Noblu dla Sartre’a, o ostatnich wyczynach Chruszczowa, dokrajali jeszcze serów, sięgali po bagietkę, lecz lód wrzucono do czerwonego wina wniknął w jego serce; pozegnali się elegancko i chłodno, Laffont znowu rozmyślał przed zaśnięciem o tej dziwnej kapryśności słowiańskich dusz.

Laffont nie sobie zrobił kuku swym ludem na wspak, przemienianiem wina w wodę. Nasze zaniechania jeszcze więcej niż nam samym przynoszą krzywdę innym; to inni odczuwają, że wszystko się wali i traci sens. Pał więc licho, że Laffont zniweczył własną przyjemność; gorzej, że wstrząsnął Iwaszkiewiczem i wywołał w nim myśli o kresie i rozpadzie. Przypomina mi to słowa jednej z moich Pań Profesor, która na widok dziury w spodniach zaproszonego na obiad Pana Profesora wykrzyknęła z oburzeniem: – Zaczyna się od dziurawych nogawek, a kończy na Łubiance!

Na słabe usprawiedliwienie Laffonta powiem, że zwyczaj rozcieńczania wina istnieje we Francji od dawna. Dzisiaj zanika, ale niegdyś należał do codzienności. Sam stałem się jego ofiarą, kiedy dawno temu brałem udział w winobraniach i gospodarz o wdzięcznym nazwisku Billet (czyli



MAREK BIEŃCZYK

banknot) wlewał do swego kiepskiego sikacza wiadra kranowy, by nie osłabić nas podczas pracy. W ten sposób, nazywany po francusku przycinaniem wina, serwuje się też wino młodzieży, i to całkiem niedorostej.

Co innego jednak wieś, praca, dzieci, co innego poważny obiad z poważnym winem w poważnym gronie. Z wyobraźniowego punktu widzenia nie ma bardziej przeciwstawnych sobie substancji niż wino i woda. Największym zarzutem, jaki degustator postawić może winu, jest jego rozwodnienie. Wystarczy przypatrzeć się

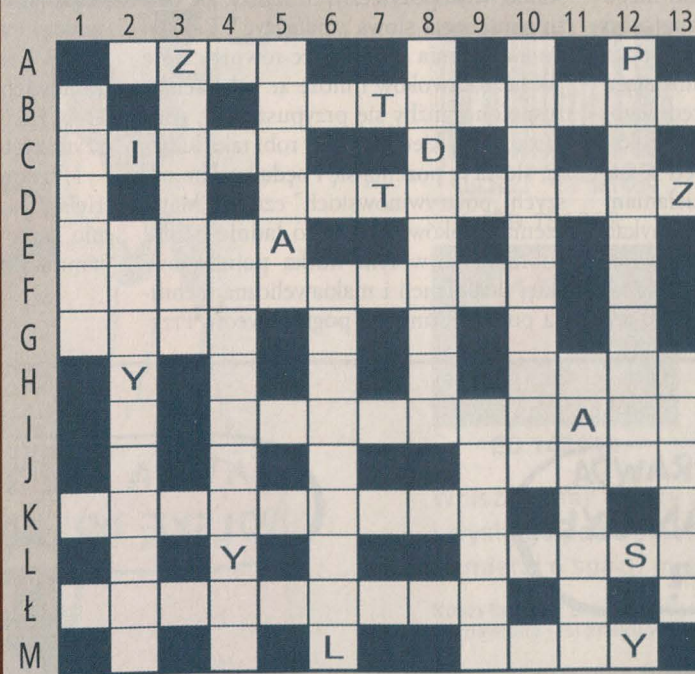
manierom włoskich winiarzy. Nigdy nie przemywają kieliszków wodą, tylko winem, które podadzą. Widok paru kropki wody w kieliszku, do którego ma się lać czerwien, jest wstrząsem psychicznym, rodzajem spożywczo-kazirodztwa. Lecz właśnie – winiarze nie można się spotkać z tak złym serwisem wina jak we Francji. Jej paradoksem polega na tym, że wytwarza najwybitniejsze wina i nie umie ich podawać. Nawet w restauracjach najbardziej, zdawałoby się, wyrafinowanych serwuje się wino w fatalnych kieliskach, w fatalnej temperaturze, byle jak. Francuskie wyrafinowanie jest błyskotką; to lakierowane szkło, pod którym kryje się cała masa ludowej beztroski. Na wierzchu esy-floresy, a w kieliszku lód. Może i z tego również powodu ten kraj tak się od lat wiję i wpada w konwulsje, tam coś błysnie, a tu skisnie. ■

www.przekroj.pl/bienczyk

JOLKA nr 26

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

A8 – I13 – G12 / J11 – H4 – B13 – J6 – K3 – A2 – F2 – C3 – D6 / K7 – D10 – L2 – C4 – G6 – J4 – L11 – B9 – Ł3 – I8 – C12.



WYRAZY

10-LITEROWE:

- jeśli już porywać się z motyką na Słońce, to najlepiej w tym punkcie
- Bach w nią bach!
- gwiazda shoppingu
- mrówka firmy
- pani, która opiekuje się numerem
- preludium do podziału kolaczy

WYRAZY

9-LITEROWE:

- „ponowny” czytelnik
- krasnooka z familoka
- wokaliza studni
- gwiazda, na którą Willow patrzy z góry
- ratunkowe ryki bryki
- nadzieję skreślanem żywi

WYRAZY

7-LITEROWE:

- hiperleś
- nowoczesność dzieli z domem

WYRAZY

6-LITEROWE:

- czapa świerka
- krążownik traktów
- w sekundach Europy lub w metrach świata
- edenek wiedenek

WYRAZY

5-LITEROWE:

- łapka policjanta
- taniec pełen dżemu
- dunlop twego mózgu
- szwajcarskie wyzwanie ze ścianą

WYRAZY

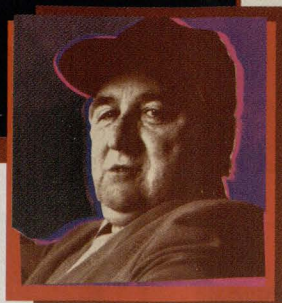
4-LITEROWE:

- e-ple-ple • toż cios dla ciosu! • macho Jakubowej
- dżinsowa hydraulika

Rozwiązanie jolki nr 22: WSZYSTKO SIĘ DZIWNIE PLECIE NA TYM TU BIEDNYM ŚWIECIE (z Kochanowskiego).

Rzędami: etymologia, jęki, frontman, Darwin, Lotta, odludzie, sacrum, exodus, rewolwer, noski, Antyle, noszenie, kwit, iberystyka. Kolumnami: lustrzanka, tarło, chwyt, monitor, yeti, lump, omówienie, gondolier, uszy, ajer, oponent, wrzód, kciuk, Wiśniewski.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 20 nagrody wylosowali: Zofia Andruszko, Kraków; Bogusława Bodaszewska, Olsztyn; Elżbieta Krawczyk, Ruda Śląska; Eugenia Łukasz, Pila; Joanna Maria Oyrzanowska, Kraków. Gratulujemy!



FOT. BOGDAN KRZEL

Mataczenie ćwoków

Jeśli pierwszy wyrok sądowy otrzymuje się w siedemdziesiątym piątym roku życia, to trudno taki debiut do czegośkolwiek przyrównać. Do czego by można? Do utraty dzieciństwa w przedziale kolejowym linii regionalnej w dwudziestej siódmej wiosnie życia? Do święceń kapłańskich na Jasnej Górze? Czy spędzenia z panią profesor Zytą Gilowską weekendu na placu Świętego Marka w Wenecji? Nie da się! Toteż po sądowym kazaniu poczucie winy spęczniało mi do tego stopnia, że poczułem się gozdzien średniowiecznego przegięcia za gwałcenie przeoryszy pod sztuczną palmą na rondzie Charles'a de Gaulle'a w sercu stolicy. W dodatku w samo południe.

Ten istny ma przede wszystkim pretensję o słowo „ćwok” i trzeba by do niego wrócić od strony etymologicznej, bo idzie tu także – a może przede wszystkim – o rehabilitację i funkcję uwznioślającą to słowo na użytek dnia powszedniego. I tu jestem w kropce, ponieważ sąd zakazał mi mówienia prawdy, więc co o istnym pomyśle, to odruchowo zasłanianiam usta, a gdy inni zaczynają napomyczać o sprawie, zatykam uszy i uchodzę w stronę dal. To jest męczące, zwłaszcza że życzliwi ludzie zaczepiają mnie na ulicy

i gdzie tylko się pojawię – w pociągach na liniach Warszawa–Katowice i Kraków–Warszawa, a wczoraj w kawiarni Rozbrat sześć pań, które siedziały przy jednym stoliku, na mój widok zaczęło klaskać w dłonie i wznosić okrzyki. Zaczęłam dławić się utraconą wolnością, aż nagle uzmysłowiłem sobie, że stoję w ulubionej kawiarni Stefana Kisielewskiego i być może w tym miejscu przyszedł mu do głowy ów genialny myślowy skrót określający patologię PRL-u mianem „dyktatury ciemniaków”. Za co „nieznani sprawcy” skopali go do nieprzytomności w bramie jego domu.

Są zdarzenia i sprawy, po których zostają pojęciowe esencje, i zaczynają funkcjonować jak „szlagworty” w piosenkach („Mniej niż zero”, „Józek, nie daruję ci tej nocy” czy „Przeleć mnie”). Po działaniach komisji śledczej na przykład pozostanie wiele pożytecznych rzeczy, ale także reanimacja słowa „mataczyć”. Zapewne mataczenia są w Polsce równie częste jak liczba ćwoków i może ze sobą ściślej zespolone, niżby się przypuszczało, więc może teraz, kiedy „ćwok” robi taką karierę, słowa te pożenią się i będą hasłem naszych „postrywinowskich” czasów. Mataczenia ćwoków – jakże to ładnie brzmi! Pobrzmiwa w tym nutka popeerelowskiej dekadencji i makiaweliczna technika postępowania jej pogrobowców. Prze-

sluchania w Sejmie były festiwalem tej „poetyki”, ale dzięki nim ludzie nauczyli się odczytywać ten język (zwłaszcza że przez całe lata był używany w TVP), który – być może – w znacznej mierze przyczynił się do odepchnięcia rządzących od rządzonych, co w ostatnich wyborach ujawniło się manifestacyjnym, bo 80-procentowym unikaniem urn wyborczych.

Otrzymuję także listy od czytelników. Pan W.H. pisze: „Oczami wyobraźni widzę ćwoków, którzy pętają się dziś po rozstajach dróg politycznych, zaś ich rodowód sięga lat 70., kiedy wykluwali się z licznych jaj i w jakimś momencie przechodzili ze Smolnej na drugą stronę ulicy pod numer szósty Nowego Świata albo ulegali rozproszeniu z ZG ZSP, po telewizjach, emhazetach, emeszetach czy też innych bezpiecznych ciepłkach czasów małej apokalipsy. Obejrzałem sporo postaci z tej hołotki w obrazkowych relacjach wspomnianej, a niesławnej, sprawy Rywina”. A były minister Wiesław Kaczmarek, który dopiero co wyzwolił się z partyjnych pęt, powiada: „Polityka III RP jest polityką brudną, w której stosuje się chwyt z czasów PRL-u. Są to praktyki wzięte z metod działania dawnego SB – szantaż, prowokacja, artykuł na zamówienie. Tego typu metody nie przystoją III RP, ale są jeszcze obecne w naszym życiu”.

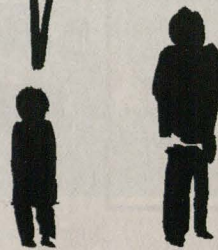
I czemu się dziwić danym Fundacji Helsińskiej, która poinformowała ostatnio, że w Polsce co roku skazuje się niewinnie dwa tysiące osób? ■

www.przekroj.pl/kutz

TATO, A CZY TO PRAWDA,
ŻE RONALD REAGAN BYŁ
JAK KRYSZTAŁ?



TATO, A CZY TO ON I PAPIEŻ
POLSKĘ OD KOMUNY UWOLNILI?



WILHELM SASNAL

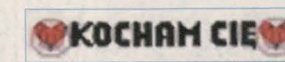
Prócz 480000 zwykłych
logo i dzwonek mamy
także kilka wyjątkowych...

Sprawdź je:

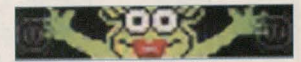


polki.pl

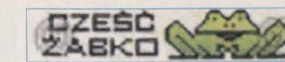
Małe kolorowe logo:



ED 150276



ED 150716



ED 145371



ED 105123

Wpisz numer logo w treść SMS
i wyślij go pod numer 7413.
Pamiętaj o spacji pomiędzy ED a numerem.

Koszt logo 4 zł. + VAT.

Dzwonki polifoniczne:

Slipknot - Duality	ED 151913
Lenny Kravitz - Why Are We Running	ED 149830
Pudelsi - Dawna dziewczyno	ED 150345
Temat muzyczny - Kalinka	ED 150044
Sistars - Sutra	ED 150434

Wpisz numer dzwonka w treść SMS
i wyślij go pod numer 7913.
Pamiętaj o spacji między ED a numerem.

Koszt dzwonek polifonicznych 9 zł + VAT.

Tapety:



ED 151843



ED 148451



ED 148813



ED 149731

Wpisz numer tapety w treść SMS
i wyślij go pod numer 7913.
Pamiętaj o spacji między ED a numerem.

Koszt tapety 9 zł. + VAT. Wersja pobrana na telefon komórkowy pozbawiona jest znaku wodnego.

Jak wysłać tapetę do znajomego?
W treści SMS'a wpisz numer wybranego obiektu a po kropce numer telefonu znajomego (np.: ED 136330.502131313)

serwis **polki.pl** znajdziesz w portalu **wp.pl** Wirtualna Polska

Węrzyj w boleść SLD,
Sam w sondażach leż na dnie.

Bądź jak Kuba Wojewódzki,
Jaki goląbek czuły, ludzki...

Gdy mamony ciut za mas,
Do ascezy szykaj cio. (chinskie)

Atawiki
Doroty Potockiej

Sam bądź, dobrze tobie radzę,
W grupie trzymającej władzę.

W różnych partiach szukaj wsparcia,
Wtedy będziesz nie do zdarcia.



Rys. COTHAM/NEW YORKER

– Nie przesadzaj! To doskonale brzęsło.

Z głowy... Krzysztofa Bilicy
Dziś w „Przekroju” setna myśl
– tak jak 99 poprzednich!

FOTOFOTOFOTO



FOT. Autor nieznany. Zdjęcie krążące w Internecie

KOLACJA bezrobotnego

Ferdinand Głodzik

Choć ma niewiele, nie pragnie więcej
w dobre powszechnej prywatyzacji.
Odkąd swe sprawy wziął w swoje ręce,
Nigdy tak długich nie miał wakacji.

Pokrocił w kostkę oferty pracy,
Zapartzył do nich mocną herbatę,
Równy ułożył wszystkie na tacy,
Odsunął myśli smutne, garbate.

Na dziś programy ma pozytywne.
Starczą na długie nocne biesiady.
Plany na życie zdrowe, aktywne,
Słowa współczucia i dobre rady.

Tu się zadumał nad losem wrednym,
Który od dawna skórę mu łupi.
Złośliwi mówią: głupi, bo biedny,
Po czym dodają: biedny, bo głupi!

Resztki z talerza zlizzał łapczywie,
Bacznie lustrując go z każdej strony,
Wysączył kroplę z puszki po piwie,
Poczuł się syty, zadowolony.

Oruili koldrą się rekturą
Do ciepłowniczej przytułił tury.
Gazetą przykrył się biznesową, i o m...
W której wskazniki idą do góry

Szczęśliwe jutro w próżni zawisło,
Ostatnia gwiazdka nadziei zgasła.
Gdzieś się podziała świetlana przyszłość.
Została tylko pomnożność jasna...



www.MINI.com.pl



Rys. MAREK RACZKOWSKI

Z piątku na sobotę

Kino
Przemka Jurka

Występują: JAN BORYSEWICZ & JANUSZ PANASEWICZ
Miejsce: jedyny hotel w mieście.
Soundtrack: „Mała Lady Pank”

J. BORYSEWICZ: Może by tak coś zdemolować, jak za starych, dobrych czasów?

J. PANASEWICZ: Daj spokój, Jasiu. Po tym Sułecinie trzeba uważać. Jak się wójt wkurzy, to nam nie pozwoli wystąpić na jutrzejszym festynie. Czerwiec, lipiec – dni miast, niezła kasa. Wakacje – wiadomo. Potem wrzesniowa trasa po dożynkach... Nie ma co szaleć. Idziemy spać.

Zaciemnienie. Odgłosy chrapania. KURTYNA zapada, czule otulając śpiące legendy polskiej sceny rockowej.

Nudna kawiarnia Rodzina Obłych

Pan Obły siedzi w kawiarni przy okrągłym stoliku. W kawiarni jest dosyć nudno i Obły zaturuje, że do niej wstąpił. Sam nie wie, po co to zrobił, ale jest już za późno. Siedzi przy stoliku i rozgląda się dokoła. Oprócz niego w kawiarni nie ma nikogo.

– Jak długo już tu siedzisz? – zastanawia się i spogląda na sufit. Widzi zyrandol, a na nim dwie muchy. Obły patrzy na muchy i czeka, a muchy czekają na niego. **PATRYK PALAK**



Rys. PAULUS MAZUR